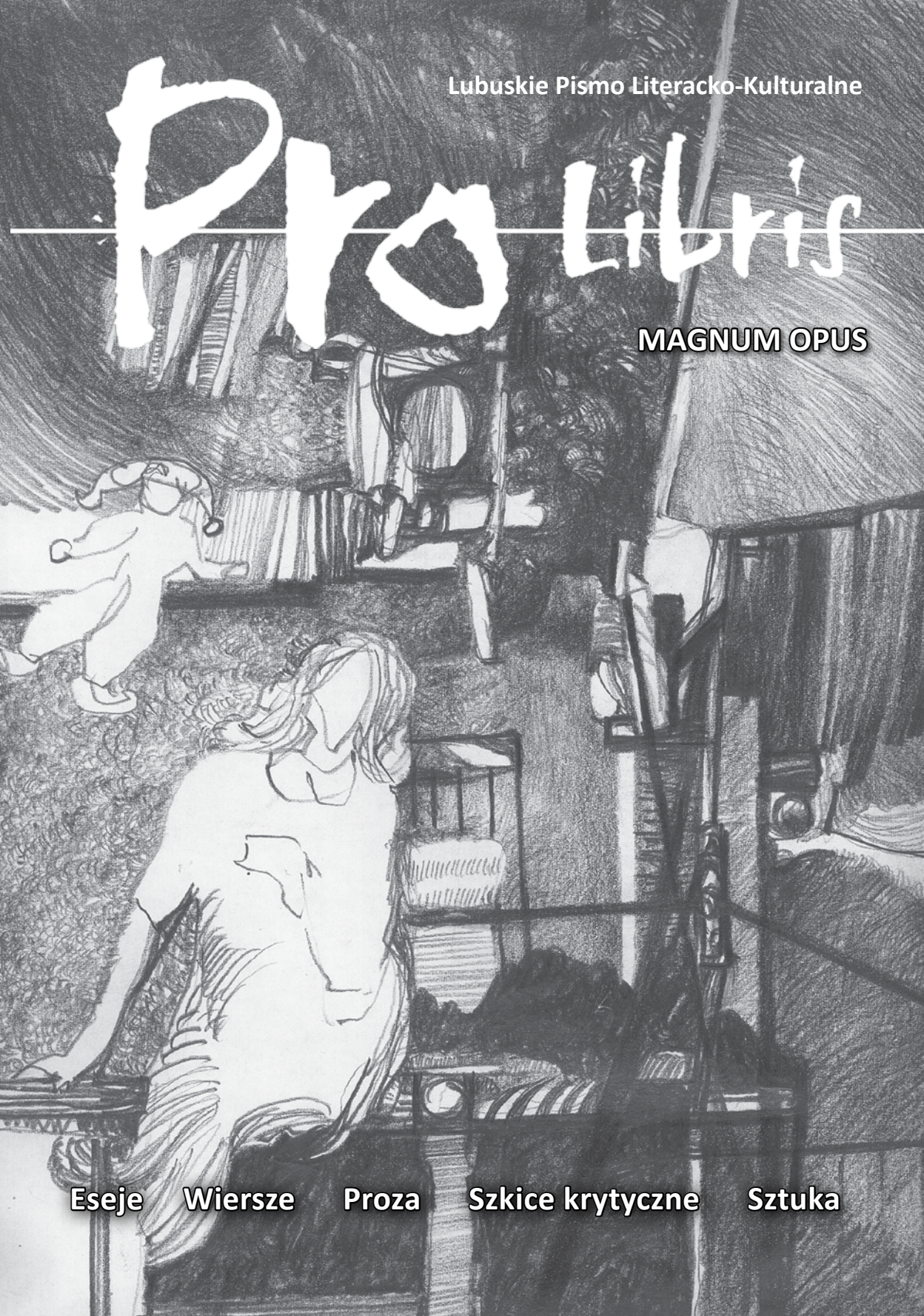


Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

MAGNUM OPUS



Eseje Wiersze Proza Szkice krytyczne Sztuka



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Prace plastyczne wykorzystane w numerze – Henryk Krakowiak

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2021

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracują:
Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak, Mirosława Szott, Joanna Wawryk

Fotografie
Archiwum WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Aleksandra Kucza, Ewa Mielczarek, Helena Ryczkowska, Anna Urbańska

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru
Danuta Morawska

Druk i oprawa
Dual Studio Bartosz Zając

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl, www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Publikację wydano przy pomocy finansowej
Urzędu Miasta Zielona Góra
i Zarządu Okręgu SBP w Zielonej Górze



Od redakcji

Rok 2021 w sferze literatury i szeroko rozumianej kultury zdominował Cyprian Norwid – przede wszystkim poeta, ale i dramaturg, eseista, felietonista, epistolograf, a także znakomity grafik, rytownik, akwaforzysta, malarz i rzeźbiarz. Pretekstem do uhonorowania tej wybitnej postaci stała się 200. rocznica jego urodzin. Uchwałą Sejmu RP upływający rok był Rokiem Norwidowskim, czego nie omieszkaliśmy zarejestrować w bieżącym numerze „Pro Libris”. Polecamy Państwu uwagę interesujący tekst Adama Lizakowskiego, który przybliży kilkunastomiesięczny pobyt Norwida w Stanach Zjednoczonych Ameryki, bardzo trudny dla poety i przynoszący mu nieustanne rozczarowania. Urodziny Norwida to równocześnie jubileusz patrona naszego wydawcy, czyli Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze. Z tej okazji zostały podjęte różnorodne działania, służące popularyzowaniu twórczości Norwida, które szczegółowo opisała w swoim artykule Anna Urbańska.

Ponadto polecamy Państwu uwagę teksty prozatorskie, z których część jest pokłosiem 22. edycji Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Pauksztty w Kargowej. Dzięki przesłanym na Konkurs tekstom dotarliśmy do autorów z najodleglejszych krańców Polski. Obok nagrodzonych opowiadań w numerze pojawiły się również utwory młodych twórców, dotychczas niepublikowanych w „Pro Libris” (np. Katarzyna Kurpiel, Marek Krukowski), a także naszych stałych współpracowników (m.in. Czesław Sobkowiak, Władysław Edelman, Marcin Mielcarek). Coraz liczniejsze jest grono publikujących w kwartalniku poetów. Tym razem proponujemy wiersze m.in. Romana Krzywotulskiego, Agnieszki Ginko, Dominika Judka, Ryszarda Jasińskiego, Zbigniewa Pawłowskiego i Dariusza Wojciechowskiego oraz prozę poetycką Żanety Gorzkiej.

Zachęcamy także do zapoznania się z tekstami z działu ZBLIŻENIA, który otwiera rozmowa literacka dr Marty Bąkiewicz z prozaiczką Marią Sidorską-Ryczkowską zatytułowana *Odra kluczem do pamięci*. Z kolei Małgorzata Grelak, miłośniczka kina i teatru, sporządziła retrospektywę dziesięciu edycji Festiwalu Filmu, Teatru i Książki KOZZI..., który od 2012 roku skupia wybitne osobowości polskiego kina, jest przeglądem najnowszej kinematografii polskiej, a także interesujących spektakli teatralnych, monodramów, książek tematycznie związanych z profilem imprezy.

Prosimy zwrócić uwagę na ważny artykuł Musy Çaxarxana Czachorowskiego, poświęcony Urszuli M. Bence, uzdolnionej poetce, prozatorce i tłumaczce, której teksty wielokrotnie zamieszczaliśmy na łamach pisma i również w tym numerze Benka – tym razem jako recenzentka – jest obecna.

Nie pierwszy raz w periodyku pojawia się artykuł przybliżający losy księżnej Doroty Talleyrand-Périgord – dr Joanna Kapica-Curzytek wespół z Miłoszem Cybowskim eksplorują biografię tej ważnej, także dla Ziemi Lubuskiej, postaci.

W dziale IN MEMORIAM Czesław Strawa w osobistym, a zarazem rzetelnie omawiającym kilka publikacji Jerzego Szewczyka tekście, zatytułowanym *Chciał, by został po nim ślad...*, żegna miłośnika poezji, podróżnika, fotografa, członka Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, a swojego druha.

Warto także sięgnąć do działu RECENZJE I OMÓWIENIA. Tradycyjnie – zamieszczone w nim zostały opinie o ważnych publikacjach literackich: regionalnych, ogólnopolskich i zagranicznych.

Do zilustrowania numeru swoich prac użył Henryk Krakowiak – artysta plastyk, animator kultury, rysownik, malarz i ceramik, którego dzieła w listopadzie mogli też oglądać użytkownicy Biblioteki Norwida na wystawie z okazji 80. urodzin artysty.

Spis treści

Anna Piliszewska, Zalew	6
Agnieszka Ginko, Wiersze [ostatnie pranie, wiersz dla Zielonej, cieleśnie, *** nie, nie kończymy...]	11
Bogdan Nowicki, Mgła	15
Roman Krzywotulski, Wiersze z cyklu <i>Po tamtej stronie granicy</i>	21
Janusz Pyziński, W mojej wsi	24
Grzegorz Żegleń, Wiersze z cyklu <i>W studni słów</i>	31
Halina Bohuta-Stapel, Poranek	33
Dariusz Wojciechowski, Wiersze [Zagubiony między sobą a sobą, *** W moim...]	34
Marek Krukowski, Zapiski bez znaczenia (fragment powieści)	36
Zbigniew Pawłowski, Wiersze [Przesłanie, Serce...]	38
Władysław Edelman, Obiekt	40
Adrian Lokś, Wiersze [Nasza bajka, Ćmy, Tata, Spokój]	41
Żaneta Gorzka, Prozy poetyckie z cyklu <i>robot i róża</i> [cisza i oczy, pies i nogi, wiatr i pomnik]	45
Tytus Kamil Rolski, Witka łożyny	46
Dominik Judek, Wiersze [Najniższa krajowa, Planowanie, Spotkanie, Szkła]	51
Marcin Mielcarek, W poszukiwaniu pozytywu	55
Ryszard Jasiński, Wiersze [Sonaty tuplickie, piosenka włóczykija]	60
Katarzyna Kurpiel, List w czerwonej kopercie	63
Bogumiła Różewicz, Wiersze [*** W czasie..., *** Biała dusza..., *** O zmierzchu..., *** Niosłaś ...]	67
Czesław Sobkowiak, Kolejne zapiski	71

ZBLIŻENIA

Odra kluczem do pamięci. Z Marią Sidorską-Ryczkowską rozmowę literacką przeprowadziła Marta Bąkiewicz	74
Małgorzata Grelak , Festiwal Filmu, Teatru i Książki KOZZI... Z perspektywy widza	79
Anna Urbańska , Urodziny Norwida	87
Agnieszka Ginko , 2. Turniej Jednego Wiersza AMERYKA!	90
Ewa Mielczarek , Kargowskie nagrody rozdane	93

VARIA

Adam Lizakowski , Norwid w Nowym Jorku.	
W 200. rocznicę urodzin poety Cypriana Kamila Norwida	96
Miłosz Cybowski, Joanna Kapica-Curzytek , Księżna Dorota i Talleyrandowie.	
Historia małżeństwa i przyjaźni	104
Musa Çaxarxan Czachorowski , Urszuli Benki wędrowanie po widzialnym i niewidzialnym	109
Jakub Domoradzki , Kino bez powrotu	112
Katarzyna Kurpiel , Kultura czytelnicza – uwarunkowania.	
Porównanie poziomu czytelnictwa w Polsce i w Czechach	115

IN MEMORIAM

Czesław Strawa , Jerzy Szewczyk. Chciał, by został po nim ślad...	118
--	-----

PREZENTACJE

Henryk Krakowiak	
Ważniejsze wystawy indywidualne i zbiorowe	124
Leszek Kania , Henryk Krakowiak. Malarstwo	126

RECENZJE I OMÓWIENIA

Czas poezji	
Jarosław Barańczak, <i>Znak</i> (Czesław Sobkowiak)	129

Kamienie mitologiczne	
Teresa Borkowska, <i>Pamiętam</i> (Urszula M. Benka)	130

Kobierzec	
Mechtilde Lichnowsky, <i>Geburt, Liebe, Wahnsinn, Einzelhaft</i> (Joanna Kapica-Curzytek)	132

Bliskość natury	
Władysław Kłępka, <i>Szept trzepot szelest</i> (Anna Wiwiana Szewczuk)	133

Co się stało z Nike? Uwag kilka o <i>Baśni o węzowym sercu albo wtórym słowie o Jakóbie Szeli</i>	
Radek Rak, <i>Baśni o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli</i> (Klaudiusz Mirek)	135

Księżycojajko, czyli jak księżyc poróżnił się z jajkiem	
Urszula Małgorzata Benka, <i>Księżyc się pokłócił z jajkiem</i> (Robert Rudiak)	136

KSIĄŻKI NADEŚLANE	140
--------------------------	-----

AUTORZY NUMERU	141
-----------------------	-----

Zalew

I stało się: anioł zszedł ze starego, wyblakłego obrazu – jak zapewniła babcia, wpierv ziewnął, przeciągnął się, rozprostował skurzone skrzydła, pokręcił się dobrą chwilę po kuchni i po izdebkach, po czym poszedł do sadu, gdzie pomimo upału panował przyjemny chłód. Tam urwał z krzywej renety dwa dorodne jabłuszka, zzuł skórzane sandały i rozciągnąwszy się w trawie pod drzewem, jął je chrupać z ochotą.

– Chudziaczek ci on! I całkiem zszarzał. Może to od wilgoci? Albo z powodu marnej jakości werniksu? Nie był konserwowany, jako się należało, dlatego tak mocno zmarniał...

W mig wypadliśmy z kuchni. Popędziliśmy w dyrdy aż na tyły ogrodu, ślizgając się w pierwszych spadach, fermentujących w kępach wybującej wiechliny, płosząc pszczoły i osy podrywające się z okrutnym bzyczeniem z rozgniecionych butami, rozpaćkanych owoców. Zlustrowaliśmy szpaler rosochatych jabłoni, zajrzeliśmy do dziupli. Wreszcie w wielkim ferworze szukania zerkaliśmy do szopy, do stodoły, do stajni. Staszek sprawdził kurniki, Jaś zapuścił żurawia do psiej budy i studni. I co? I nic! Tylko sianem pachniało rozprażone powietrze...

Wróciliśmy markotni.

– Widzieliście anioła? – ciekawi się babka Anielcia, obdzielając nas struclą.

Kręcimy tylko głowami.

– Ha! Zgrzeszyli na pewno, to i mata za swoje! A anioł jak malowany był, tylko ciupkę sfatygowany. No, ale wisiął ze sto lat, albo może i więcej, to nie dziwota...

Za oknem rozlega się jazgot wyliniałego łatka. Ktoś zerka przez brudną szybkę na podwórko.

– Poczta!

Teraz jak na komendę wszyscy przywarli do okna. Przy płocie stoi pocziwy Antoni – listonosz. Jedną ręką i biodrem podpira służbowy rower, drugą przebiera w torbie. Wreszcie wyciąga list. Matka wytarła ręce w skraj żółtego fartucha – musi cosik podpisać.

– Polecony! – oświadcza Staszek ze znawstwem.

Zaszurało. To mama – już zjawiała się w kuchni. Ociera szmatą blat stołu. Już cupnęła na stołku i wyciągnęła pismo z kieszeni, przyglądając się mu uparcie, jakby go chciała prześwietlić. Zbliżamy się doń ostrożnie. List! Dziwne, że list... Że do nas. Bo do nas listy bardzo, bardzo rzadko przychodzą.

– Pismo jest do Tomasza – mówi mama do babki.

Babcia tylko kiwnęła głową. Ani się nie zapyta, kto je przysłał i skąd. Dziwne. Doprawdy dziwne.

– Lećta, dzieci, do ojca. Powiedzcie, że przyszło jakieś pismo z urzędu.

No, to migiem lecimy. Ojciec rąbie w drewnutni.

– Pismo przyszło...

– Co mówisz?

– A to, że był listonosz i przyniósł do taty list! – objaśnia skwapliwie Staś.

Ojciec cisnął siekierę w kąt. Ociera ręce o spodnie, po czym rusza do domu. My, naturalnie, za nim.

– Piszą znów to, co kiedyś? – mamrocze babcia Anielcia.

– Ano.

– To nieciekawam.

– Co piszą? – wtrąca się matka.
– Że rychło ruszą z robotą. Pewnikiem już w przyszłym roku. I na dniach trzeba będzie się zgłosić. Podpisać stopy papierzyk. Ot, co!

– Co kto przyjdzie, to straszy. Straszili jeszcze przed wojną. Potem Niemcy. A znów teraz te zafajdane łachudry. A daliby święty spokój! Tyle się tu przeżyło, tyle się tu nacierpiało, tyle naharowało... Ej, doloż... A niechby ich dunder świsną! Ale szykują się już tak dawno, że jeśli rzeczywiście przyjdzie się wynosić, to może... jeszcze nie nam, a komu innemu? Bo my już nie dożyjemy...

Przyszli Olesze z procą. Jaś i Stachu pobiegli z nimi do ich ogrodu, żeby strzelać do srok. Ja nie miałem ochoty. Intryguje mnie anioł, którego widziała babka. Ale sprawa anioła już się stała dla wszystkich drugorzędna, a wręcz całkiem nieważna.

W myślach starszych złe pismo wysiało zatrute ziarna, a bracia poleżli het z Oleszami. Z pękniętego półmiska zabrałem kawałek chałki i powlokłem się w pola.

Na pastwisku Sykały znalazłem wysyp pieczarek. Uciąłem kilka kozikiem. Uciąłbym pięć razy tyle, lecz nie miałem kobiątki. Pod brzoźkami, gdzie rosły pierwszorzędne kozaki, przycupnąwszy na głazie, wyjąłem chałkę z kieszeni i zacząłem ją skubać. I wtedy to po raz pierwszy poraziła mnie myśl, że jeżeli to prawda i jeżeli faktycznie będą robić tu zalew, i trzeba będzie się wynieść, to będzie straszne. Oj, straszne!!!

*

– Znowu łązi ta glizda – syczy babka Anielka, łokciem wsparta o płot, ruchem głowy wskazując Waleriana Konieczko, zmierzającego dokądś w kapeluszu zsuniętym niemal na nos i w wysokich kaloszach.
– Ciurkiem ino by nuchał!

Ojciec kaszlnął i splunął.

– Menda. Idzie do ludzi i im wciska androny.

– Co znów wciska ten czort?

– To, że pod wodą, znaczy taflą jeziora, majstrują tajne lotnisko. Wielkie. Wręcz przeogromne!!! Będzie się ciągnęło, ciągnęło, het!, aż poza granicę Białorusinów. A jakże! A jak już je zrychtują, będzie praca dla ludzi. No, a to się ludziskom widzi. Każdy chce mieć robotę. To im graj! To dlatego tak potulnie się godzą na wywózkę, na wszystko...

– Lotnisko? Całkiem pod wodą?

– Ano. I będzie tak nowoczesne, że trudno se wyobrazić. Jedyne swego rodzaju. Sekretne i dochodowe. Modelowe lotnisko Warszawskiego Układu. A jeśli tak, to będą startować na wschodnią stronę...

– Samoloty...?

– Przecież nie muchy! Mówi się, że już ruszyły w tym kierunku roboty.

– Nikt niczego nie widział.

– A co miałby kto widzieć, jeśli to pod sekretem?

– Toż fikcja!

– Fikcja, nie fikcja, ale fakty są, jakie są. Wysiudają stąd ludzi.

– Wysiudali! My siedzimy już na walizkach...

– Ani myślę się ruszyć!

– Mus to mus.

– Tfu!

– Srane lotnisko.

– Parszywa propaganda.

– I przez takie psie gównno pięć wsi będzie pod wodą...

*

– Jaś, a... jak oni będą robić tutaj jezioro? – pyta Wiśka od Gula. Przygryza mysie warkoczek, zakończony kokardą splamioną zupą czy sokiem. Dziewczyny nic a nic się nie znają na takich sprawach. Jasiek za to się mądrzy – ze zjawstwem podpira się pod boki. Stroi poważne miny.

– Jaś, no jak?

– Normalnie. Zaleją wszystko.

– Jak zaleją? Ze szlauchu?

– Nie, Wiśka. Nie ze szlauchu, tylko zrobią zaporę.

– A co to jest ta zapora?

– No, przyjdą, zagrodzą wodę, spiętrzą ją i zaleją. Wszystko, Wiśka, zaleją.

– Po co będą tak robić?

– Po co, po co? Bo tak!

*

– Babka stała się dziwna. Wciąż coś widzi i słyszy. Gada z kimś niewidzialnym. Mówi, że tu przychodzi jakiś tysi chłop z kosą – szepta matka do ojca. Nastawiam porządnie uszu, lecz akurat na drodze okropnie turkota Ursus.

W kuchni bzykają muchy. Z izby wychodzi babka. Człapie w stronę kredensu, by się napić kompotu. Na-lewa go do garnuszka. Kaszle. Siada przy stole. Skubie starą ceratę wyszczerbionym paznokciem.

Robota czeka w obejściu, więc rodzice wychodzą.

Myślę, patrząc na babkę, kto tu do nas przychodzi. I czemu akurat z kosą? Gdyby to była baba, tobym zgadł, że kostucha. A tak...?

– Babuniu, co to za chłop? – nie wytrzymuję i pytam.

– Jaki chłop?

– No, ten z kosą. Ten, co tutaj przychodzi...

– A, ten... Znów był? Widziałeś? Można by się nastraszyć!

– Co to za chłop? – powtarzam.

Babcia Anielcia zdaje się być zadowolona. Zaciera ręce. Kuśtyka i za moment z kuferka wyciąga pamiętą książkę. Znam ją prawie na pamięć. To *Baśń o Janku Poranku, złym Kościeju i pięknej królownie*. Babunia gładzi okładkę, po czym puka w nią palcem. O co chodzi? I po co babce naraz ta stara książka?

– Babciu? No, co z tym chłopem?

– A ty sam zgadnij, kto to!

– Nie wiem...

– Przecież to Kościej!!!

*

Z wozu zlaźł wujcio Paweł i taszczy trzy klatki z drutu.

– Cóż to? – dziwi się matka.

– Klatki. Dobre i mocne. Zrobiłem kilka dla siebie, więc zrobiłem i wam. Sama sprawdź, że porządne!

Matka ogląda klatki i kiwa z uznaniem głową. Ramy klatek są z drewna, a ścianki to mocna siatka.

– Wujciu, po co te klatki? – Staś zagląda przez ramię.

– Na wyprowadzkę. Dwie dla króli i drobiu, a ta mniejsza dla kota.

– A łatek? Gdzie jego klatka?!

– Pies poleci za wozem.

– A co, jeśli się zgubi?!

– Może lecieć na sznurku.
– A Mućka? No i prosiaki?
– Mućkę trzeba na wiosnę sprzedać komu na targu. Prosiaki pójdą pod nóż. Wszystkiego się nie da zabrać.
– Mućki nie dam! – Matka zrywa się nagle i w oczach ma groźne błyski.
– Cichaj, cichaj... Nie sprzedasz jej, jeśli nie chcesz. Jest czas. Jakoś się to obmyśli... Macie szczęście w nie-
szczęściu: was nie dali do bloków. – Wuj lekko klepie ją w ramię. Przysiadają na pieńkach. Tną komary na
burzę. Nasz wujcio macha do taty. Gdy ojciec przychodzi z fłaską, matka ma zaciśnięte pięści i czerwone
powieki. Spod jej rzęs spada kropla – turla się jak przejrzyste, nieduże, grochowe ziarnko...

*

Idą chłody. Już pierwsze przygruntowe przymrozki. O tej porze nasz ojciec krzewy owijał słomą i wap-
nem obierał drzewa – zawsze, lecz nie w tym roku. Nikt nie pyta dlaczego. Nikomu nie trzeba tłumaczyć,
że to nie ma znaczenia, bo za kilka miesięcy już będziemy gdzie indziej. A kiedy zaleją wioskę i tak zmarni
się wszystko, więc psu na buty wszelka ogrodowa robota.

Ojciec wierci się. Ziewa. Jest nerwowo. Ćmi peta, którego gasi palcami. I za momentik pilnie szpera za
papierosem. W izbach ciemno od dymu – prawie nie ma powietrza. Dym nas gryzie po oczach. Babka ki-
cha i kaszle. Świąci typią z obrazów i mają surowe miny. Jakiś spóźniony motyl, zaplątany w firankę, zry-
wa się i szamocze.

– Tomasz, dałbyś już spokój... – mityguje go matka.

– Chodźta dzieci, siadajta. Poczytamy se bajkę – sepleni babcia Anielcia. W musztardówce, przy łóż-
ku, bieleją jej sztuczne zęby. Jeśli ich nie założy, mówi tak niewyraźnie, że trzeba dobrze się wsłuchać, by
cokolwiek zrozumieć.

– Za siedmioma morzami... – zaczyna czytać opowieść.

Ojciec wstaje i z kołka ściąga stary, filcowy, pognieciony kapelusz. Wnet go widać przez szybę. Owi-
ja krzewy słomianką...

*

Zajrzał pan Gul, nasz sąsiad. Niby, że oddać kankę. I oddał – ale nie pustą, tylko pełną bimberku.

Matka otwiera sół, po czym stawia na stole talerz pełen ogórków. Kroi chleb i smaruje pajdy smalcem.

– Jak już zrobią lotnisko, będę tam miał robotę. Znam się na mechanice, to mnie pewnikiem najmą! – cie-
szy się chudy Gul. Zaciera zylaste ręce, potem młaska i sięga po korniszona.

– Najmą albo nie najmą. Kto ich tam wie? Ja nie wierzę nikomu, a już im to szczególnie – wzdycha oj-
ciec ponuro.

Zapowiada się nudny wieczór. Nic tu po nas – i kropka. Więc idziemy do babki.

Babcia Anielcia leży pod kraciatą pierzyną i kiwa na nas sękatym, spracowanym paluchem – zaprasza,
więc współ z braćmi wnet włączymy do łóżka. Jaś tuż obok babuni, a my ze Staszkiem w nogach. Z bliska
dopiero widać, jak bardzo jest bledziutka.

– A trzeba ci co, babuniu?

– Może piętękę byś zjadła?

– Nie, smyki, nie trza niczego...

– No, to nam co opowiedz!

Babka rozgląda się pilnie po izbie. Zdaje się być niespokojna i mocno rozkojarzona. A może jest tylko sen-
na? Błądzi wzrokiem po ścianach. Izba tonie w półmroku. Pachnie sianem z siennika, suszem ziół i kamforą.

– Kto tam chodzi...?

– Gdzie?

Choć wytrzeszczamy oczy, nie widzimy nikogo. Babka siada na łóżku. Patrzy w stronę okna, za którym w lepszej szarówce wiatr tarmosi drzewami. W rynnach bulgocze plucha.

– Widzieliście? To znowu on! Chodzi w deszczu po sadzie. Przyszedł tutaj po jabłka. U nas pewnikiem lepsze niż z rajskiego ogrodu. Może jeszcze co znajdzie na najwyższych gałęziach. Jeśli jakieś zostały, trudno będzie mu sięgnąć...

– Kto tam chodzi, babuniu?

– Chudziak anioł z obrazu. Musiał chyba być głodny, znów się z ramek wydostał...

*

Śnieżek prósz i prósz. Ogień trzaska pod blachą. Matka kładzie talerze na kuchennej ceracie. Odruchowo wyciąga talerz również dla babki, ale rychło się łapie, że babuni już z nami nie ma, więc szarzeje na twarzy, wzdycha i chowa go do kredensu.

Choć tak trudno uwierzyć, jest to ostatnia zima – ostatni grudzień w tym domu. Nad piecem dyndają chochle – jak rząd sinych wisielców. Trupia biel za oknami. A sople jak wilcze zęby. Z łóżka babki tchnie pustką. Nigdy bym nie przypuścił, że zima może być smutna, że taka zatrważająca. Nawet babciny anioł zsiniał i zbladł ciut bardziej, a z ram łuszczy się farba. Obserwuję go co dnia, lecz nie złazi z obrazu. Straciliśmy nadzieję, że się da nam zobaczyć. Być może jest obrażony o te szare renty? Może wie, że na jesień nie doczeka owoców?

Pakuje się pod pierzynę, ale łóżko babuni już nie grzeje jak kiedyś. To ten przekłęty zalew – wysysa radość i ciepło. Wszelkie zło przez jezioro. Wszelka krzywda i rozpacz! A kiedy już przyjdzie woda, to pożre także i cmentarz...

*

Nazywa się Nowa Łuka. Ta wieś. Ale my nazywamy ją po swojemu: tylko Nowa – po prostu. Zastanawiam się, czemu tak, jednak nie mam pewności, lecz... może to ukruszenie, to ucięcie fragmentu nazwy to jakiś rodzaj odwetu za wysiudanie nas stąd?

Jesteśmy jedni z ostatnich. Na wozach kredens i krzesła. W klatkach drobne zwierzęta. Ciągnę łatka na sznurku. Mućka ryczy, gdy ojciec przytracza ją na powrósle, ale ona jest mądra, pójdzie grzecznie przy furze.

Wdrapujemy się z braćmi na kopczykso kłopotów pokrępowane sznurami. Nie płaczę, oczy mam suche, tylko coś wyje w środku. Wyje, ścicha na chwilę, potem znowu zaczyna. Ból nie gnieździ się w głowie, lecz głęboko w żołądku.

Olesze ruszają pierwsi, a za nimi Gulowie. Ojciec cmoka na konie. Przestrzeń zdaje się płonać. W ogrodzie spadają płatki, jabłka, jeszcze w zalążku, tłą się obietnicami obfitych, corocznych zbiorów. Drzewa dy mią, bo słońce rozpuszcza mgiełkę i rosę. Wóz rusza – bardzo powoli turla się wzdłuż ogrodu rozwilgłą po deszczach drogą. W lśniących, mokrych gałęziach igrają drobiny światła. I naraz wydaje mi się, że przemymka w nich jakaś perlista, skrzydlata postać. Ale... wiem, to iluzja. Za kępami leszczyny oglądam się ostatni raz – widzę płaczący pejzaż. Rozmytą plamę ogrodu. I skulony garb domu...

Budowę zalewu Siemianówka rozpoczęto w 1977 roku. Wykupiono i wywłaszczono 289 gospodarstw z ośmiu wsi, z których pięć: Rudnia, Garbary, Bołtryki, Łuka i Budy uległo całkowitej likwidacji. Na potrzeby wysiedlonych wybudowano dwa osiedla mieszkaniowe: w Michałowie (30 mieszkań) i Bondarach (135 mieszkań). Powstała także wieś Nowa Łuka. Po zamknięciu tamy zbiornik napełniał się przez pięć lat, ostateczny poziom spiętrzenia wody wynoszący ok. 7 m został osiągnięty w roku 1993. Wieś o słynnym projekcie ogromnego lotniska, które otworzy szanse zatrudnienia dla tysięcy ludzi, okazała się bujda.

1. miejsce w 22. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukshy „Mała ojczyzna – pogranicze kultur”, Kargowa 2021

ostatnie pranie

z włókien, z trzewi, z jąder,
z łydek, z mięśni, z ramion
wyszteliliś w górę
jak młode pędy świerku
szybkie i bezczelne.
nie przyczepię Ci już nic różowego
jak kiedyś czapeczkę,
brali Cię za dziewczynkę, „ładna buzia”.
ani nic miękkiego, bo twoje pośladki
prężą się już do skoku
dopasowane kształtnie do markowych majtek,
które jeszcze piorę.
przewlekam sportowe skarpety
jak kiedyś śpioszki prane w Loveli.
masz mi za złe, że do dziś piorę w niej wszystko,
twarda skóra na piętach, kłujący zaroście.
chichoczesz się jeszcze jak dziecko,
ale ścinasz z nami dorośle,
wchodząc w ironię
jak w białe nike, numer 43.
godzinami w łazience studiujesz nowe ciało:
pofarbowane włosy, wyrzeźbione bicepsy,
twardą klatę.
już mnie nie przytulasz,
ale muskasz, wyjeżdżając na wakacje.
czy poznam kiedyś Twoje kobiety?
– to moja matka – zażartujesz.
czy będziesz dzwonił?

wiersz dla Zielonej

wrosłaś we mnie,
we włosy, w stopy.
poszło mi w pięty
to przychodzenie do ciebie i odchodzenie.
zjadałam cię wzrokiem w kawiarniach,
dotykałam w zaułkach.
czuję cię tak mocno jak zdartą skórę na rynku,
jak żwir w kolanie.
wzięłam sobie ciebie
jak bezdomna bierze miasto.
roz-mieściłam ciebie w sobie.
ty we mnie pod skórą.

cieleśnie

raz krwawi, raz nie krwawi,
nie powinno już rodzić,
skraca ją mu się cykle
jak u nastolatki,
dostaje wypieków, poci się.
raz chce, raz nie chce,
lecz coraz bardziej chce.
czy to się może skończyć?
„ciemność, widzę ciemność”.
jeszcze nie boli, nie skrzypi,
zjada rukolę z oliwą, balsamicznym octem.
chce próbować wszystkiego.
kiedy jak nie teraz?
grzeszy i nie grzeszy we śnie.
budzi się zawsze spragnione.
chce tulipanów we włosach
i sączyć gin z tonikiem jak jazz.
kiedy przestanie krwawić,
często rośnie, puchnie jak ciasto drożdżowe,
oblizuje łyżki.
i nic go już nie zmiecie,
nie zwali z nóg
tylko śmierć.

* * *

nie, nie kończymy jeszcze, ciało.
jeszcze urodzimy wiersz do innego ciała,
od którego brałaś, żeby dawać życie.
które trzymało twoje dzieci na rękach,
pochylało się nad nimi o dziwnych porach.
które wytrwało,
kiedy ty na wszystkich krzyczałaś, ciało.
które jeździ godzinami na rowerze
i jest przyjemnie umięśnione.
i z którym chcesz być.

Mgła

Mój szalas przemókł. A ulewy nie ustawały. Mimo że nastał sierpień, w lesie było zimno. Z koron drzew jak przez dziurawe sito kapwały ciężkie, ołowiane krople. Siano, na jakim leżałem, nasiąkło wodą. Musiałem je wyrzucić i przynieść suchych wiązek. Najlepiej z jakiejś stodoły, która nie została spalona. Ale gdzie taką znaleźć w Zaleszczykach, w siole, co prawie całe poszło z dymem?

Nie oszczędzono żadnej chaty, nawet tej od naczelnika Czeremosza. Swąd zgłiszcz długo unosił się w powietrzu – poki nie nastały deszcze. Czarne krokwie wciąż syczały, a w całej okolicy czuć było woń spaleni-
zny. Zaleszczyki jakby się zapadły pod ziemię. Gdzeniegdzie sterczały jedynie osmalone kominy i długie żer-
dzie stodół z rudymi plamami płomieni na żelaznych okuciach. Wiatr, zerwawszy posypane popiołem liście
buczyny, zabarwił na szaro poryte kopytami podwórza. Nad ścielącym się nisko dymem stygło sine niebo.

Krajobraz skrzypiał ramami wybitych okien pojedynczych chałup, które jakimś cudem ocalały. Ale trze-
ba przyznać, że nie były one kryte słomą czy gontem, lecz falistą blachą. Przywiozł ją tutaj Józef Władycz-
ka, aż z Tarnopola i zachwalał jej wytrzymałość tak na niemiłosierne upały, jak i na siarczyste mrozy. Nie
przypuszczał wtedy, że potrafi oprzeć się nawet poźdodie.

Drzewa owocowe i kilka rosochatych wierzb tliły się na równinie, gdzie leżały małe kopce kartofli.

W Zaleszczykach nie było poczty ani kolei, a nawet porządnej drogi. W siole istniała dwuklasowa szko-
ła, jaką ukończyłem parę lat temu. Miała jedną salkę i *krasnyj ugołok* – ciasną świetlicę, gdzie wychowaw-
czyni czytała nam o raju na ziemi, który budują dla nas bolszewicy, walcząc z panami i Lachami. Niewie-
le z tego rozumiałem, za to moją uwagę przykuwała bałałajka i gitara bez strun, leżąca na parapecie. Po
lekcjach bawiliśmy się na placu w żołnierzy. Przebieraliśmy się w stare łachy, które wisiały na nas jak dzia-
dowskie torby. W niczym nie przypominały mundurów, ale nam to nie przeszkadzało. Biegaliśmy z paty-
kami, goniąc się nawzajem.

Poza tym były jeszcze dwie kapliczki. Jedna murowana, ufundowana przez rodzinę Białowąsów, dru-
ga drewniana, niedaleko domu moich dziadków. Chodziłem do niej co wieczór z babcią. Zanosiliśmy pod
obrazek Matki Boskiej kwiaty i pęki ziół, i odmawialiśmy zdrowaśki.

Nasza chałupa stała na obrzeżach sioła, przy samych polach. Po ataku dzikiej watahy ocalała tylko pod-
murówka z kamieni, które dziadek zwoził furą z pobliskiej rzeczki. Dom stałby do teraz, gdyby jakiś kudła-
ty oprych nie machnął na dach od niechcenia żarzące się polano.

Najpierw wybiegł dziadek w samych kalesonach, wygrażając pięścią i wołając o pomstę do nieba. Zo-
stał rozsiekany śmigającymi szablami. Za nim wybiegła babcia w rozchełstanej koszuli nocnej. Widząc strzy-
kającą krew z ran dziadka, upadła na kolana, wznosząc ramiona i wzywając Pana Boga na pomoc. Wtedy
uderzył w jej drżące plecy kopytem koń, padła na wznak i już się nie ruszyła. Widząc to, uciekłem w głąb
izby. Następnie wyskoczyłem przez okno komórki do ogrodu. Tam wczółgałem się pod krzaki agrestu.

Wylazłem ze swojej kryjówki dopiero przed mglistym świtem, kiedy umilkły wrzaski i tętent koni. Całe
Zaleszczyki wciąż dymiły. Na pobojowisko sfruwały głodne wróble, a skrzeczająca sroka przeszukiwała dzio-
bem zwisające z płotów gałgany. Wrony siadały na czubkach buczyny z dziobami pod wiatr. Zwłoki dziad-
ków zniknęły. Ktoś musiał je zabrać nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co. Także ciała pozostałych miesz-
kańców zniknęły. W stómie i na grzebieniu pomiędzy obejściami widziałem tylko zasychające plamy krwi

Zdecydowałem się wejść do chaty Lubaszków pokrytej blachą. Była spalona do połowy. Chodziłem powoli z kąta w kąt. Szafy, krzesła, łóżka znajdowały się na swoim miejscu, były jednak nadpalone i ziejące jakąś niewysłowioną skargą. Sterty poduszek, kołder i ubrań walały się po całej splądrowanej izbie... Ze strachu nie potrafiłem wykrztusić słowa. Położyłem się na rozprutym materacu z policzkiem wtulonym w dłoń. Nie pamiętam, jak długo tak przeleżałem. Śniły mi się zapachy jabłek. Jabłek turlających się w sadzie.

Obudziło mnie pianie koguta. Znalazłem dwa brezentowe worki. Do jednego włożyłem chleb, ser, cebulę, kartofle, marchew. Do drugiego spodnie, kurtkę, swetry. Na ramiona zarzuciłem sobie leżący na łóżku, włochaty koc. Z góry nagle posypały się na mnie duże płatki tłustej sadzy, kiedy obsunęła się jedna z belek podtrzymujących strop. W ostatniej chwili uchyliłem się przed ciosem. Porwałem jeszcze pęk łuczyswa i zapalki. Usiadłem na wyszczerbionym progu. Sąsiadów nie było. Nie miałem do kogo zwrócić się o pomoc. Wstałem więc i postanowiłem pójść w kierunku Czarnolesia.

Szedłem wzdłuż zarośniętych rowów. Wysokie, gęste bodiaki dawały mi poczucie bezpieczeństwa. Zboże falowało, chrobotwały napęczniałe kłosy, lecz nie miał ich kto zebrać. Gdzieś tam straszyły wielkie połacie ziemi stratowane końskimi kopytami. Dzwoniły świerszcze, kiedy słońce na chwilę wychynęło zza chmur. Nikogo, że oko wykoll!

Usiadłem na przydrożnym kamieniu. Zjadłem pajdę chleba z serem i cebulą. Pomyślałem o naszej szopie. Chociaż w takie dżdżyste dni jak ostatnio była zawilgocona i zagrzybiona, lubiłem w niej przesiadywać, obserwując otoczenie przez szpary.

Raz w tygodniu przyjeżdżał do nas stary Żyd Szemkel z łańcuchami, garnkami, patelniami i piłami. Jego fura podskakiwała na wybojach, a chuda chabeta głośno puszczała gazy. Wóz słyhać było już z daleka, więc dziadek otwierał skrzypiącą furtę i przykładął dłoń do czoła. Czasem towarzyszył Szemkelowi mały, rudawy Aronek z czapką na jajowatej głowie. Bawiliśmy się przy korycie wypełnionym wodą, puszcżając papierowe okręciiki. Aronek opowiadał mi wtedy swoje banialuki, a to że widział krowę ze skrzydłami albo latające ryby nad rzeką Piatigniówką. A to, że mnie zaprowadzi pewnego razu w takie miejsce świerkowego zagajnika pachnącego żywicą, gdzie błonoskrzydłe ważki wielkości myszołowa gadają ludzkim głosem. A to wreszcie, że wystarczy wysmarować się dokładnie smołą, żeby zniknąć z tego świata. Tak dzieje się z gojem, jednak jeśli robi to Żyd, od razu zamienia się w iskry!

Nagle serce zabiło mi jak u wróbla. Pójdę do Bobowej i odnajdę Szemkela!!! – pomyślałem. Opowiem mu, co się wydarzyło, na pewno mi pomoże. Nieraz zachodziłem do tego sztetla z dziadkiem, kiedy trzeba było coś naprawić czy zrobić gospodarskie zakupy.

Zerwał się wiatr, ciężka, granatowa chmura prawie dotykała czubków rozkołysanych drzew. Zastanowiłem się nad marszrutą i postanowiłem, że pójdę przesiekami. Najpierw olchową, potem brzozową, wreszcie dębową. Powinienem dotrzeć przed zmrokiem.

Gradowa chmura utknęła za moimi plecami – nad samym siołem. Odwróciłem się. Nad dymiącymi Zaleszczykami puściła się ulewa. Pojedyncze krople niesione przez wiatr uderzyły mnie w twarz. A może były to łzy?

Szedłem zdecydowanym krokiem. Oto słońce zaświeciło pięknym blaskiem na pniach. Zieleniły się pachnące drzewa. Ptaki fruwały z gałęzi na gałąź. W głębokiej kniei czmychnęły sarny.

Nie pamiętam, jak długo szedłem.

Zrobiłem sobie dwie przerwy na posiłek. Obserwowałem mrówki, wydzierające sobie okruchy chleba.

Kula słońca poczerwieniała, kiedy zatrzymałem się na skraju dębiny. Przede mną rozciągało się buraczane pole, za nim płynęła rzeka, a dalej znajdowała się żydowska osada. Wiodła do niej piaszczysta droga poorana bruzdami. Ciągłe ktoś wjeżdżał i wyjeżdżał, poganiając konie. Chałupy stały nienaruszone. Drewniane żurawie dumnie sięgały nieba. Dymek snuł się nad kominami. Ludzie kręcili się między domostwami powoli, leniwie, ze spokojem załatwiając swoje sprawy. Nikt ich nie najechał, nikt ich nie splądrował, nikt nie puścił ich siedzib z dymem. Ten sztetl na pewno miał swego anioła!

Poczekaliśmy do siwego zmierzchu, kiedy zapaliły się lampki w oknach. Zbiegłem ze wzgórza i pokonałem drewniany mostek. Gospodarstwo Szemkela znajdowało się gdzieś niedaleko wjazdowej bramy. Rozpознаwałem poszczególne domy: handlarza drewnem, sklepikarza i szewca, opasłego Samuela, prowadzącego skup króliczych skórek, Arona, współwłaściciela tartaku, krawca Barucha, u którego dziadek od niepamiętnych czasów łątał swoją wysłużoną kapotę, rzeźnika Zelka, prowadzącego w drugiej połowie budynku wyszynk i potężnego, niskiego Chaima, piekarza.

Wreszcie zobaczyłem Szemkela przy studni z daszkiem. Jego budynki gospodarskie były kryte blachą. Za niską szopą, w dyszącym sadzie znajdowała się wielka pasieka. Jego żona Rachela, stojąca w otwartym oknie, kruszyła czosnek w glinianej miseczce. Mocny zapach wypełniał całe podwórze, wdzierał się w nozdrza.

Gdy Szemkel mnie zauważył, na jego twarzy pojawiły się równocześnie i radość, i zmartwienie.

– Oj, oj, oj!... A toż to sam Stasiu Nalepiak nas odwiedził!... I wygląda jak dziesięć nieszczęść! – wykrzyknął, a potem zaczął knykciami związać brodę.

Rachela wychyliła się z okna, z rąk wypadła jej miseczka. Rozbeczałem się w jednej chwili, gdy zobaczyłem wybiegającego z sieni w moją stronę Aronka. Wtulił we mnie swój jajowaty łebek i chlapał.

– Byli u was... – wyszeptał Szemkel, kiwając głową. – Właź szybko do chaty.

Posadzili mnie za stołem. Dali pić i jeść.

Opowiedziałem o wydarzeniach minionej nocy.

– To robota Sergieja ze swoją bandą... Wyrzynają Polaków po siołach typy spod czerwonej gwiazdy. Straszne, straszne czasy nastały! Nie darują nawet dzieciakom... Co tu robić?... Aj waj... Co tu robić? – białolił Szemkel, a jego pobrużdżona twarz filowała w blasku świec, aż zupełnie się rozplynęła, zniknęła.

Zasnąłem z kawałkiem chałki w ręce.

Nocą obudziły mnie przytłumione głosy.

– Trza się pozbyć tego pogorzelnca, bo i za nas się wezmą. A jak jeszcze kto doniesie do ispołkomu, że trzymamy lachowego gojka, rozwałą jak nic – szeptała Rachela, z trudem łykając powietrze.

– Rebe Icchak gadał, co bolszewiki już pod samą Warszawą, a Pierwsza Konna Budionnego siepie szabelkami całe kresy. Widzi się, co już po Lachach – wtórował jej Szemkel i z przejęciem cmokał wargami. – Żyda z niego nie zrobimy, za jasny. A w sadzy za bardzo nam szernieje – próbował pokpiwać, lecz Rachela ucięła jak nożem.

– Durny ty! Szutki się go trzymają. Oby cię zjadły wszy i pluskwy – i wydała z siebie tylko słabe westchnienie.

Przypominałem sobie wtedy o smole, o jakiej opowiadał mi Aronek. Chciałem im o niej powiedzieć, lecz znowu zmorzył mnie sen.

Ledwo mnie docucono o bladym świetle.

– Staśku, pora już pora – potrząsał mną Szemkel dłuższą chwilę, zanim uświadomiłem sobie, że on to, a nie jakaś zjawą z mojego snu.

– Wywiozę cię stąd do Łóczewa, do mojego brata, krawca. A on już poradzi co dalej. Zna szlachetnych panów, przecież szył mundury polskim oficerom. Poradzi, na pewno poradzi co dalej – gderał Szemkel, naciągając mi porcięta.

Na progu wyczuła mnie Rachela. Objęliśmy się. Poczułem jej płaski, ciepły brzuch. Kto wie, jak długo jeszcze byśmy tak stali, gdyby nie gorączkowe napomnienia Szemkela. Na jego furze leżała wielka beczka wyścielana słomą. Miałem do niej wejść po to, żeby nikt mnie nie zobaczył. Kiedy umościłem się w środku, Szemkel dał mi prztyczka w nos.

– Zapamiętaj sobie to wszystko i uważaj, byś nie zapomniał opowiedzieć o tym swoim dzieciom, które daj Bóg, będziesz miał w lepszych czasach – westchnął, usiadł na koźle i pognął konia.

Szkapina ruszyła swoim miarowym, niezmiennym rytmem. Trochę wyściubiwszy głowę, zerkałem to w jedno, to w drugie okno. Zazdrościłem mieszkańcom ich spokojnego snu. Wyśpią się do woli w swoich

łózkach, a rano znowu wstaną do swoich codziennych zajęć. A ja? Gdzie ja będę? Wiatr ochłodził łzę na mojej twarzy. I całe szczęście, bo inaczej wypaliłaby dziurę na moim policzku.

Szybko zniknęły żurawie skrzypiące za furtami ogrodów. Słońce zaiskrzyło w zadrach ostatniego, walcącego się płotu. Ciemnozielona kosodrzewina błyszczała drobnymi kroplami rosy. Dymiły liście olch i leszczyn. Parowała tymotka.

Wjechaliśmy w cichy las, mieląc kołami piaszczysty dukt.

– No, wyłaż Stasinku. Tutaj to może cię przydybać tylko dzięcioł – stwierdził Szemkel i zrobił ku mnie maślane oczy. – Ależ pierzchoła, co?

Usiadłem na wygładzonej desce. Wyprostowałem kości. Ziewnąłem. Potem przeżegnałem się i zacząłem odmawiać „Zdrowaś Mario...”. Musiały mnie usłyszeć leśne ptaki, bo rozświergotały się na dobre.

Krawca pamiętałem jak przez mgłę. Miał czerwoną, jakby po oparzeniu, twarz, cielece łagodne oczy. Chodził w ciemnym chałacie, z dużym guzikiem na gardle.

Na ścianie jego zakładu wisiał szyld, a na nim wymalowany anioł z połatanymi skrzydłami.

– Ja potrafię zreperować nawet zużyte skrzydła! – mawiał z dumą, głaszcząc się po ciemnej brodzie i mrugając porozumiewawczo powiekami.

Szemkel zatrzymał wóz. Śledził przedpole. Zaniepokoił go wygnieciony owies i huk strzałów dobiegający zza horyzontu, nad którym wisiała rozedrgana, czarna chmura. Za leszczyną, za pasmem ugoru świeciły się pobielone ściany chat. Dochodziło stamtąd szczekanie psów.

– Zajedziemy do Wasyla Tokarczuka. On będzie wiedział, czy pchać się dalej, czy zawracać – zdecydował Szemkel i ostry skurcz przebiegł mu przez całe czoło.

Po chwili cmoknął na konia. Ten drgnął i leniwie ruszył przed siebie.

– Stasiu, a wleż z powrotem do beczki, bo coś tu się chyba majstruje...

Wjechaliśmy w ogrody. Czuć było gnijące pod drzewami owoce. Zapach omdlewający i słodki. Wieś spała albo nikogo nie było. Ujadały psy. Na szybach chat szeleściły suche wiązki konopi. Strwożony ponurą ciszą, Szemkel zaczął szeptać modlitwę, coraz głośniejsze powtarzając: Szma Israel..., Szma Israel...

Schowany w beczce nakryłem się instynktownie sianem.

Zatrzymaliśmy się przed płotem z chrustu, wplatanego poziomo między pionowe paliki.

– Jest pleciak, jest też i Wasyl – burknął Szemkel, zeskakując w grząski kopczyk. Otworzył trzeszczącą furtkę, wszedł na schody i postać chwilę. Z chałupy zwisała słoma, aż do ziemi. Małe okna błyszczały i znikwały w barwnej chmurze malw. Niebieskie drzwi były otwarte na oścież. Głodne kury, zdziwione widokiem gościa, wylaży na próg i zagdakały, jakby akurat zniosły jaja. Po zroszonej trawie biegały wróble.

– Wasylu, a wyrzuj yno do starego Żyda, z jakim Lachowe krowy pastęś! – zawołał Szemkel ze ściśniętą krtanią. Okrzyk miał być zawadiacki, wesoły, a okazał się żałośnie piskliwy.

– Co tak jęczysz, jakby cię ze skóry obdzierali – gruchnął z wnętrza chaty potężny głos.

W drzwiach pojawił się ogromny, jasnowłosy chłop ze słomą włosów tej samej barwy, co ta na poszyciu dachu. W jego ramionach Szemkel zniknął jak igła w stogu siana.

– Gdzie to cie nosi, kej wszędy strzelają, stary baranie? – zapytał Wasyl, poprawiając przepasaną sznurkiem rubaszkę. Zerknął na furę, na beczkę i zobaczył mój wychylający się ze środka łeb.

– Co to?... Szmugel?... Nu człowieku, bachory wozisz, hę? – zmarszczył brwi i potarł grzbiet nosa brudnym paluchem.

– Stasiu, chodź ku nam! – krzyknął Szemkel i zaczął wyjaśniać całą sytuację.

– Toż to Lach. Przekłęte nasienie. Zdurniałeś na starość! Z Polaczkami sztamę trzymasz? – wycodził Wasyl przez zęby i powoli zbliżył się ku mnie, podnosząc kułak.

– To Nalepiakowy syn, durniu, tego oficjera, co tu poległ, bijąc się z junkrami. A kto ci chudobę ocalił przed spaleniem? Już nie pamiętasz? – wrzasnął Szemkel, zaplatając i rozplatając palce.

– Tyn od Nalepiaka Kaźmirza? Jakimże to cudym? – jęknął Wasyl i spojrzał na mnie ze wzruszeniem. – Siołka, bidulek, i gadasz, co i dziadków mu zaharatali... A wścieknie glibko do izby – dodał, pchając nas ku sieni i rozglądając się na boki.

Na wspomnienie o moim ojcu krtań mi się ścisnęła do bólu. Jedni opowiadali, że nie zginął, a tylko został ciężko ranny. Inni wzruszali ramionami, dodając jednak bez przekonania: „Pagib, nu pagib...”. Więc dla mnie on ciągle żył.

Wasyl zapalił świecę. Po chwili parafina rozlała się szeroko po blacie stołu. Płomień skakał do góry i wirował drobnymi kółeczkami. Dopiero gdy Wasyl postawił przede mną miskę kaszy, zorientowałem się, że to były moje łzy. Jadłem dymiące krupy, popijając maślanką. Nastąpiła cisza i spokój, w kątach chrobotaly świerszcze.

– Do Złoczewa nie dojedziecie – zaczął wreszcie Wasyl. – Pełno band. Gwałty i lincze. Nie wiadomo kto wróg, a kto swój. Przedwczoraj przylazło do mnie po wygonie trzech strzelców, w połatanych i brudnych gimnaściorkach. Zapytali, czy tu kamandiry. Rozłożyłem tylko ręce. Ty się nie bój, gotuj żupę, powiedział jeden z nich o rudym zaroście i podał mi kurczaka z przekreśloną szyją. Mogli mnie rozwalić, a nie rozwalili, czort wie czemu? Za to wyczyścili mi spizarkę. Job ich mać! Przechwalali się, że Budionowcy już Bug przeszli, że już są nad Wisłą pod samą Warszawą i że roznoszą Lachów w drobny mak, gdzie się da. Brechali do świtu przy samogonie, między przekleństwami wyznając wszystkich Polaków i burżujów w pień. Nie spuszczałem z nich oka, uśmiechałem się i kornie potakiwałem głową... Tak, będzie inny świat – zakończył Wasyl, sięgając za pazuchę po machorkę. – Nikt nie wyjdzie z tego bez szwanku – i wlepił w nas swoje wodniste, niebieskie oczy.

Dym wyszedł z jego ust szary, kłębiasty, rozsnuwał się pod powałą. Ukraińiec i Żyd spojrzeli badawczo na mnie.

– Bezprizornyj, nawet jak nie ubijom, to wsadzą do dietkomu – westchnął Wasyl.

– Da, i napletek ma, i bużkę jak aniołek, z góry widać co mały Polaczek – westchnął Szemkel.

– I delikatiutki taki – dodał Wasyl. – Ani to parobek, ani najmak, ani chłopski inorodca.

– Żeby choć smagły albo żółtawy był – zawtórował mu Szemkel. Głaszcząc się po brodzie, ciągnął: – Jego dziadek Antoni już od dawna mi gadał, co chcą stąd wyjechać. Trzeba uciekać, trzeba uciekać, powtarzał, ale żal mu było gospodarki i wciąż czekał na jakąś okazję. Zbierał diengi dla przemysłowców. Oni już tam mają swoje szlaki, wiedzą, co i jak nawet w czasie wojny, mawiał, doprowadzą do celu.

– A gdzie? – ożywił się Wasyl.

– Do jakiegoś wuja w Radzyminie, co ma zakład stolarski, bo Antoni ciągle mówił o strugach, heblach i tarkach.

Znowu spojrzeli na mnie.

– Masz takiego wujka? – spytali jednocześnie.

Wzruszyłem ramionami. Nie mogłem sobie przypomnieć nikogo takiego. A dziadek nie rozmawiał ze mną o dawnych czasach. Poczekaj, aż dorośniesz! Wtedy zrozumiesz – tak zwykle ucinął moje ciekawskie pytania.

Mężczyźni medytowali dłuższy czas, bębniąc palcami po stole. Patrzyłem w okno. Czułem się jak w klasie przy tablicy, wyrwany do odpowiedzi, kiedy nie umiałem lekcji. Pomimo że było ciepło, kuliłem się z zimna, nieszczęścia i przemęczenia.

Plamy słońca igrały na ubitej polepie. Kury wydziobywały robaki, a potem trzepotały skrzydłami. Wydawało mi się, że słyszę trzask gałęzi. Za jabłonią, za plecionym płotem. Wasyl zerknął przez okno.

– Krasnoarmiejcy idut po wygonie – szepnął z przestrachem Wasyl. – Złażcie do nory! – rozkazał, przesuwając stół i podnosząc uwalaną ziemią kłapę. – Nu, bystreje, bystreje...

Znaleźliśmy się w dole, gdzie ukryte były worki kartofli, owsa, maki oraz różnych nasion. Cienka strużka światła wpadała przez wąziutką szparę. Wstrzymaliśmy oddech.

Wasyl wyszedł na próg. Zaczął rozmowę z żołnierzami. Ci wtargnęli do środka, tupiąc po całej izbie. Przetrzęsali kąty i zakamarki. Ryjąc bagnietami parawan dzielący wnętrze izby na pół, wołali:

– Białopoljakow zdjes niet!?... Dawaj napitku!... I wkuszał!...

Musiał wejść jakiś komendant, bo tupanie ustało i wszyscy stanęli na baczność.

– Wsjo w parjadkie, towariszcz lejtnant! – usłyszeliśmy głośny komunikat.

Potem zaczął się rozgardiasz. Wasyl zajął się piecem, coś gotował i przysmażał, bo woń posiłku docierała aż do nas. Zgrzytały chaotyczne głosy w radioodbiorniku albo w słuchawce telefonu.

Żołnierze z lejtnantem siedzieli do późna przy stole. Przez szparę widzieliśmy łopocące płomyki świec. Do izby wbiegali i wybiegali łącznicy, składając niezrozumiałe dla nas meldunki. Przesuwano miski z jedłem i dmuchano w samowar. To gwałtownie się o coś kłócono, to znów zapadała głucha cisza. Komendant zaczął wypypywać Wasyla o sytuację w rejonie. Musiał być niezadowolony z odpowiedzi, bo kilkakrotnie wrzasnął, aż dzwoniło w uszach: – Ty podlec!... Bięły szpion!... Ukrajeńska gnida!...

Coś niespodzianie plasnęło. Uderzenie naganem w głowę? Wasyl od razu upadł, zdążył jeszcze wycharczeć: – Ja chłop, nie sołdat...

Zamarliśmy z przerażenia. Szemkel wetknął sobie garść owsa w gardło. Na górze zaczął się rumor. Rozbijano sprzęty. Tłuczono, co się dało. Wybito okna. Rozlano naftę, która zaczęła ściekać do naszego dołu. Jeśli zapalą, to po nas! – pomyślałem, wciskając się pomiędzy worki.

– Rebjata, poszli! – krzyknął ktoś i po chwili dzikie hałasy ustały.

Ostrożnie podnieśliśmy klapę. Nad pobojowiskiem unosił się kurz. Cięły go wystraszone ćmy.

Żółte światło księżyca leżało na plecach Wasyla. Upadł twarzą do polepy. Jego ostatni oddech rozdmuchał sieczkę sprzed ust. Z dziury w głowie sączyła się czarna, gęstniejąca krew. Popatrzyłem w stronę drzwi. Próg był cały zafajdany.

– Tak znaczą teren, jak zwierzęta – ze smutkiem powiedział Szemkel, wygrzebując słomę z włosów. – Wracamy, nic tu po nas!

Szemkel dał szkapinie dwie garście owsa, którym miał wypchane kieszenie. Poklepał klaczkę po zadzie i ruszyliśmy po zapyłonej poświatą księżyca piaszczystej drodze.

Kiedy opuszczaliśmy ostatnie zręby chat, niebo przed nami całe stało w drgających łunach. Rozsnuwały się i wiły ogromne błyski pod gwiaździstym sklepieniem. Towarzyszył im huk wystrzałów i niosące się daleko po polach kanonady.

– Aj, biją się! – pisnął Szemkel drżącym głosem i pognął konia. Ten jednak tylko zastrzygł uszami i nawet o trochę nie zmienił swojego leniwego tempa.

– No wio, no wio, kochana! Bo nas tu zatłuką. Nie chcesz chyba, żebym cię polał przez wierzch – postraszył Szemkel i trzasnął batem.

Za kopnym polem obok stawu usłyszeliśmy za sobą miarowe skrzypienia. Obejrzałem się. Zobaczyłem ciągnące za nami fury, a na nich roztrzęsione kukły. Coraz bliżej dało się słyszeć chrapanie koni.

– Ludziska uciekają z pasiołków. Jedni znowu będą szukać burzanów na stepie, inni Kozaków po stanicach. Myślą, że w kupie będzie bezpieczniej. Im z nami, a nam z nimi nie po drodze! – stwierdził Szemkel i liznąwszy chabetę batem, skreślił w wąski dukt.

Tamci pojechali dalej. Wlekliśmy się wśród ostępów w jasnej, księżycowej nocy, purpurowiejącej na zachodzie, jakby kto pociągał brzytwą po niebie.

– Tam twoja Polska, tam twoje miejsce, tylko nie ma nijak do niej dojechać – powiedział ożywiony Szemkel. – A wnijdź do beczki i prześpij się... O świcie co poradzimy! – dodał, kołyszając się w rytm terkotania kół.

Wlałem w beczkę. Przez szparę widziałem, jak głucha przestrzeń owija się nocną mgłą...

2. miejsce w 22. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukshy „Mała ojczyzna – pogranicze kultur”, Kar-gowa 2021

* * *

po tamtej stronie granicy
długa czarna spódnica babci Elżbiety
ukrywa „liturgiczne skarby”

rozbita monstrancja
krzyż patera złoty kielich
w pośpiechu zrolowane obrazy świętych
nerwowo szepczą słowa modlitwy
z lękiem łapią oddech
pod długą czarną spódnicą babci Elżbiety

babciu wolniej
nie możemy złapać oddechu
ciiii... szepcze babcia
jeszcze tylko jeden
jeden zakręt w lewo
i będziecie w domu
czerwone gwiazdy i karabiny
nie zagarną was do magazynu cementu
długa czarna spódnica babci Elżbiety
odważnie niczym rycerz zbliża się do gniazda rodzinnego

po tamtej stronie granicy

* * *

Oldze Tokarczuk

po tamtej stronie granicy
anemiczny cenzor przeczesuje
 zaduszkowe chryzantemy
wyłuskuje tajemnicze mszyce
i zamyka w słoiku zapomnienia

po tamtej stronie granicy
my kobiety maszerujemy
 ulicami miast i placów
omijając martwe pomniki niepamięci
plujemy soczystą poezją
 „z obcego kanonu lektur”

za nami w rynsztokach
tchórzliwe zasięki tarcz
hełmy robotów
teleskopowe pałki
baterie dział gazu pieprzowego

przed nami
watahy wściekłych psów i wilków

z lęku przed słabością
 maszerujemy
my kobiety
 tanecznie maszerujemy

po tamtej stronie granicy
bieguni... bieguni... bieguni...

* * *

po tamtej stronie granicy
nieruchome stopy prababci Karoliny
na drewnianym tronie
kolebią się w rytm łacińskich modlitw

dzwonki wieszczą misterium fidei
i nieruchome wargi odmawiają
pater noster w języku niemieckim

świece błyszczą w skupieniu
kryształowy kielich i talerzyki
rozparły się na białym
heklowanym obrusie
świętość krzyża jest niepodważalna

z sześćioletnią powagą
ubrany w biało-złocisty ręcznik
odprawiam codzienną mszę świętą

Karolina modli się w intencji swojego męża
Mojego pradziadka Polaka
który opuścił ją przedwcześnie

dzwonki – punkt kulminacyjny
corpus christi szepcze
na język prababci z namaszczeniem
wkładam białą pastylkę miętową
drugą połykam w pośpiechu

po tamtej stronie granicy

W mojej wsi

*twardnieje na kamień dom i chleb, nieprzekadalne na inny język,
i mróz przenika, i tęsknota za ciepłą kotłdrą strzechy*

Moja wieś wyrosła z pieluch, dorosła do samodzielności. Tylko ciemność pozostała ta sama, jak przy narodzeniu. Próbuję nią oddychać. Smakuje pustką i niedokonaniem, pestkami kradzionych czereśni, z których nie wiadomo co wyrośnie. Ciemność nie wynika z braku światła ani ułomności wzroku. Stąd dokładnie widać odległe galaktyki, mleczne drogi kocich łap, pulsary i kratery na księżycowej mapie. Jak nazwać to coś, kiedy się patrzy i nie widzi, nie czuje równi drgań powietrza pomiędzy polami i powidoków w oknie. Utrata liczona jest zalem, z szerokim marginesem błędu. Punktem wyjścia, lustrem, którego nie okłamiesz, nie ukryjesz zaniedbań i zaniechań, pobielając drzewa szadzią. Od jakiegoś czasu dni są coraz krótsze i jakby szybsze tętno, po biernym oporze nieznaney wcześniej materii ciała. Zawisło między miodem i mlekiem płynącym strumykiem a obcym terytorium tabloidowych reklam. Skurczyło do rozmiarów odpustowego kogutka – Kolumba podwórka. Płaczą we mnie babki za chlebowym piecem, zapiekiem, na którym dziadkowi się zmarło. Mimikra światów spod strzechy i asfaltu, przenikanie wiary i nadziei w powrót do młodości, na kolana taty, gdzie było bezpiecznie, jak w jaskółczym gnieździe. Znałiśmy się od lat. Zawsze wracały w stajenną przestrzeń, pełną pajaków i much. I zawsze nie w porę pojawiał się kot, chociaż w piwnicznych odmętach brylowały myszy, on wołał słuchać szczebiotu. Rodzeństwo, ufne i wierne kołysce i nuconym pieśniami, zasypiało do następnego krzyku przerażenia nieobecnością. W kącie klęcznik do modlitwy i wiary w odpuszczenie. Ojciec nasz, jesteś. Jeszcze.

Moja wieś, podobna do zgarbionego świątka. Oboje na rozstaju rozmyślań i modlitw, na kołowrotku różańca przedający nitkę nadziei, pajęczą sieć, uwiątą w oknie świątyni. Patroni dobrej śmierci w kropkach święconej rosy. Oboje frasobliwi, zaśluchani w sen z rodzinnych albumów (na zdjęciach wychodzi się dobrze), alternatyw rzeczywistości. Obserwują granicę dwóch światów w załamaniu światła, przesuwając czas w przyszły. Droga jak pytajnik wiję się w nieskończoność, konieczną do dalszego ciągu wschodów i zachodów wciąż nowych słońc, wracających namolnie do siebie, na dzień i na noc. Po dachach skradają się koty i niepokój o deszcz. Spadnie na cztery łapy, czy słońce stopi asfalt, paląc nogi gołębiom, i nadzieję na okruszki chleba. Chleb powszedni troski o jutro. Ziemia, podobnie jak usta, otwiera się, pęka jak cierpkie wargi niedojrzałych kłosów. Nie będzie z tego ziarna – mówili, i na skróty, przez martwe morze, pod sklep ugasić pragnienie. Sklepowa Magdalena ma mokre włosy i oczy jej zachodzą malwą. Do rana rozrosną się w genealogiczne drzewa, obłapią kanarami i spadnie deszcz. Błogosławiony dzień siódmy. Niedziela. Książd grzmi. Będzie burza, niosąca z wiatrem tonącego z brzytwą. I stał się cud na polach wyobraźni. Kolejny los kupiony na loterii, wygrany, jak wszystkie szarobure dni. Jak wszystkie inne bezimienne, brzemienne dzieje, łaszące się do rąk, by ugniatać, formować ciasto tak, aż smak się spopieli w dożynkowym wieńcu. Katedra pod wezwaniem. Dzwon. Przekażcie sobie znak. Rozpoznasz zapach macierzanki, błękit chabrow, kształt kory klonu? Smak ulegalki, cierpkość chrzanu, ból przejechanego jeża? Jeśli znasz, to krzycz, jeśli nie – zamilcz. Moja wieś przepotwarzyła się w szramę na policzku mapy, płamę na honorze. Oślepta w biały dzień, ogłuchła w głuszy nocy. Straciła węch i miejsce swego zamieszkania. Przycichła wraz ze śmiercią bezdomnego psa. Nawet świeższe bardziej nieśmiało śpiewają psalmy przydrożnym krzyżom, w ramionach

których ptaki wiją gniazda. Wrosła we wspomnienia, niczym drzazga z rozbitej arki w ciało pod paznokciem. Zakładka niedokończonej strony, bród, który należy przejść, by poznać, co po drugiej stronie. Oswoiła się z miejscem, gdzie rzeczywistość toczy się w półkoszkach Wielkiego Wozu, wrzyna kołami w piasek mlecznej drogi, inwentaryzuje gwiazdy. Wykarczowana do siódmego pokolenia, zapomniana, jak fundament z kamieni, zapisanych kropla po kropli, nurtem pobliskiej rzeki słów, o świętości stołu i brzegu. Brzeg, nad którym rozbiła obóz, zamyka krwioobieg dróg. Każda z nich ma uzdrowicielską moc, choć każda zakłóca odwieczny rytm serca, stukotem butów i kół, oddala i zbliża nierówno, i nie po kolei prawo do życia w ramionach ziemi. Młody cmentarz zapełnia się szybko, jakby chciał szybciej doczekać starości, niż nowe osiedle domków z widokiem na przyszłość. Kościółek, żywcem przyklejony do wzgórza, jak garb do pleców, antidotum na wszelkie choroby, grzechy młodości i te niewydarzone, pomiędzy jawą i snem. Wszystkie ścieżki wiodą pod górę Tabor, skąd rozległy widok na krainę znaczeń *tymczasem*, rozciąga się jak *Przemienienie* zatrzymane w kadrze, głodne nowych wyzwań i doznań. Ciemna pępowina szosy, nieodcięta jeszcze od pośpiechu, w którym rodziło się nowe. Asfalt i przemijanie w reflektorach trwania, pielgrzymka dziękczynna za kurz polnej drogi. Czasami widzę, jak idą nią zmarli, z naftowymi lampami, niczym skomorochy, szukający siebie pod słupami wysokich napięć. Patrzą w niebieskie od telewizorów okna, myśląc, że są w niebie. Tylko język dymu, wysunięty spomiędzy warg komina, ciągle taki sam, mówiący, że ktoś tu jeszcze mieszka. W zakamarkach pajęczych sieci, parapety pełne tętna ciekawości świata, który ucieka szybciej od starości. Zostają linie papilarne cieni, znających świat tylko z sąsiedzkich rozmów przy wiadrze pełnym życia, ze studni skrywającej echa tajemnic kochanków i strzegącej lustra, w którym przegłąda się niebo. Wiele wody upłynie, zanim założą wodociąg. Korkociąg wynaleziono znacznie wcześniej. Zadumana nad końcem świata, który miał nadejść, ale nie nadchodzi. Wijąca dożynkowe wieńce jak motyle kokon, pomniki całorocznej pracy. Makowe panienki, niepamiętające pierwszego grzechu, i strach pilnujący szpaków przed wojną z czereśnią. Konie wrośnięte w uprzęż, gotowe do drogi i orki. Sznury rozciągnięte na wietrze, ubrane w rząd koszul.

Kapliczka, umajona babkami i matkami z dziećmi, dźwigająca brzemię modlitw i próśb o lekarstwo na wszystkie rany, złorzeczeń i grózb pod adresem nieobecnych. Spełniły się, kiedy piorun rozerwał parasol lipy i odtąd cień przychodził tylko wieczorem, i tylko wtedy można było się modlić, by nie spalić uniesień pod połacią nieba. To tu powstawały pierwsze wiersze, spłoszone nieudolnością dziękczynienia, pełne przyrzeczeń nigdy niespełnionych. Rodziły miłostki, wyznania aż po grób, jakby jutra miało więcej nie być, a miało być na zawsze. Polny konfesjonał, wyznanie win, pod wpływem najtańszego wina. Lżejszy bagaż, ciężki kac. I to wapno, nieskazitelna biel na twarzy chat i opłatka na sianku. Czas, taktownie wpijający się w płot dokumentem własności korników, w utwierdzonej granicę wolności sąsiada. Odwieczny dylemat kopczyków miedz, z kamieniem na karku. Ciężar narasta z każdą orką, czuć go pięścią zaciśniętą w gęstniejącym powietrzu i głośnych rozmowach wskazujących palców. Racja leży zazwyczaj pośrodku, w kawałkach darni obdzielającej pokolenia. Zakrzepłe w sepię, mutują kolorami *dziś*. Odwiecznie, jak rytuał bielenia ścian na wiosnę, i drzew, z troską, żeby nawet w nocy miały więcej światła, dla zagospodarowania samotności teleskopem Hubble'a.

Moja wieś, przez okna lasu z widokiem na pola, woła do mnie – wróć! Pora orać, pora siał, nie ma komu, nie ma kto, nie ma po co, nie ma jak. Tęskni malowany wiosną sad i studnia, jak oko babki wiedząca wszystko o wszystkim i wszystkich *happy endach* z profetyczną zdolnością *a nie mówiłam*. Dogłębnie zgodna z mądrością katedry domu i cmentarnej ziemi, przegrzebującej korespondencję między planetami. Między nami już nic się nie ułoży, chyba że w szarych komórkach załęgnięte miedze, obumrą jak gruszki na wierzbie, symfonie w polnej ciszy. Być może nie te zęby, nie ten orzech, nie ten chleb, czerstwy, chociaż świeży, pachnący jeszcze ściernią. Kto nigdy nie trzymał kosy w krwawiących odciskach dłoni, ten nigdy nie pozna jego prawdziwego smaku, jak cma smaku światła. Neurasteniczna melodia świtu, kiedy każdy kłos, cięż-

ki od relikwii ziarna, umiera, święty modlitwą o dobry plon, po to, by zmartwychwstać. Jest jak głos anielski zwiastujący światu cud narodzin nowego. Jeszcze skiba na drugim boku poleży przez zimę, obojętna na prowokację mrozu. Wiosna odgryzie pępowinę, zazielenienie ozimina. Przyspieszy tętno ziemi. Bezsensowność ma smak młodych liści wdrapujących się na drzewa. Trzymają się gałęzi, jak zziębnięte konie olszyn podmokłych łąk. Tamten smak powraca wraz z zapachem powietrza, nasiąkniętego świeżą orką, i troską o ptasie gniazda i glinę, z której ulepią przyszłość. Słońce w niebieskiej apasze i wygodnych butach, jeszcze pełnych jutra zakrzepłego nocą, dopóki ludwisarz nie odleje dzwonu, nie nastroi dźwięków, w porę największej słyszalności. Południe, doskonale imitujące nieskończoność, utopi w kwaśnym mleku wszystkie żale i bóle. Pomimo że wszystko inne się dzieje, zapomina, gubi w labiryntach spraw. Tylko pies w multikinie, niezmiennie, jak każdy dobry stróż, wyje z tęsknoty za utraconym sadem, zanim chwasty i chaszcze wessą dom.

Moja wieś jak królowa – nie chodzi po kinowych salach, to kino przyjeżdża do niej, z nowym seansem niespirytystycznym. Do kina prowadzą wszystkie ścieżki, lecz żadna nie kończy się filmem. Wystarczy, że można się spotkać, pogadać o tych, co na ekranie, porównać do naszych, przez odległość zdarzeń. Sala w domu kultury wypełniona krzesłami, głośność doskonała, i ekran gotowy. Afisze dawno rozklejone, i *motyl* zawitał do każdego domu, że *czterech pancernych* będzie dzisiaj u nas, i pies na dodatek. Nawet nie żal paznokci, obgryzionych ze strachu, że grzech, gdy się nie ma dokładnie, ile trzeba lat. Kiedyś będę miał, jak wąsy pod nosem, i sklep na kółkach, bym nie musiał chodzić, bo wszystko, co mi trzeba, dowiozą pod dom. Wystarczy wyjść przed próg, zapłacić gotówką lub kartą i nikt tu nie spyta o wiek. Dostawczak podjedzie, zatrąbi, poczeka, zapyta, co trzeba na jutro. Tu życie nie płynie, a tyka, jak zegar na kościelnej wieży. Kto wierzy, a wszyscy wierzący (na wszelki wypadek) w swą częstkę arkadii, początek nowego. Bez końca, bo boją się końca jak ognia (tego piekielnego). Już wiedzą, że dzieje się niedziela. Zwykła, jak pająki zagnieżdżone w kątach. Pokątnie, cichutko, zarzucają sieć na tych, co nie zdążą na poranną mszę. Więc kto może, na rower, kto nie może, na piechotę, byle być obecnym. Byle być, na drodze do szczęścia, okrytym sobolowym futrem, bo sąsiedzi patrzą.

I wystarczy pierwszy lepszy z ławki, żeby przestać wierzyć w sens istnienia mięsa na kości bez sierści, bo moja jest sierść sobola. I jak tu spamiętać, co mówił ksiądz, coś o miłosierdziu (chyba). Brzmi echo nieodebranych połączeń, oznajmiając światu, że nas coś ominęło, a czego nikt nie skomentuje. Nie sposób zapomnieć wszystkich „gdyby” i „ale”, widmowych, jak dzieci po zamknięciu szkoły, na co dzień tętniącej pytaniem „i co z was wyrośnie?”. Niedziela i obiad u babci, jak w krainie czarów, powrót do korzeni, odcięcie od schematu nietutejszości. Lajkowanie postów o rosole. Niedziela jest *best*. Jeszcze jeden powód, by zmartwychwstać na wsi. Pozostało trzy dni, by ośwoić współczesność, sobie tylko znanym sposobem na jutro. W miejscu, gdzie kiełkuje światło, wyrasta na monstrum, by zawisnąć nad horyzontem jak olbrzymi owad, zbierający purpurowy nektar, do babcinego kufra pełnego nadziei, na odczytanie zapisków z encyklopedii życia. Mądrości pokoleń w nierozpoznawalnych szyfrach. Dobrze jest znać kontury sensu, z którym przychodzi się na świat, dobrze wiedzieć, co znaczy kropla rzeźbiąca skałę sprzeczności, dobrze ściągać brzemień nieważności i prostować garb. Podziwiać piętno i gorycz rozdźwięków, rozbitych na piękno krajobrazów, plennych jak ziarno rzucone w ziemię, spijającą stare wino lata ze szkieletów traw. Wesele w remizie na rozdrożu dzielnie walczy z kurzem. Za stołami goście stwarzają swoje, własne światy, po ostatni łyk, zachłyśnięcie niepowtarzalnością głosu, śpiewanym na głosy „i jeszcze jeden, i jeszcze raz”. Wolontariat sąsiedzki, darmowa taksówka do snu. Przystanku tu nie ma, ostatni odjechał wraz z komfortem zakupów w internecie. Zapłątane w ugorach, leczycy będzie kaca, gasić rosą wewnętrzne płomienie zimnej wojny z sumieniem, że coś poszło nie tak.

Najgorsze są poniedziałki, remanent sztachet, przydrożnych słupków, sińców i ran od zatargów z niewinnością. Od tego nie ma przebaczenia i nie ma *mea culpa*, i nie ma zmiłuj się. Chyba że pod sklepem, na zeszły, na krechę, byle prędzej, bo nieobecni nie mają racji, a byt zagrożony kolejką po łyk. Do środy. W śro-

dy disco polo i wybór miss podkoszulka, mokrego od potu. Wyborów jest kilka. Penetracja sondaży, która z kim, w policzek czy w usta, latarnia czy ciemność. Wygrywają biodra i umiejętność objęć, akrobacji na drążku. Nieważne, od łopaty czy wideł. Ważne, by mieć wyobraźnię w kącikach ust, a w oczach isierki. I lubić słuchać poezję. W piątek jarmark, najprzyjemniejsze, co może się zdarzyć. Nauka dźwięków niesłychanych dawno. Rżenie koni i turkot wlewają się atropiną w lustro, rzeczywistością utraconego raju. Wędrówka ulicami rupieciarni, niczym po majestacie niebotycznych gór, hieroglifów przeszłości, jest jak laudandum kupione w bezimiennej pamięci, wybawieniem z traumy codzienności. Ze zdartej, winylowej płyty płynie głos pożyczony u Krawczyka. I choć czasem zawyje z tęsknoty, jak pies porzucony w psi los, to grunt, że cieszy, jak kiedyś kołysanka, na gruncie pękniętego dzbanu. Trzeba go odkupić, i blaszanego kogutka, i dębowy stół, centrum naszych rozmów, o ziemi wciąż obiecywanej.

Moja wieś przycupnięta na progu, jakby czekała na coś nowego. A nowe nieoczekiwanie przyszło po drobiazgi z szuflad, strychów, zakamarków cisz. Jak po swoje, bo stało się modnym mieć na własność kawałek dawności. Nić Ariadny, klucz do bajek z fotografii i imion wpatrzonych w jutro, które nie nadeszło, a działa się zawsze. Od kiedy pamiętam, było jak repeta wczorajszego dnia. Na boso, na przełaj, pod prąd, który dopiero co popłynął w żyłach wyprutych ze słupów wysokich napięć. Era nocnych świateł, pełzających wzdłuż ruchomych schodów strumyka. Echo szemrania czasu. Światła samolotów, lata świetlne kamieni i kosmosu, refleksy ognia w kominku, płaczące się pomiędzy drogą prowadzącą w odwrotne a wsią z krainy czarów. Rozstaje Frasobliwego, zbyt długo szukającego siebie poza sobą, by po retrospekcjach wyostrzyć samozachowawczy instynkt. W tym czasie i w tym samym miejscu nowe uwiło sobie gniazdo na genealogicznym drzewie. Dom, z nowym porządkiem podtekstu podwórka dzieciństwa. Huśtawka smartfonów, nastrojów wyrzesujących z siebie ogień, i swąd, zamykający świat w Domach Dziecka. Wystarczy kliknąć, by przenieść się do krainy spełnionych marzeń, o szerokich polach wyobraźni, z kosmopolityczną przestrzenią neurastenicznych melodii. Trzepaki mózgów, magle charakterów, pomiędzy szarymi komórkami celów. Piekarnia za rogiem, w białym kitlu świtu, porodówka chleba. Łąka supermarketu, muczenie aut. Karton mleka. Cud tworzenia, czegoś z niczego, wspólnego, jak łązienka pod krzakiem, namiastka wolności, wyrosła na korzeniach niespokojnych snów o gałęziach, wśród których tylko strach na wróble taki sam.

Śni mi się po nocach, coraz przejrzysiej, bardziej gorączkowo, coraz piękniejsza, karmelitka bosa na castingu wzruszeń. W zimowej szacie gronostaja przestrzeni, znika kusząco w zwolnionym rytmie darcia piór, i oparach pieśni o głębokich studzienkach, rozmarynach i chłopcach z tamtych lat. Pod oknem mężowie rzną w karty, skraplają się winy i zale w gorycz okowity, wyszukującej w buncie usprawiedliwień dla zapętlających się coraz bardziej języków i pięści. Każda wieś ma swojego Romea i Julię, wesele Figara, i sen nocy letniej. Na razie jest zima, w dziurawej arce stodoły trzeźwieją głowy przy cepach, przetrącających kręgosłupy kłosem, wysypują się ziarna, budują się mięśnie, rośnie umiejętność wywijania, równo i sprawiedliwie. Takie światło pojawia się tylko we śnie, kiedy płonie chlebowy piec, pęcznieje dzieża i rośnie błogosławieństwo sytości, pomimo nie najlepszych prognoz. Sztukmistrze siedmiu tłustych lat. Chudsze będą kiedyś, kiedy słońce wypali wspomnienia poprzednich. Składają dłoń w kapliczki swoich żon, paciorki pszenicy w różaniec bez słów. Jeszcze wiatr oddzieli plewy od sedna, sny od drogi powrotu, po wychyleniu się z gniazda. Na przekór wiejskim plotkom o ucieczce do miasta, by tam szukać pracy na inwalidzkim wózku. Nieobecni nie mają racji w żadnym języku, i nie potrafią przetłumaczyć smaku świniobicia na język wędliny, szczawiowej zupy na niebo w gębie, ani końskiego potu na aromat siana. Podobno echo ma największy polot przy powrocie z pełni pustki w pustkę, z której nie ma odwrotu. Jest szansa na jej wypełnienie twoją obecnością, jak zepsuty ząb plombą, jak szkło lampy naftą. Zaboli, jak paznokieć wrastający w ciało, wierszem.

Moja wieś, ciągniona na sznurze obowiązkowych dostaw, do perfekcji świętości sojuszu robotniczo-chłopskiego, wierna maksymie „co cesarskie cesarzowi, a co boskie Bogu”, niepiśmienna, chociaż potrafiąca czytać z gwiazd pogodę, a ziołami leczyć najgorsze choroby i zabiżniać rany. Czteroklasowa szkoła wyż-

sza, ze świadectwem z paskiem (tym od tatowych spodni). Jednak szramy na korze grusz i jabłoni świadczyły, że umieliśmy pisać i patrzeć z uwagą na wagę, kiedy sklepowa w zwiniętą tubkę papieru wsypywała cukier. Zwijaliśmy się jak postrzelony pies, żeby się oprzeć pokusie. Jeszcze większa była na buty, które dzieliliśmy solidarnie na te do kościoła i na te do szkoły. Na co dzień była własna skóra, zaprawiona w bojach z kamieniami, kolcami i wszystkimi innymi obecnościami rzeczy martwych, wbrew rzeczom niewidzialnym, takimi jak most nad przepaścią. Jak długo można tłumaczyć stopom, że są bose? Ile użyć brzydkich słów, które strącaliśmy z siebie, jak ze śliw chrabąszcze? Uczyliśmy się czytać listy od kolegów z klasy, którzy przeszli do następnej, zaciągając zasłony o kolorze blizny. Fenickie lustra, szukające igły w stogu siana, dwa światy, odległe od siebie o szybę, o smak kompotu z suszek, którego nic nie zmąci. Zmurszałe płoty zastąpiła siatka i nostalgia za wizytą zającą. Lipa, pod którą dziadek strugał świątką do przydrożnej samotni, osamotniała, jak zaległe rachunki za prąd. Tylko cisza wraca pamięcią do miejsc zagnieźdzeń, jak wahał się słońce, kołyszące czas w gałęziach. Ubywa nas i plotek z młodości, listy nie dochodzą znikąd. Uczyliśmy się tyle lat, żeby dziś nie umieć pisać. Jedynie pod pergaminem skóry litery drżą, jak ryby w naszym strumyku. I chociaż ryb już nie ma, moja wieś czasami wypływa na powierzchnię. Próbuje odbić się od dna, oddala się coraz dalej od źródła, gdzie woda najczystsza. Zasysa strzępy ciszy, po wielu rejsach w amplitudach powietrza pachnącego fenolem, coraz bardziej śnięta, coraz częściej senna. Z wenflonem przeciwił i wiary w ciało zmartwychwstanie, szybko goi rany, zapominając skąd, którędy i dokąd. Zdziwiona, że skądinąd się bierze ta ciekawość świata, która każe podziwiać nawet polny kamień, wrośnięty w miedzę lata świetlne temu, jak pastuch elektryczny, rozgraniczający stare od nowego. Zaszła za szybko daleko, jak w ciążę córka kościelnego. Skarłała za kratami cieni drzew, wyrosłych z samosiejek, na opuszczonej przez Boga i ludzi niwie, zniewolona kajdanami chaszczy, z kulą u nogi słupów wysokich napięć, pięciolini telegraficznych skrótów śpiewno-osobistego życia spod znaku raka. Zelektryzowana myślą o niedociągnięciach, nadgania stracony czas, oglądając filmy *science fiction* na tabletach wnuków, w trakcie ich odlotów na Księżyc lub innego Marsa. Na maksa między *być* a *mieć*, bez świadomości posiadania miejsca w wąziutkiej szczelinie, na styku kciuka i wskazującego, w której zmieścić można wszystko; świat, który nas uwiódł, i który zostawił, jak niewierną żonę. Labiryntem bez wyjścia wędruje jak kret, budując pomnik swojej tu bytności – ostatni kopczyk, o który się potknie, i wpadnie w czarną dziurę wszechświata. Moja wieś jeszcze wierzy, że jest jego środkiem, z pępownią szosy, tłoczącej w krwioobieg nową krew i sen, w którym schowa wszystkie wyrzucone rzeczy. Z marzeń ułoży tęsknotę, z piasku bicz. Klucz do drzwi z rzeczywistością wczoraj, by kiedy przyjdzie pora, wstać i iść, otworzyć co dawno zamknięte, odtworzyć zapomniany film. Na przełaj, na boso, pod strzechę, gdzie usnęło dzieciństwo, gdzie bocian w kapuście, truskawki w śmietanie i śmiech, taki dziecięcy, beztroski, gdzie miłość, uwolniona z blizn, ciało z potu. Jeszcze tylko pokroić chleb – żeby dla wszystkich, po dawnemu, ręką, która siała len na główkach dzieci, kalcząc się w kółkach mroku.

Moja wieś, kaflowy, chleбny piec przesypujący pamięć w popiół. Dziury w płocie, jedyne ślady dzieciństwa, ze świadomością grzechu podpatrywania intymnych światów, prawie dorosłych do robienia brzydkich rzeczy, dla nas ciekawszych, od skradanie się po owoce sąsiedzkiej pracy. Śpiewająca kamykami ścieżka, wiodąca na manowce strachy ojcowskiego paska, zarosła pełnią lata, i szczawiowym smakiem powrotu na kolację. Komórka, skrywająca skarby, pod ciężarem których ugiwały się półki, a ślina spływała z łoskotem do gardła. Kapliczka, zawsze pełna kwiatów z szafotu wdzięczności polnych ogrodów, i modlitw dziękczynnych na tę samą melodię co kiedyś. Kiedyś to była wieś, mówili wcześniej ci, którzy już zdążyli przesypać klepsydrę na drugą stronę czasu. I było to coś, co pozwalało dalej iść, zdobywać, skiba po skibie, wyrwać ziemi przestrzeń rodzenia. Nawet dzieci, rodziły się w zagonach kapusty, pod czujnym okiem bociana, w przekonaniu, że miłość to grzech, a podskórne ogniska sypialnią szatana. Babka robiła, co mogła, siłowała się ze Złym sproszkowanym zielem. Sobie tylko znanym sposobem, zapętlala ciszę w zaciskanych

gardłach. Odczyniała uroki z najpiękniejszych panien, rzuconych przez zazdrosną wiedźmę o widoki w lustrze i te, co za oknem. Bywało, że na próżno, gdy urok raz rzucony, już na zawsze pozostawał stygmatem, jak pręga na szyi wisielca.

W imperium babki królowały strzępy duchów, znaków obecności spraw jakże dawnych i zawiłych, zagubionych w kadzidłowym dymie, że w głowie się kręciło, od cudem ożywionych, nienamacalnych śladów jestestwa, rozrzuconych po cmentarzach prochów. Pomiędzy jedną arkadią a drugą, była przestrzeń skrojona na miarę potrzeb, łąka pod stopami i ta gwieździsta nad głowami. Słoneczne łany za bramą lasu, bijące w płonach serce wioski. Echo rżenia i kopyt, świst bata. Skiba opalająca boki, długa jak ogon pawia, stąd, aż do Frasobliwego, grającego w szachy z jeźdźcem Apokalipsy, na szachownicy pól. Subtelna biel brzozy i cień południa, popijający kwaśne mleko.

Moja wieś otulona pędem, wiatr we włosach drzew, rozniecający ogień liści. W oczach jesień, ta, z kluczami ptaków, i ta, z drugiej strony lustra. Kartofliska dymią, jak dziadkowa fajka pokoju, w chwilach największych wojen z własnymi myślami. Wzburzone morze skib, nawróconych na prawidłową stronę płodności. Karimata, na której spoczną ziarna wymknięte z rąk, jak wrześniowy deszcz, ciepły jeszcze wspomnieniem lata, wypływający z ust ziemi kamienie, i schodzone buty siwkowej podkowy. Ekshumacja poprzedniej epoki, pierwotnego lęku o przetrwanie. Pęd czasu i pęd winorośli wrośnięte w krajobraz przeczekania *teraz*, zagubione we mgłę, zanim słońce pocałuje kota.

W świetle wydarzeń z Facebooka wszystko wydaje się przeszłe, nijakie. Nijak oswoić się z myślą, że przecież można inaczej, bez drzwi, bez klamek. Można po prostu wyjść i nie wracać. Spreparować ranę, na której wyrosną kwiaty obcego ogrodu, gdzie ptak zaśpiewa w nieznanym języku. Otworzyć się między wymiarami wszechświata na ślad ludzkiej stopy w pokrzywach za szopą, gdzie pierwsza miłość wydeptywała szorstkie, bose pięty, do bram świątyni otwartego ciała. Moja wieś nie nadąza za chęcią tęsknoty bycia sobą w sobie. Wciska białą flagę w głębokość mandali, za horyzont myśli przyprawionych łzą. Odwraca twarz do środka, żeby nikt nie widział smutku zawiedzionej matki.

Żalu za grzech zaniechania, niezapisania skrawków czasu, ze stodół ufnie czekających na cud spełnienia, wypełnienia treścią przypowieści o rozmnożeniu chleba, arkadię pachnącą rzepakiem i chlebowym piecem. Smak kradzionych jabłek pozwala wciąż wierzyć w powroty. Pieta drogowskazem na drodze drabiniastych wozów, głosek polnego różańca z paciorków czereśniowych pestek. Happening miejsc świerszczowych, na podniebnych ścieżkach, dzwon deszczu na blasze skrywającej pustkę. Dzban gliniany, z wiązką martwych kwiatów, jak sen zasuszony w popiół, na początku, czy na końcu świata. Jak kartka papieru – raz zgięta, ślad na zawsze zostawi, niczym odcisk zbyt rozległy, żeby się zagoić.

Rdzawa zadra na świeżo lśniącej skórze kabrioletu. Wysepka oczeretu trzymająca się bagna, niczym dym komina, molekularnej struktury cegły i kamienia. Najprawdziwszego miejsca starego porzekadła, że nie wszystko, co się świeci, jest od razu złotem. Miała swoje pięć minut, baśniowy okruh, oderwany od snów o świetności marzeń, z zamiarem zamiany ciepła strzechy, na wykwinność blachy. Bilet do przyszłości mieszkań na poddaszu, skąd rozległy widok na krainę znaczeń, gdzie coś się zaczyna i zarazem kończy. Uniwersalność spełnień w punktach zwrotnych czasu, dryfującym pomiędzy łanem zboża a słomianą kicą, transwiekową łodzią z suflerem nowego. Moja wieś jeszcze żyje, chociaż w środku martwa, jak wierzbą, w której próchno świeci żywym światłem gwiazdy, prowadzącej na bezdroża łąki – najprawdziwsze miejsce, znane tylko starym fotografiom, gdzie czas umiera wolniej, jak w babcinej spizarni krajobrazy lata. Jest tylko zakładką żywej opowieści, przejściem z czasoprzestrzeni, osnutej pajęczyną, jak owad bursztynem, do palców, zanurzonych w ranach wytuskiwanych spod ziemi korzeni. Pomalowanych kredkami tego, co już było, na podobieństwo i obraz czasowego kwazaru w galaktyce marzeń, spadających zawsze, jak kot, na cztery łapy codzienności. Fundamentów, od których trudno się oderwać, przejść obok widoku stracha na bliżnie czereśni, tak bliskiej kiedyś, jak koszula ciału, po ranie wyrzeźbionej w korze szczyrykiem mi-

łości, pierwszej, i ostatniej, czterdzieści lat temu. Żelbeton, na którym oparła swe imię, wrośnięte w krwioobieg pamięci o cieniach wyplatających koszyki z wikliny, i łuskających „pięknego jaśka” na zupe omaszczoną sperką, wiszącą dotychczas na strychu, wykadrowaną do rozmiarów postu. Post, jak tęsknota przybiera różne smaki, przechodzi w rozwodnione śliną myśli o wyższości kromki nad skibką, niedojrzałych jabłek z za płotu nad modlitwę o całość spodenek po spotkaniu z psem sąsiada. Każde przełknięcie sprawia ból ściśniętego gardła, jakby paliła go wina tłukąca się w żebrach, jak ptak schwyty w sidła. Tętno, mierzące tamten czas na dźwiękowych ścieżkach podniebnych kapeli, rzenia koni, i tętent pustki po wyciętym drzewie. Nerozłączna intymność dymu, ognia i wody rodząca popiół. Metafizyka snów nie zastąpi czyjejś nieobecności zapachem dzieciństwa, z utrudnionym dostępem do sklepowych witryn, rozstępujących się mórz Niemożności zakupu czegokolwiek. Inny wymiar chemii tego, co chcieliśmy, z tym, co chcielibyśmy. Kompromis strzegący tajemnic głodu w kuchennym oknie.

Moja wieś jest diamentem oprawionym w onyks, ramy tego, co było, a co pozostało wiernym sercu obrazem, łodzi dryfującej pomiędzy miedzami, jak gwiazdy o świecie spłoszone przestrachem, że nie zdążą do gniazda, zanim mgła niepamięci przesłoni im ścieżki podświetlone słońcem. Wyspą, na której życiowi rozbitkowie poszukują szczęścia w nicnierobieniu pod sklepem. Gdzie miesza się szlaki, płaczą języki, poklepywania i uściski, rozdrapujące przeszłość do pierwszej krwi, do doskonałego scalenia bytowego minimum z ziemią, ciałem matki. Świat spoza jest jak pieta, wybawieniem od falstartu śmierci z niewiadomej, a świadomej przyczyny, bez ciężaru, bez jakiegokolwiek bólu.

Konkurencja baru nawet nocą nie śpi, bo trzeba się jakoś trzymać, choćby sztachet płotu, żeby dojść.

Powrócić do źródła, napić się wody czystej jak łza. Odświeżyć oddech świeżo zaparzoną miętą w samym sercu kaflowego pieca. Pozdrowić jaskółkę prostującą myśli na pięciolinii spełnionego czasu.

Zaplątać język w tamten smak niedojrzałych owoców z za płotu. Podzielić siebie pół na pół, na wyspy szczęśliwe pośród wzburzonego morza, i malwy wchodzące do domu przez okna ze wzgórze pleców, które nie ma końca. Być sobą poza sobą, cieniem ostatniego wiersza więdącego na rozstaju dróg, jak świątek bosonogi na obraz nasz i podobieństwo. Podróż po ostatni sen jest jak dezerterujące echo, przysiadłe okrakiem na między obrosłej dawnością, by srebrno-perlisty głos dzwonów majowych przywołać. Trzeba się spieszyć, żeby zdążyć dojrzeć przed jutrem, zatrzeć ślady powłóczystych spojrzeń w tamtą stronę pamięci, między skorupą a brzękiem, zanim wnyki zacisną na szyi palce zniewolenia, zanim wzejdą głązy z rozsianych kamieni. Niecą się w gwiazdach zarysy miast, kręgosłupy rzek, bezimienne porty bez gwarancji odzyskania słońca, by wysublimować z nocy subtelniejszy rysunek cienia, rysę na królestwie zmysłów. Klaustrrofobia echa poprzedniego dnia rozrasta się jak cmentarz, jarzy tysiącami zniczy. Wabi oddech unikalnym kształtem słów pisanych brajlem w listach do przeszłości. Namacalny kod powrotu do studni, z której piliśmy pierwszą miłość. Droga przechylili się wieczorem w spękaną korę blizny. Do ran przytula się dłonie. Zaboli w wątlm krzyżu ramion, gdy aureola, niczym żniwny sierp, zawisnie nad koroną. Znów umrze przetrącony kłos, wysypią się ziarna na ściernie. Poczeka na niebieskie ptaki deszcz, może coś zostanie. Ubywa makatkowych twarzy i pejzaży, tylko malwy czekają na próżno, wyrosłe ponad dom. Siano w moich dłoniach zstępuje pod obrus, opłatek złamany, jak słowo dane kiedyś ojcu. Trzeba wziąć się w garść. Między okiem a oknem zakotwiczyć cztery ściany na skale. Zawierzyć latarni pomiędzy *tu i teraz*. Przebłągać miejsce w sobie, przepłoszyć ły z policzka, z piersi kamień, aż pola zapachną chlebem, bez otwierania ran i oczu.

NIESKOŃCZONOŚĆ
PRZELEWA SIĘ
FAŁDĄ WYDM
W OSTRZU
CHWILI
DNIA
NA
I
PO
JEST
SŁOWEM
ZASIANYM
ZIARENKIEM
PO PRZEJŚCIU
W GARDLE CZASU

PRZEZ ŻYCIE

STARAM SIĘ IŚĆ

PO PASACH

BEZ SZALEŃSTW

BEZPIECZNIE

Poranek

Budzik nie dzwonił, choć już powinien. Trzydzieści lat tego samego porannego rytuału – dźwięk budzika, uścisk żoninej dłoni, potem gorący prysznic i upojny aromat kawy parzonej przez kochającą żoneczkę.

Ale niekiedy bywa nieco inaczej – budzik, uścisk żoninej dłoni, szybki seks, a dopiero potem prysznic i kawa. Przy takim wariacie uścisk jej dłoni bywa nieco dłuższy, cieplejszy i jakby bardziej czuły.

I taki jest właśnie teraz. Ale to coś, co niegdyś odczuwał, umiejscawiało się zawsze gdzieś tam w łędźwiach. A tym razem usadowiło się trochę poniżej grdyki i ma całkiem inny smak – zdecydowanie słodki, zupełnie inny niż lędźwiowe pikantne podszczypywanie.

Zdziwił się, bo ta słodycz była bardzo przyjemna, miał wrażenie, że jest jeszcze przyjemniejsza niż seksualna podnieta. Dotychczas uważał, że nic nie może równać się z seksem, a tu masz – chyba może. Bał się, że jeśli teraz wykona jakikolwiek ruch, to ta wszechogarniająca go słodycz ulotni się jak aromat codziennych porannych kaw. Nie wykonywał więc żadnego ruchu, z ogromną przyjemnością przyjmując żoniną pieśczętę.

No tak, ale jeśli żona głaszcze jego dłoń, to w tym czasie nie parzy mu kawy. A niech tam, myśl ta przemyka jak nic nie znacząca mucha, która właśnie bezczelnie usadowiła się na jego czole. Jest mu tak słodko, tak błogo, że nie ma chęci jej odpędzać i gotów jest wyszeptać faustowskie: „Trwaj, chwilo...”. Napawa się tym nowym, niezwykłym odczuciem, spokojnie leżąc na wznak.

Żona dziwiła się często, jak można tak spać, gdyż sama zazwyczaj zwija się w kłębek jak kot, ale on nawet nie próbował jej tłumaczyć, że to właśnie jest ta właściwa, normalna pozycja normalnego, zdrowego mężczyzny.

No tak, zdrowego, choć ostatnio przytrafiały mu się drobne niedyspozycje – a to lekki bezdech, a to jakaś duszność, a to ucisk pod mostkiem, ale on ignorował je z taką nonszalancją, z jaką zbywał wszelkie niedogodności zawodowe. A tych los mu nie szczędził w ciągu trzydziestoletniej kariery dyrektorskiej.

No tak, teraz najbardziej przydałaby się kawa, palicho seks i prysznic. Zatęsknił za jej aromatem, ale nie chciał żonie przerywać pieśczęt, więc trwał w błogim bezruchu, nie otwierając oczu. Zdziwiło go tylko, że cicha muzyka, dochodząca jakby gdzieś tam z oddali, była zupełnie inna niż ostry rock and roll, który żona serwowała mu zawsze o poranku. Teraz to było coś z klasyki, coś kojąco spokojnego. Czyżby żona tak diametralnie zmieniła swoje upodobania?

Po chwili poczuł silny aromat, ale to nie była kawa. Drzewo sandałowe? Sosna? Tabaka? Mirra? No tak, kadzidło.

No dobrze, niech będzie kadzidło, byleby nie ulotniła się ta błogość, która konsekwentnie zaczęła za-właszczać resztę jego ciała. Czuł już ją w ramionach, potem w mostku, a po chwili też w okolicy bioder. Mało tego, ta słodycz zalewała go nawet wówczas, gdy żona przestała go głaskać. Leżał nieruchomo napawając się nowym, błogim doznaniem.

Po chwili poczuł, że znów ktoś chwyta jego dłoń, ale to już nie była żona. Uścisk był twardy, mocny, krótki. Za chwilę kolejny, a potem następny, następny i następne. Próbował otworzyć oczy, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale nie mógł, gdyż powieki miał jak z betonu albo ze stali.

Do intensywnych aromatów dołączył się jeszcze jeden – zapach lilii. I dźwięk dzwoneczków, a potem rozległa się muzyka organowa i męski tenor wwiercił się w zapach lilii, kadzidła i w tę błogą słodycz, która zawaładnęła już całym jego ciałem.

O, cholera, w testamentie zapomniał zaznaczyć, że w razie czego ceremonia ma być świecka.

Zagubiony między sobą a sobą

Między sobą a sobą
Odarty ze złudzeń,
A moje myśli bezładnie chodzą
Jedna po drugiej.
Na ślepo, między mną a mną,
Niepewne, złąknione,
Pod ciężką powieką
Zgubione.
Oblekają mnie w szaty
Nieznane,
Przywdziewają maski
Niechciane.
I ciągną mnie,
Gdzie jeszcze nie byłem.
W godzinie tej,
Nim się narodziłem.
I słyszę,
Jak skóra mej duszy pęka,
Jak ciszę
Pięść konieczności nęka.
Rodzę się na nowo.
Kim będę? Nie wiem...
Z inną już głową,
Pod innym niebem.

* * *

W moim pustym domu
tapeta słów odkleja się od ścian
obrazy chwil odarte z ram
ograbione z kolorów.
W moim pustym domu
podłoga skrzypi dni minionych snami
i rani
nie służąc nikomu.
W moim pustym domu
z kranu kapią krople ciszy...
głucho, tępo. Nikt ich nie słyszy
kapią po kryjomu.
Tylko wiatr dmucha w żółkłe firany marzeń
jakby chciał tchnąć życie w pusty dom
a jego ciepły, cichy ton
wciąż dalej i dalej iść mi każe.

Marek Krukowski

Zapiski bez znaczenia

(fragment powieści)

Nagle czerwiec. Przecież to niedorzeczne.

Coraz mniej czuję się kobietą. Coraz bardziej po prostu czuję się. Bezosobowym się. Ale żeby była jasność, Adam wciąż co miesiąc przelewa na moje konto połowę swojej pensji. Według mnie to uczciwy układ.

Nagle Polska stała się europejskim liderem w dobowej liczbie nowych zakażeń.

– Nastąpiło wstanie z łóżka – oznajmiła radośnie Pusa. – A wiesz, co teraz nastąpi? Wiesz, czy tylko się domyślasz?

Zaśmiałam się i pokręciłam przecząco głową.

– Polaczek jeden miał koników siedem. Pojechał na wojnę, ostał mu się jeden – zaśpiewała.

– Co ty kombinujesz?

– Nic nie kombinuję, ja cię tylko wrabiam.

Babka od rana szaleje w kuchni, tłukąc garnkami. Wyklóca się z dziadkiem o pierdoły. Nie gadam z nią. Mam ochotę ją kopnąć.

W tym starym domu ciągle coś się psuje. Słuczka w sraczu. Ich telewizor. To gdzieś osiada we mnie. Kładzie się cieniem. Słuczka w sraczu. Ich telewizor.

Adam głaszcze mnie po głowie i podsuwa mi swoje tabletki.

Druga połowa czerwca. Kasztany dawno przekwitły. A matury dopiero teraz. Z oddali przyglądam się młodym, zdezorientowanym ludziom. Nieliczni biorą udział w protestach. Idą w marszach. Strajkują. A większość?

Nie mam pojęcia.

W mediach jedni szczują przeciw drugim. Gdzieś pomiędzy unosi się plankton trzecich. Pod koniec czerwca wybierzemy pana prezydenta.

Moje zapiski prowadzę niepoddana żadnej dyscyplinie. I co się tu dziwić, że wciąż pozostaję nieznaną pisarką?

Zapraszam na herbatkę i pogawędkę: Wrocławska 58.

Na dzisiaj wyczerpałam mój limit.

Na cztery dni wymknęliśmy się z Adamem spod słonecznego terroru i uciekliśmy nad polskie morze. Trzy słowa: mgły, wiatr i deszcze.

Teraz znów ten sam stół pomiędzy nami i my naprzeciwko siebie.

– Opowiedz mi coś.

– Co mam ci opowiedzieć? – pyta Adam.

Moje książki się nie sprzedają. Ale i tak napiszę tę trzecią. Bo co innego mi pozostało?

To wydarzyło się raptem wczoraj czy też pół wieku temu?

O północy poszliśmy na plażę. Usiedliśmy na wilgotnym piasku. Otuleni kocem. Piliśmy z butelki czerwone wino.

– A co by było, gdyby morze nie falowało?

– Wówczas nie byłoby morzem – odparłam spokojnie, wpatrzona w czerniejący horyzont.

Języki fal rozbryzgiwały się u naszych stóp. Zamglone gwiazdy drżały z zimna. Piasek plaży wilgotniał i roił się od drobiny i znaków zapytania. Języki fal wyrzucały wciąż nowe i zagarniały te stare. Wciągały w głąb ciemnego brzucha morza.

Wpełzłam pod jego pachę i zastygłam.

Wciąż słyszę, jak morze szumi z wielkiej oddali. A może to tylko ulica smutno śpiewa za uchylonym oknem.

Ogarnęła nas senność. Dogłębna. Podmorska. Na nabrzeżu codzienności ostał się tylko jeden uczeń.

Kiedy spaceruję pustą plażą lipca, już z odległości kilku dni widzę go, jak tam stoi wśród jasnej pustki: mój czarny przecinek.

Niemal rok później Anna (poetka i moja nowa znajoma) po przeczytaniu pierwszych stron zapisków kategorycznie zażądała:

– Chcę o wiele więcej morza. Znacznie więcej niż tylko trzy słowa.

No cóż... wciąż doskonale pamiętam tych parę dni spędzonych wspólnie z Adamem. Nieskrępowana radość tamtego nadmorskiego czasu scala się w moich wspomnieniach w jeden spójny kształt. Nie potrafię go rozbić na odrębne wrażenia, które mogłabym opisać (spacer, wspólny gofr, kłótnia o to, kto zjadł „większą połówkę”, banalny seks pod prysznicem). Przede wszystkim nie chcę tego. Te Wspomnienia należą wyłącznie do mnie. Pragnę je zachować jako nietkniętą całość, ukrytą głęboko w złotych piaskach mojego ciała pod warstwami skóry, krwi i snów.

Przesłanie

Każdy poeta
Pisaniem wierszy
Słowa zamyka
W słodziutkie nutki
By piękny dzień
Był piękniejszy
By ludzie czuli
Co nieuchwytnie
Kolor widzieli
I skrzydeł trzepot
I przechodzili przez
Życia smutki
Swobodnie idąc
Stąpając lekko
Słowem podparci
Bo słowo tuli.

Ranek 9.08.2021

Serce...

Ono raz połamane
Na pewno
Nadal kocha
Pamięta tamtą ranę
I bronić się potrafi
I już następnym razem
Mimo że ktoś je rani
Jest tylko
Zadrapane
Nieczułe na urazy
A inni z boku patrząc
Myślą o sercu twardym.

Obiekt

Dłoń meandrowała delikatnie wśród tak dobrze znanych elementów. Palce rozgarniały fałdy materiału, dotykały go i pieściły, by po raz nie wiadomo który dostać się wreszcie do sedna, do tego, co lubiły dotykać najbardziej. Do owego obłego, gruszkowatego kształtu, zwartego i zimnego. Jego powierzchnia poprzecinana bruzdami kryła w sobie tajemnicę. Zawierała coś, co wywoływało silny dreszcz podniecenia. Palec wskazujący dotykał metalowego kółeczka przytwierdzonego do zawlecзки – zawlecčki, która przytrzymała łyżkę, długi przedmiot przylegający ściśle do powierzchni.

Podniecenie wzmagało się zawsze, kiedy Szkolną Izbę Pamięci odwiedzały kolejne roczniki uczniów i musiały wysłuchać relacji dyrektorki szkoły im. Nieznanego Wybawcy w Bzunach Dolnych. Dyrektor Okupska była dumna ze swojej Izby Pamięci i wymagała od podopiecznych doskonałej znajomości pokazanych w gablotkach obiektów. Był tu więc powielacz, prymitywna, ręczna maszynka do odbijania ulotek z czasów Solidarności. – A nie mogli sobie kupić ksero? – zawsze się trafiał mądryś z takim pytaniem, co doprowadzało dyrektorkę Okupską do białej gorączki. – A tutaj mamy – oprowadzała dalej Okupska – butelkę, w której przechowywano benzynę. Kiedy trzeba było zaatakować ZOMO, do butelki wtykano szmatę z napisem Solidarność, podpalano ją i rzucano na wroga. To się nazywało „Koktajl Mołotowa”. A oto nasz najcenniejszy obiekt: gablotka, w której przechowujemy prawdziwą relikwię, to przedramię naszego Bohatera, bezimiennego bohatera, naszego Wybawcy. Nie wiemy, kim był, wiemy, że dzięki temu, że do dziś jego dłoń zaciśnięta jest na granacie, ten nie wybuchł i możemy się cieszyć z posiadania zarówno tego obiektu, jak i wywalczonej krwią naszych Bohaterów Wolnością.

Tu podniecenie pani dyrektor zwykle sięgało zenitu. Nikt nigdy nie dociekał, dlaczego granat ręczny, wzór 33, z okresu drugiej wojny światowej znajdował się w Szkolnej Izbie Pamięci Solidarności, nie było to ważne. Gablotka była otoczona kultem. Zawsze podświetlona, otoczona napisami: „ostrożnie”, „nie dotykać” i zawsze zamknięta na klucz. Klucz, który miał swoje stałe miejsce w gabinecie dyrektorki.

Zakończyło się właśnie kolejne zwiedzanie Izby. Bezimienny Bohater mógł odpocząć, znów zanurzyć się we wspomnieniach, znów dotknąć zimnego metalu. Myśli oderwane od ciała skupiły się na łyżce, na zawleccze, jednak coś je brutalnie przerwało. Do sali przez uchylone okno wśliznęła się drobna postać. To jeden z uczniów, który wypatrzył miejsce przechowywania klucza do gablotki. Klucz pasował idealnie, drzwi otworzyły się bezszelestnie i dłoń Grzeška, ulubionego ucznia pani dyrektor, sięgnęła po trzymany przez dłoń Bohatera granat! Ale Bohater wcale nie zamierzał oddać bez walki obiektu swojego uwielbienia, zaczęła się szarpanina. Grzegorz miał jednak przewagę – miał dwie dłonie, z czego skwapliwie skorzystał. Stał przez chwilę na środku sali pełen triumfu, ściskając w dłoni zimny, metalowy przedmiot. Na podłodze leżała zawleczka!

Porzucając obiekt wzór 33 i wyskakując błyskawicznie przez okno, zdołał oddalić się na tyle, że został nieznacznie tylko przyprószony pyłem z walącego się gmachu szkoły imienia Nieznanego Wybawcy.

Drobiazgowo prowadzone śledztwo nie wykazało zaniedbań ze strony dyrekcji. Uznano, że nastąpił samozapłon obiektu. Szkołę odbudowano, nosi teraz imię Unii Europejskiej i ma już jedną gablotę w powstającej Izbie Pamięci. W gablotce znajduje się powielacz, który cudem ocalał z pogromu. Poszukiwane są następne obiekty. Pani dyrektor obiecała przynieść butelkę po benzynie.

Nasza bajka

Zgubiłem się
W pogoni za białym króliczkiem pośród opinii
mądrych słów
znajomych gestów
i gestów znajomych
Twoich jęków wkomponowanych
w piorący za ścianą
brudy sąsiadów automat
i wciągający ich krzyki odkurzaczy
Pośród ludzi

Ćmy

Matko,
Twoje dziecko wychodzi nocą,
szukać doznań w plastikowych torebeczkach
i poidelkach ze szkła.
W świecie kolorowych świateł
głośno migających w głowie,
nocnego gaworzenia ulic miasta,
szepczących gwarą baśni i waśni.
Póki jest noc czuje się swobodnie.
Wystukuje rytm życia o płyty chodnikowe.
Póki nie wszędzie słońce,
czuje się wolne.

Tata

Moje popołudnia
to już inna bajka.
Spalam je,
albo krzywią mi się w szklankach.
Moje samotne momenty,
to igły w sercu,
wtórnie przeżywane chwile,
zbezczeszczone ideały,
sprośny lincz na superego.
Kiedy brakuje mi sił
kładę karty na stół.
Pytam, co mam robić?
Patrzę z nadzieją w marmur.
Ty dalej milczysz jak grób.

Spokój

Czuję jak mój spokój tropią
klonowane chińskie psy policyjne
na smyczach genetycznie modyfikowanych dzieci,
karmionych wytwarzanym w laboratoriach jedzeniem.
Te moje czasy.
Nie pasuję do nich.

cisza i oczy

Cisza siedzi na zydlu i ciężko oddycha. W chacie panuje półmrok i czuć goździkami. Gdy tłusta czarna mucha ląduje na Panu Jezusie, który wisi nad piecem, cisza się otrząsa i szybko wyciera łzę. Oczy leżą pod łóżkiem wciśnięte w kąt. Wypatrują stąd rzeczy niemożliwych: roju meteorów, japońskiego kraba pacyficznego, damy z awatarem.

pies i nogi

Pies składa się z drobnych zdarzeń, wyobraźni i ogona. Porzucona halka pani walczy na śmierć i życie o jego uwagę z rąbkiem ceraty stołowej. Pies czuje, że gdyby ich korytarz był dłuższy, mógłby z rozpędu (w odwecie za bezsenność pani) chapnąć księżyc w zadek, ale ostatecznie wybiera wspólną starość i wyleniały pled w nogach łóżka. Nogi stolika kawowego nie znają magii kwadr i pełni. Z uporem wpatrzony w dół lustra, próbują odtworzyć *demi plié*.

wiatr i pomnik

Wiatr jest zachłanny. Gdy dmie, obwąchuje po drodze tyle, ile się da. Ciągnie drzewa za uszy, robi nalot pustym butelkom. Najchętniej gimnastkuje się na orbitach psich miednic i w mansardach zamieszkałych przez stewardesy. Pomnik stoi i myśli. Rozprostowałby kości.

Witka łożiny

Starczało mu zwykle cierpliwości na kilka, maksymalnie kilkadziesiąt stron, potem temat wyczerpywał się, wątki pustoszały bądź banalizowały i zostawał sam ze swoją frustracją, kolejny raz pokonany przez swą ułomność. Nie potrafił bowiem snuć fabuły, wiązać wątków ze sobą w sposób, który by choć przypominał naturalny bieg wydarzeń, ciąg wynikających z siebie, uzupełniających się epizodów. Ta słabość fabularna powodowała w nim niezmiennie zawód, który prawie nie cichł, który jak szyderstwo szczyrzył zęby z okładek książek pisarzy wypływających z siebie zdania z szybkością karabinu maszynowego.

Tak, zazdrościł im tej powłóczyści, tego zmyślnego pustostłowia, którym mogli na zawołanie zapełniać kolejne arkusze wydawnicze przynoszące im krociowe honoraria – pisarze urodzeni pod właściwą gwiazdą. Pisarze trafiający bezbłędnie w temat, w odpowiednim czasie, odpowiednim miejscu, w otoczeniu odpowiednich ludzi. Takim pisarzem T. niewątpliwie nie był. Wyćwiczony w cyzelowaniu myśli, w odchudzaniu zdań, w szlifowaniu frazy oddał swą duszę poezji, a ta, jak powszechnie wiadomo, nieznosząca gadulstwa zazdrosna o względy Pani, stroni od zaczerwiania kartek coraz to kolejnymi wersami. Nie przynosi też swym twórcom krociowych apanaży. Szczerze mówiąc – o jakichkolwiek profitach materialnych uprawiając poezję, należy z założenia zapomnieć. To samo dotyczy popularności. Nawet samobójstwo w kwiecie wieku, poprzedzone rozwiązaniem i birbanckim życiem, takowej nie gwarantuje.

Nie można się wobec tego dziwić kompleksom, które towarzyszyły T. niemal od zawsze. Z zazdrością spoglądał na elegancko wydane, przodujące w statystykach bestsellerów dzieła udatnych opowiadaczy i wiedział, że jego nigdy nie dotknie nawet cząstkowa fala popularności i prosperity, która towarzyszyła autorom ze świecznika.

Żadnej z jego książek nigdy nie weźmie na warsztat znany reżyser, nie zagrają w powstałym na bazie jego dziwacznej prozy filmie utalentowane młode wilczki ani dostojne tuzy aktorstwa, w opiniotwórczych periodykach znani krytycy nigdy nie pochylią się nad dziełami T., a na internetowych forach utwory T. nie wzbudzą gorących dyskusji, nikt nie będzie w oparciu o cytaty bądź złote myśli wyjęte z jego książek tworzył memów czy past. Zamiast tego coraz dosadniej będzie tężało milczenie, z każdym rokiem, z każdą kolejną poetycką perłą wydaną w 200 egzemplarzach będzie narastało dotkliwsze nieistnienie, pustelniczy brak odzewu, jakiegokolwiek reakcji, brak echa wstrzymujący oddech i chęci do kolejnego oddechu.

Jego myśli zakłęte w Słowa o najdotkliwszych elementach istnienia i nieuchronności towarzyszącej ludziorom od kolebki jak ćmy krążyły wokół czarnego słońca nad Motławą. Słońca, które pochmurniało w nim jak puls jego przegranego, rozmiennionego na drobne życia. Dlatego też szansa, której się kurczowo chwycił w tym przypadkowym wyzwaniu, wydała się T. prawdziwie łabędzim śpiewem, ostatnią deską ratunku przed niechybnie zbliżającą się otchłanią, otwierającą się na nieuniknione i zbyt dobitne podsumowanie kłęski jego całego życia.

Wziął głęboki oddech, odrzucił dręczące go wątpliwości i rzucił się w wir tej straceńczej przygody. Postanowił odnaleźć nareszcie w lustrze swe prawdziwe oblicze, bez zarysowań, fałszywej sepii czy uduchowionego pozowania. Chciał bowiem stanąć przed Tajemnicą nie tylko nagi jak przy stworzeniu, bez balastu, bez skrępowania wstydem czy obłudą, chciał ponadto wypełnić w swoim skomleniu żal do wszystkich wokół, ten cień obwiniania innych za własną nieudolność, za lenistwo, do którego przywykł, za wy-

godnictwo usprawiedliwiania się przed sobą samym. Pozbywając się tych wszystkich rozprasających, wabiących w swej naturze błyskotek, był nareszcie przekonany, że odnajdzie ukryte gdzieś głęboko, nieomal zapomniane prawdziwe oblicze, pozbawione fałszu mimo kanciastych, niezbyt wysublimowanych zarysów. Pragnął przywrócić swój prawdziwy świat, ten, o którym zapomniał, ten sam, który też zdawał się o nim nie pamiętać.

Zawsze myślał, że w innych rodzinach mają tak samo. Sądził, że albumy z rodzinnymi zdjęciami pełne są udrapowanych, ustawionych w nienaturalnych pozach postaci na kiczowatych tłach, że kobiety z przeciwstawną parasolką, ledwie łapiące oddech przez miażdżące ich talie i zebra gorsety, patrzą z odcieniem niecierpliwości w obiektyw dawno już nieistniejących aparatów, a może gdzieś poza nie, gdzieś daleko, gdzie nigdy nie było im dane trafić: na sam skraj swoich najgłębiej skrywanych i nikomu niewyjawianych marzeń.

Teraz to zresztą nieważne, wszyscy z tych zdjęć odeszli. Niektórzy nawet w obrębie rodziny zostali pozbawieni imion, nazwisk i poza obecnością na tych naświetlonych kartonikach nie zachował się po nich nawet ślad, nawet okruczeństwo w pamięci następnych pokoleń.

Mężczyźni w albumach rodziny T. byli często fotografowani we wszelkiego rodzaju uniformach: lekarskich fartuchach, myśliwskich surdutach, wreszcie mundurach – przy czym były to mundury różnych armii, a podpisy pod zdjęciami – te z fantazyjnymi zawijasami kreślono w najróżniejszych językach. Podsumowując: orzełek raz był biały, raz czarny, innym razem nawet dwugłowy.

Taki mały chłopiec jak T. rósł w przeświadczeniu, że świat dookoła swą spójność zawdzięcza temu, że nie jest jednolity, że pasujące do siebie ułamki mają różne barwy, kształty, faktury. Wrażliwość na odmienność, na różnorodność, która zaraża bogactwem, wielością dróg, mnogością ech i odwołań od zawsze towarzyszyła mu w podróży przez życie. Już w dniu narodzin stała się sygnałem do wędrówki przez gęszczący dni i drogowskazem, który przywołując ślady, zapowiada czas, nawet ten miniony. Konflikt odmiennych elementów wydawał mu się nie tylko nienaturalny, lecz wręcz nieprawdopodobny. Skoro na kartach rodzinnego albumu mogły obok siebie tkwić zdjęcia ludzi, którzy się swej różnorodności nie wypierali, ani nie wstydzili, to dlaczego w świecie wykraczającym poza ściany rodziny chłopca miało być inaczej?

Pradziadkowie T. z Odessy w jego myślach wciąż w piątek dzielili się chałką, mówiąc szabat szalom, pradiadkowie z Blachowni nadal śpiewali psalmy w ewangelickim zborze, kaszubscy pradiadkowie ćwiczyli *Salve Regina* w chórze w katolickiej farze w Karsinie, a pradiadkowie spod Grodna i z Puszczy Augustowskiej wpadali w modlitewną zadumę w cerkwi podczas jutrzni. Cienie ich wszystkich, typiące na T. z pożółkłych fotografii w rodzinnych albumach, przenikają się wzajemnie, dopełniają się w nim samym. Pod jego powieką przeplatają się języki, osoby i wyznania. Mozaika układa się w niepodrabialny wzór, opalizuje, skrzy, podaje snop światła jak cytat z tych istnień, o których tak niebywale świadczy i o których w swym milczeniu opowiada.

Ojciec jego matki, Siegmund Leo nie urodził się w małej pomorskiej wiosce Blizawy, lecz w Wolnym Mieście Gdańsku. Anna Kazubowska (w domu zawsze nazywana Aną), dopiero po drugiej wojnie światowej przerobiona przez władze na Kasubowską, wołała jako samotna matka urodzić z dala od bezlitosnych oczu i języków sąsiadów. Gdańsk to ho ho, nie byle co, tam i nieślubne dzieci się zdarzają, nie to co w przysiółku koło Warlubia nad brzegiem jeziora Udzierz; a może *chêcz* ciotki Agnes i wuja Mateusza stała bliżej Radodzierzy, kto by to spamiętał?

Diadek Siegmund Leo wrócił do rodzinnej wioski swej matki po jakimś czasie, nigdy nikomu nie wspominał, jak mu było z tym piętnem nieślubnego dziecka. Zresztą zbyt rozmowny to on nie był. W albumie rodzinnym wklejono jego zdjęcie zrobione, gdy był подростkiem: patrzy zawadiacko w obiektyw w mundurze niemieckiego pancerniaka, jest nieco umorusany, pewnie dopiero co czyścił coś lub naprawiał w swoim tygrysie albo panterze. Boże, jest taki chudy na tym zdjęciu, a T. zapamiętał go z groteskowo wypukłym, wielkim jak kulka brzuchem na patykowatych nogach. Zawsze eleganckiego, wypchnionego,

z siwym włosom na brylantynie (w Blizawach na niedzielnej sumie był to wzbudzający mdlenia u panienek i niewymagający nakładów finansowych gęsi smalec, panienki mdlały jednak nie z wrazenia, tylko od prozaicznego smrodu).

Dziadek Siegmund Leo Kazubowski w 1945 roku otrzymał poleconą pocztą postanowienie, że naprawdę nazywa się Zygmunt Leon Kasubowski i odtąd tak mu wpisywano w dokumentach. Przy T. raczej nie używał niemieckiego ani kaszubskiego, ale czasami na Starówce w Gdańsku odwiedzał matkę ojca T., jego ukochaną kaszubską babcię Irenkę. Chłopak z upodobaniem spędzał u niej każdą wolną od nauki chwilę – nieświadomy, że mieszkanie babci przy ulicy Węglarskiej znajduje się kilka przecznic od kamienic Schopenhauera, Fahrenheita i Heweliusza. Cóż za doborowe sąsiedztwo – chciałoby się powiedzieć. Wtedy jednak T. z tych niebywałych konotacji w ogóle nie mógł sobie zdawać sprawy.

W czasie swych krótkich odwiedzin dziadek Zygmunt przechodził na kaszubski lub niemiecki w rozmowie z babcią Bławatową i z lubością płynęli tym potokiem, radując się chwilą jak zanikającym na horyzoncie słońcem, malowniczym skarbem słonego, nadmorskiego języka kaszubskich przodków chłopaka. Patrzyli przy tym na niego z iskierkami w oczach, delektując się anonimowością swej mowy, ich mowy, która na tych kilka chwil wracała im dzieciństwo, młodość, coś, co bezpowrotnie odeszło, przykryte warstwą siwiejących, bądź wypadających włosów, dolegliwościami, bagażem niespełnionych marzeń. Wtedy, na moment mogli być ponownie sobą, nawet ich ruchy zyskiwały na sprężystości: w innych okolicznościach nie widywało się ani u babci Bławatowej, ani u dziadka Zygmunta tej nieoczekiwanej skoczności i werwy.

Gdy po kilkunastu minutach wracali do polszczyzny, do tak zwanej normalności, czy też raczej zwyczajności, przygniatały ich ponownie astma, miazdżycza, przebyte udary i wylewy. Wtedy właśnie T. zapragnął pić z tego źródła, z zazdrością i nie rozumiejąc niemal niczego, ale jakoś podskórnie przeczuwając, że to dla niego ważne, zaczął prosić o naukę. Gdy wypowiedział to życzenie, wydawało mu się, że dostrzega coś w babcinych oczach, jakąś nagłą wilgoć, jakąś niepasującą do niej łagodność. To paradoks czasów, bo jego obecnie siedemdziesięcioletni ojciec nie był po wojnie uczony kaszubskiego ani niemieckiego – mogło się to komuś w odwiecznie polskim Gdańsku źle kojarzyć.

Dziwnie się składa, ale ojciec T. także był dzieckiem samotnie wychowującej je matki. Babcia Bławatowa wolała nie ryzykować. Kąt do spania, praca i coś, co ocierało się o święty spokój, miały większe znaczenie od dziedzictwa przodków. Dlatego ojciec chłopaka po niemiecku nauczył się tylko *Danke* i – o, zgrozo! – *Hände hoch!* – to pewnie z filmów o wojnie, których setki powstało na zlecenie władz naszej socjalistycznej ojczyzny.

Pałeczkę dziedzictwa przejął T., przeskakując niejako ojca, któremu nie dane było mówić, pisać i myśleć w języku Goethego. Jego ojciec po kaszubsku także kojarzy niewiele, zna *Kaszëbscë nótë*, kilka piosenek i rymowanek. Zawsze jednak uświadamiał mu, że z wielu źródeł czerpie ich rzeka, że on sam, który wychowywał się bez ojca i tak mało o nim wiedział, nie może patrzeć na to poprzez żal dziecka, które w dzieciństwie było pozbawione ojcowskiego wsparcia. Nie można i nie wolno wyrzec się dziedzictwa także i tej części rodziny, choć było one tak odległe, przyniesione na pomorską ziemię z błękitną armią Hallera z samiuśkiej Odessy.

W rodzinnej mozaice T. kolejne kryształki tworzą nieskończenie fascynujący odbłask, załamujący się jak w pryzmacie, dający tęczyowy poblask, mieszający barwy i odcienie. Pewnie dlatego tak bardzo chłopak lubi słuchać opowieści, w których brak oczywistych osądów, banalnych i wyświechtanych prawd. Dzisiaj nawet wie, że taka niebanalność się zdarza. Może niezbyt często, może nie każdy chce się na to otworzyć, może ze strachu przed osądem innych, może z jakimiś zahamowaniami także w sobie. Nie wie tego do końca, nie rozumie tych obaw, wie za to, jak wiele zawdzięcza dziedzictwu wyskrobywanemu swym wścibskim pazurem między innymi z rodzinnych albumów. To ono dało mu tak wiele, to dziedzictwem tak naprawdę napisał tych kilka swoich książek i setki wierszy.

Dziadek Zygmunt, który wtedy był jeszcze Siegmundem, wojną pożegnał nie tylko dzieciństwo. Wojna rozplątała w nim wszystko, czego się lękał i utwierdziła w nim jeszcze bardziej przeświadczenie o tym, że

czas najpełniej objawia się w chwilach. Wojna zostawiła też rany, których ani upływ czasu, ani murszejąca od tego czasu pamięć zasklepić nie były w stanie. Siegmund został Zygmuntem i do końca życia nosił tę drugą skórę; co dziwne stara wciąż prześwitywała mu przez powłokę nową: co rusz dziadkowi Zygmuntowi zdarzały się niemieckie i kaszubskie wtręty, najczęściej pod nosem, do siebie, gdy dzieci i wnuki nie słyszą. Zapadł się w siebie, schował jak ślimak w skorupie, rzadko tylko dopuszczając na twarz uśmiech. Szczególną słabość miał do młodszego wnuka, Przemka, którego lubił sadzać na ogromnym brzuchu, a mały Inianowłosy Przemcio podskakiwał z dziką radością jak na dmuchanej piłce plażowej. Wtedy też uśmiech wnuka przypominał dziadkowi Zygmuntowi rodzinne Blizawy, fale Udzierzy i Radodzierzy, miarowe jak wieczorny oddech usypiającej przyrody, jak cykanie świerszczy czy pasikoników o zmroku. Był wtedy pogodzony ze światem, który odszedł.

Lekcję z młodości wielokrotnie odrabiał w czytanych namiętnie powieściach historycznych, zwłaszcza z tak traumatycznych dla niego czasów drugiej wojny światowej. Im więcej czytał, tym silniej odczuwał potrzebę wyzwolenia, oczyszczenia się z tego pyłu, szlamu, z osadu niechęci, podglebia wszelkich konfliktów. Jedynym środkiem na nienawiść wydawało mu się pojednanie, a gdyby tak wpleść w to jeszcze przebaczenie – mogłoby to stanowić istotny krok naprzód, wyzwalającą falę, która ma w sobie nową energię, nową nadzieję, by rzucić ludzi na lepszy brzeg, na nową ziemię.

Kaszubski dziadek T. nie znał się na wykwintnych formach; figury literackie były mu zupełnie obce. Po prostu w swej muszli, w swym prywatnym garbie, a czasami na gdańskiej Starówce u babci Bławatowej lubił wracać do siebie w innym języku, czuł się wtedy, jakby wciąż miał te dwadzieścia lat, jakby odrastał tu te przycięte później przez życie skrzydła.

T. ze swoją kaszubskością próbuje się uporać od lat. Może to nawet niezbyt szczęśliwe sformułowanie. Nie chce się tego echa pokoleń pozbyć, chciałby je wzmocnić, ponieść dalej, ocalić. Niestety, jako dziewięciolatek został wraz z matką, ojcem i młodszym bratem Przemkiem przesadzony do innej gleby – na Śląsk. Rodzice T. chleb na Pomorzu już mieli, ale zamarzyła się im szynka i trafili wszyscy do Zabrza.

Początkowo, jak niewidomy T. nie dostrzegał analogicznych u Ślązaków zakrętów historii, złamanych ludzkich losów, powichrowanych biografii. Działo się tak dopóty, dopóki pewnego razu nie został w domu jednego ze swych nowych, śląskich przyjaciół na poobiedni kołocz z posypką. Popłynęli wówczas w rozmowach, a godać po śląsku T. już umiał, więc przyjęło go niemal jak swego. T. zerknął w pewnym momencie na półkę z książkami, a tam... grzbiet albumu, bliźniaczko podobny do tego z jego rodzinnych zasobów. Mama Haralda od razu dostrzegła spojrzenie chłopaka z Gdańska i już po kilku chwilach razem zerkali na sepiove fotografie sprzed lat, na panie z taliami osy, na panów ze śmiesznymi binoklami na sterzących nosach i podkreconymi fantazyjnie wąsikami. Byli tam też mężczyźni w mundurach, jak dziadkowie, pradiadkowie T., ich bracia i kuzyni. T. zamknął oczy, bo mignął mu jakiś marynarz czy pancerniak.

Śląsk i Kaszuby stopiły się w sekundzie we wspólną krainę, w Dom, w garść ziemi, po której od zawsze stąpał, w jego dziedzinę. Wróciło z większą siłą nieostygłe echo, nachalnie dające odtąd znać o sobie przy każdym niemal oddechu. Wiedział już, że musi zrobić wszystko, by przekazać ten wątek dalej. Wyłuskać jak perłę z muszli, otrząpać z zalewającej świat niechęci, ignorancji, nienawiści. Pokazać, jak cudowne barwy można odnaleźć w plecionce, którą współtworzą nitki obecności naszych przodków – ich różne mowy, wyznania, ich losy, ich miłości i rozstania, ich radości i troski – wszystko to nadal w nas rozbrzmiewa i świadczy o dziedzictwie.

Pozostaje przecież w nas pierwotne źródło, echo tych wszystkich widzianych w albumach twarzy. Nawet gdy nieco zamglone, ze staroświeckimi fryzurami, ubraniami czy imionami, właśnie to echo przemożną falą odpowiada tej części nas, która nadal łaknie, której nadal nie wszystko jest jedno, dla której wciąż warto zacytować swoją pieśń od nowa.

A kaszubska perła wyłowiona wśród żwirów, glin i piasków pomorskiej krainy przechodzi na drugą stronę ognia. Jak negatyw życia, któremu często nie potrafimy sprostać. Jak monumentalna Latarnia, która snopem światła miała wyzwolić to skrzyżowanie ludzkich namiętności, małości, uprzedzeń, drobiazgów z czymś doniosłym, znacząco bezimiennym a drażącym skałę, wypłukującym z nas tę podłą małość i obśmiewającym głupstwa, dla których ludzie byli gotowi skakać sobie do gardeł.

Dotrzymując kroku dziadkowi Zygmuntowi, T. zapragnął w prawdzie odnaleźć dawno niewidzianego przyjaciela, zaprosić go na serdeczne spotkanie, ugościć, wpuścić do domu, niech wzniesie toast ku czci gospodarza! Niech podaruje mu swą obecnością choć iskrę radości, choć jej odrobinę, niech poświęci mu też kilka chwil uwagi, chwil jakże ważnych, z gatunku tych, które można by rozciągnąć na całą niecierpliwie wyczekiwaną przyszłość, niech już nie brakuje mu słowa wsparcia, uwagi i podziwu ludzkich serc.

Jego miasto otaczało go bezpieczną ostoją, byciem zapleczem bardziej niż awangardą. T. to lubił, bo w blasku reflektorów niechybnie mrużyłby oczy. Średniowieczne uliczki rozchyłały swe zakątki zupełnie jak matka ramiona, nawet wtedy gdy należała się bardziej przygana niż akceptacja. Nie to jednak spowodowało, że T. wracał do tych przykurzonych miejsc, wybierał szlaki niezbyt utarte, zostawione do odświeżenia na wieczne później. Właśnie tam – lustrzanie – biło serce jego wizji świata, peryferyjność czcił jak udziałną boginię, jej dawał pierwszeństwo, jej uchylał rąbka swych tajemnic.

T. po przekroczeniu granic miasta wpadał w błogi bezruch ogarniający go nawet przy przemierzaniu wciąż tych samych tras po znanych brukach. Co ciekawe, im więcej lat ciążyło T. na karku, tym bardziej wracał do kaszubskich i niemieckich dźwięków nuconych pod nosem przez jego nieżyjących już dziadków i babki. Echo, które pozdrowiało go w okolicach Motławy, miało dla T. zawsze dobre słowo właśnie w tych językach. Nawet się temu nie dziwił, był przecież z tej ziemi, z niezbyt urodzajnej, kamienistej pomorskiej dziedziny i jego polszczyzna, choć całkiem poprawna i miejscami ocierająca się o olśnienie, wciąż nosiła w sobie podskórne świadectwo wtórności, tej drugiej skóry, przebijającego przezeń pierwotnego kształtu, rysunku duszy przesiąkniętej nadmorskim, słonym słowem, kaszubską obłością wybijającą ślady nie-do-zapomnienia na jego drugiej, polskiej powłoce.

Był jak wąż, który nie jest w stanie zrzucić drugiej skóry, bo ta pierwsza zrosta się nierozzerwalnie z drugą, jest jej potrzebna jak tlen do oddychania. Gdańsk był idealnym lustrem jego świata, świadectwem rozkładania jego kalekich skrzydeł, wystawiania na widok obolałych boków. T. czuł się niemal nagi w tym, co pisze, w tym, co odczuwa, marząc o książce, która zbliżyłaby go do ludzi, zupełnie jak Dobra Nowina, która odstręczała oprawców Nauczyciela, ale niosła światło w codziennej sztafecie.

I teraz, w zacisznej knajpce niedaleko Wyspy Spichrzów gdańska starówka odwzajemnia T. jego niemal dziecięce oddanie. Zawsze tu będzie mógł szukać i odnajdywać, zawsze powierzać ciszy lub wydobywać z wyobraźni wciąż nowe zdania. T. nie miał wątpliwości, że nie oglądając się na przyszłość czy przeszłość, jego tu i teraz z bezwiednym dystansem odcyfruje nawet najbardziej zawiłe figury gryzmołone na kartach zabieranego wszędzie notatnika, tego samego, którego nie otrzymał w dniu dla T. najważniejszym, tylko jak wszystko niemal w życiu – mimochodem, przypadkowo, nie-w-porę.

Spokój w obliczu Gdańska to zapewnienie o stałości, to odzew, którego jesteśmy pewni w dowolnym momencie najbardziej nawet gmatwającego się życia. T. wiedział od wielu lat, że akurat tego mu nigdy nie zabraknie. Chaszcze nad Martwą Wisłą wciąż przypominają będą dziecięce zabawy z witiką łożyny, którą jego Dziadek potrafił ożywić smagnięciem, a może było to tylko świszczanie tak charakterystyczne dla wityki i dla polszczyzny, tej wyczekiwanej i stawianej wysoko jak latarnia morska, która będąc znakiem odniesienia, miała nieść nadzieję, olśniewać i onieśmielać jego kaszubskich przodków.

19.07.2021

Wyróżnienie w 22. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukshy „Mała ojczyzna – pogranicze kultur”, Kargowa 2021

Najniższa krajowa

W drzwiach – burknięcie
Ni to dzień dobry, ni to pierdnięcie
Fotel, kanapa – wszystko mu jedno
Najniższa krajowa
Budowa
Kiedyś na polu
Dziś Ukraińcy
Otwiera lodówkę, a w niej tylko jedno
Wyciąga, zamyka
Fotel, kanapa – wszystko mu jedno

Planowanie

Badam języki
Cywilizacji starożytnych
Egipt czy Sumer
Wszystko poznałem
Chiński, japoński
Na śniadanie zjadłem
Rozkład autobusów
Wdeptał mnie w ziemię
Zabrał żonę
Napluł w twarz
I pojechałem na zakupy
Linia dwudziestą

Spotkanie

W wieczór gwiaździsty
Jak perła czysty
W dotyku cielesnym
Prostym, bezkresnym

Po wszystkim i w trakcie
Tylko przemyka
Wężowa
Statystyka

Szkła

Cała kolekcja
Jak w gablocie
Prawie stojąca
Zachwycająca
Swym kształtem i kunsztem
Porywająca
Z troską zebrane
Wyselekcjonowane

Butelki po wódce
Przy chodniku stojące
Teraz leżące

W poszukiwaniu pozytywu

Wracalem z zajęć do swojego pokoju w akademiku. Dzień był kiepski i nie szło mi tylko o to, że pogoda miała się z psa. Dochodziła godzina czternasta, miałem za sobą już kilka wymęczonych godzin wykładów, na których to zostaliśmy – bez wyjątku – zrównani z poziomem umysłowym ameby. Profesor, głęboko osadzony jeszcze w czasach przeszłego systemu, wyraził opinię, że nikt z nas nie nadaje się na studia – jakiegokolwiek studia – i dziwi się, jakim cudem siedzimy tutaj przed nim, całą trzydziestką, z tępych uśmiechami przesyconymi ignorancją i głupotą. Stwierdził, że odrobina niewiedzy za jego czasów skutkowałą oblaaniem egzaminu, a w najlepszym razie wyrzuceniem z sali. My byliśmy wypełnieni tą bezkresną niewiedzą, a on występował z pozycji jedynie słusznej. Wyrwał do odpowiedzi dwie czy trzy osoby, które oczywiście nie podołały wymogom. W nagrodę wyjęliśmy kartki, napisaliśmy kolokwium-niespodziankę, w trakcie słuchając, że jesteśmy leniwi i mało ambitni, że kiedy on był studentem, taka sytuacja była nie do pomyślenia. Bo przecież przygotowanie do zajęć to jedyny nasz obowiązek, bo czas liczył się tylko miarą przeczytanych stron książek mądrych i ważnych, a my jego zdaniem go marnowaliśmy. Wstałem jako jeden z ostatnich, ale mimo to oddałem prawie pustą kartkę na wysoki stos straceńców.

Kiedy już skończył nam wyrzucać, zdecydował się wypuścić nas wcześniej. Zapowiedział jednak, że za tydzień obleje wszystkich, cały rok, jeżeli złapie kogoś na tej odrobinie niewiedzy.

– Weźcie się w końcu wszyscy do pracy – pożegnał nas szorstko.

Szkoda, że nikt nie wspomniał panu profesorowi, że świat dziś wygląda inaczej niż kiedyś, że poza bezpiecznymi akademickimi murami trwa pierwotna walka o przetrwanie. Nasz cenny czas przekładał się zwykle na pracę za nędzne stawki, tylko po to, by móc za nie przeżyte kolejny miesiąc. Prowadziliśmy boje na pełen etat, nie śpiąc dłużej niż cztery godziny dziennie, by móc utrzymać się na powierzchni brutalnej rzeczywistości. Oczekiwania zjadały powoli nasze ciała i dusze. Głowy mieliśmy wypychane marzeniami, choć realne widoki na przyszłość jawiły się jak cholerna loteria.

Ja tylko cicho o tym pomyślałem. Nie miałem jaj, żeby powiedzieć to na głos. Nie byłem przecież samobójcą.

Tak więc wracałem do tego zakichanego pokoju w akademiku, ale najpierw zahaczyłem o bibliotekę. Wypożyczyłem, co się dało na te zajęcia, a także na kilka innych. Książki ledwo weszły mi do plecaka. Kiedy wyszedłem, zrobiło się szaro i zimno, zachmurzone niebo wyglądało na złe. Na całym kampusie dziwnie nie było żywego ducha. Zacząłem wracać, myśląc tylko o prysznicu i łóżku. Nie zrobiłem trzech kroków, a zerwał się wiatr i zaczęło bardzo mocno padać. Deszcz z dzikością uderzał po chwili o ziemię.

No i wtedy ją zobaczyłem, nie znałem jej za dobrze, widziałem tylko parę razy gdzieś w przelocie, nigdy też nie zamieniłem z nią słowa. Po chodniku, w stronę budynków, bardzo powoli i ociężale sunęła dziewczyna. Była na wózk. Rozejrzałem się dookoła. Tylko ja i ona. Lodowate krople siekły po mojej twarzy, wpadały za kołnierz, wywołując nieprzyjemne dreszcze. A dziewczyna też przecież mokła.

– O kurwa... – westchnąłem ciężko i pobiegłem w jej stronę.

Dopiero kiedy się odezwałem, odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

– Mogę ci pomóc? – zapytałem głośno, bo szum całkowicie wypełniał przestrzeń.

– Tak – stwierdziła jakby chłodno i z rezerwą.

Łapałem więc za te gumowe rączki od wózka i spytałem, dokąd mam ją wieźć. Wskazała palcem kierunek. Mieliśmy do przebycia gdzieś ze sto metrów. Spuściłem głowę i zacząłem tak szybko, na ile mi pozwalała, gnać przed siebie. Musiałem uważać na krawężnikach i stopniach – dopiero teraz zdałem sobie sprawę z ich istnienia i problemu, jaki mogą robić. W trakcie tej całej jazdy miałem dziwne poczucie, że muszę się odzywać – nie wiedziałem dlaczego. Po prostu zacząłem gadać, pytać ją o różne rzeczy, o nią. Może chciałem być miły, chyba o to chodziło. Odpowiadała krótko i zbywająco. Mnie nie zapytała o nic. W końcu udało nam się dotrzeć pod wskazany budynek. Czułem, że moje ubranie jest ciężkie od wody. Spytałem ją, czy mogę zrobić coś jeszcze, ale odpowiedziała, że już sobie poradzi, że mogę iść. Puściłem wózek, a ona zniknęła po chwili za rozsuwanymi drzwiami. Nie usłyszałem od niej dziękuję, nie wymagałem tego właściwie – tak tylko jakoś zauważyłem, rzuciło się to w moje uszy, a właściwie ten brak słowa. Ruszyłem szybko do siebie, bo nie zapowiadało się, żeby miało przestać lać.

Przed wejściem do akademika stała ta sama mieszana grupa co zwykle – spotykałem ich rano, spotykałem w środku dnia i późno w nocy. Palili fajki i gadali na jakieś mało interesujące tematy. Obrzucili mnie znudzonymi spojrzeniami, kiedy się zbliżyłem. Wszedłem do środka, kierując od razu do windy. Usłyszałem niski głos, który mnie zatrzymał.

– Ty mieszkasz w 604? – zapytał portier, wychylając głowę z okienka.

– Tak – potwierdziłem.

– To jakiś list do ciebie przyszedł. Z uczelni – oznajmił obojętnie.

Podszedłem, wziąłem od niego ten list i podziękowałem. Wiedziałem, o co chodzi. Czekałem na decyzję w sprawie stypendium, miałem w miarę dobrą średnią, ktoś postanowił też wydrukować jakieś tam moje opowiadania, więc łapałem dodatkowe punkty. Liczyłem w sumie na tę kasę, bo mógłbym wtedy bardziej skupić się na życiu, trochę odetchnąć. Wszedłem do windy. Jechałem teraz sam na szóste piętro, więc otworzyłem kopertę i wyjąłem list. Zacząłem czytać.

„Komisja Stypendialna Studentów Uniwersytetu...” I tak dalej, i tak dalej... „Postanawia: nie przyznać stypendium rektora...”

Dalej już nie czytałem, a kiedy wszedłem do mieszkania o numerze 604, wrzuciłem to urzędowe pismo do kosza. Rozebrałem się i poszedłem się umyć. Od kilku dni miałem całkowity luz, bo mój współlokator przeniósł się na jakieś własne lokum. Nikogo mi jeszcze nie podrzucili, więc mogłem sobie siedzieć pod prysznicem, ile chciałem. I siedziałem. Wyczułem podczas kąpieli małą aftę – w ustach ją wyczułem językiem. Szczypała, a później męczyła mnie kolejne trzy dni. Przekręciłem na gorącą wodę i stałem nieruchomo pod słuchawką. Przez tę całą sprawę ze stypendium nie bardzo miałem ochotę na cokolwiek. Długie, bezcelowe moczenie ciała wydawało się tak samo produktywne jak wszystko inne. Po co się wysilać?

Kiedy wyszedłem z łazienki, zauważyłem, że za oknem przestało padać. Krople delikatnie spływały po szybie, tworząc ładne i wymyślne strużki. Na zewnątrz zrobiło się jakoś przyjemniej, wyszło nawet nieduże słońce. Pomyślałem, że mogę wybrać się na spacer, wyjątkowo miałem dziś wolne w pracy, której nie lubiłem. Usiadłem przy biurku i włączyłem laptopa. Nie chciało mi się nic robić – miałem tony nauki, powinienem coś napisać, może przeczytać, mimo to wołałem właśnie nie robić nic. Odpaliłem sobie fejsa i na dzień dobry wyskoczyła mi w relacji ona – jedyna dziewczyna, która mi się tak naprawdę podobała. Sam nie wiedziałem, co takiego w sobie miała, że na myśleniu o niej spędzałem naprawdę sporo czasu. Nie była jakaś wyjątkowa, nawet ładna i zgrabna, ale poza tym – tak szczerze – to niewiele. Miałem okazję z nią kilka razy pogadać i niczym się nie wyróżniała. Taka zwykła, normalna dziewczyna z przyjemną twarzą. Teraz pozowała do lustra niczym gwiazda, którą nie była. Nie kliknąłem, żeby nie wiedziała, że ją

podglądam – głupie. Chwilę później o niej zapomniałem, bo zadzwonił do mnie dobry kolega, a w sumie to jeden z dwóch prawdziwych kumpli.

– Wpadniesz dzisiaj? Kupiłem litra whisky – zaczął od razu na temat.

– O której? – zapytałem, zgadzając się bez zbędnych słów.

– No tak może o siódmej. Wcześniej nie mogę, bo widzę się z bratem, potem muszę jeszcze załatwić kilka spraw na mieście – wytłumaczył. Miał skomplikowaną sytuację rodzinną, skomplikowane życie. Właściwie kto nie ma.

– Dobra. Super.

– A jak ta cała twoja laska? Ruszyło coś w temacie?

– Pogadamy, jak przyjdę.

– No okej, spoko. To widzimy się o tej siódmej. Nara.

– No na razie.

Rozłączył się, a ja znowu przypominałem sobie o tej całej niby mojej lasce, pozującej niczym gwiazda przed światem. Rozmyślałem, siedząc w samych gaciach na obrotowym, nędznym fotelu i będąc w tym wszystkim zupełnie niegwiazdorski. Naszła mnie nagle zwierzęca ochota na zrobienie sobie dobrze – jakoś tak przyszło, może to przez nią, a może nie. Opanowałem się i zamiast tego włączyłem sobie Floydów, w lodówce miałem jeszcze jedno piwo. Słuchałem dobrej muzyki, piłem zimnego browara i najzupełniej w świecie nic nie miało znaczenia.

Potem usłyszałem na korytarzu jakieś podniesione głosy i stwierdziłem, że nie mogę przesiedzieć całego dnia półnago. Ubrałem się i zamierzałem przejść się. Kiedy wychodziłem, ta sama grupa co zwykle spalała papierosy i dyskutowała o tylko im znanych problemach.

Nie przeszedłem nawet minuty, kiedy ktoś do mnie ponownie zadzwonił. Wyciągnąłem z kieszeni telefon. To mój ojciec dzwonił, ojciec będący jakieś trzysta kilometrów stąd, z którym bardzo rzadko rozmawiałem. Od kilku lat kojarzył mi się tylko z jednym zdaniem: „będą z tego pieniądze?”. Odnosiło się to do wszystkiego, co robiłem – studiów, pisanie, obecnej pracy. Pytanie, które padało przy każdym moim ruchu, mniejszym czy większym sukcesie. Wiatr w żagle albo w oczy.

– A będą z tego pieniądze? – zapytał, kiedy dostał ode mnie na święta moje pierwsze wydrukowane opowiadanie.

Wtedy powiedziałem, że tak. Teraz już wiem, że na pewno nie.

No więc dzwonił do mnie, tak sam z siebie, czego nigdy nie robił. Odebrałem, nie wiedząc, czego się spodziewać.

– Tak? – zacząłem, chcąc ukryć w głosie zaskoczenie.

– Matka jest w szpitalu. To może być rak, ma wysokie markery. Dzwonię ci o tym powiedzieć. – Usłyszałem jego suchy głos po drugiej stronie, gdziekolwiek ta strona była. – Jeżeli będziesz mógł, to wracaj do domu. Na pewno ucieszy się, jak cię zobaczy.

– Postaram się przyjechać – odparłem. Naprawdę zdecydowany byłem w tamtej chwili to zrobić. Matka w szpitalu. Rak. Miała dopiero pięćdziesiąt lat, a może aż pięćdziesiąt lat. Chciałem zapytać o coś więcej, ale ojciec szybko uciął temat. Zawsze tak robił.

– W porządku. To tyle. U ciebie wszystko dobrze, tak?

Moje pytanie było tak nijakie jak woda w smaku.

– Tak – potwierdziłem tylko.

– To dobrze. Zadzwoni, jak będziesz przyjeżdżał.

– Zadzwonię.

– No to cześć. Trzymaj się.

– Cześć, tato.

To by było na tyle. Pomyślałem, że powinienem zadzwonić chyba do matki, potem pomyślałem, że zrobię to później, raczej wieczorem. A do domu zjadę może jutro, może pojutrze. Podejrzenie raka. Kiepski dzień żarł do syta.

Nie łażem zbyt długo, bo pogoda znów zrobiła się niepewna – motałem się dziś, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Wypełniał mnie obcy niepokój. Wróciłem do akademika i położyłem do łóżka. Trochę położyłem, zanim zasnąłem. Nic mi się nie śniło, nic, co bym zapamiętał. Obudziłem się z tym śmiesznym bólem w jamie ustnej, wywołanym cholerą aftą. Za oknem zrobiło się już ciemno. Spojrzałem w telefon. Do siódmej brakowało godziny, chociaż zaraz okazało się, że nie mam już na co czekać. Jeden z dwóch prawdziwych kumpli musiał jednak odwołać spotkanie – coś mu wypadło. Nie pytałem.

Ktoś energicznie zapukał do drzwi, nie tych od mojego pokoju, tylko od całości mieszkania. Wyszedłem na korytarz, będący jednocześnie kuchnią, w samych gatkach i koszulce. Spojrzałem przez judasza. Stał tam jakiś nieznajomy chłopak. Otworzyłem mu.

– Cześć – zaczął z dziwnym uśmieszkiem. – Jestem Szymon. Będę tutaj od dzisiaj mieszkał.

– A czy B? – zapytałem sztywno. Ja mieszkam w pokoju B. Czyli w sumie 604 B.

– B.

Wyglądało więc na to, że dokooptowali mi lokatora. Nie uśmiechało mi się to, ale bez zbędnych słów wpuściłem go do środka i wróciłem do pokoju. Dobrze, że trzymałem względny porządek, nie musiałem się wstydić – lata katorzniczej pracy mojej kochanej matki w kwestii wychowania. Gość zaczął się rozbierać, rozpakowywać, a ja – patrząc na to wszystko – poczułem, że nie mogę tutaj dłużej siedzieć, że to miejsce przestało być moje. Wciąż miałem w sobie ten dziwny niepokój. Pomyślałem, że znowu coś mi odebrano.

– Idę się przejść – wyrwałem na głos.

Spojrzał na mnie, jakby nic go to nie obchodziło. I pewnie tak było, bo dlaczego miałoby być inaczej.

Ubrałem się po raz kolejny i wyszedłem, a ci spod wejścia nadal stali jak stali. Nagle nabrałem ochoty podejść do jednego z nich i zapytać o cokolwiek, złapać kontakt, pogadać jak człowiek z człowiekiem. Nie wiedziałem, dlaczego naszło mnie coś takiego, nie wyglądali mi na ludzi w moim typie – ja byłem aspołecznym wyrzutkiem, oni sprawiali wrażenie fajnych. Równie dobrze mogłem zostać i rozmawiać z tamtym Szymonem. Zwierzęta stadne.

Padało, ale miałem to teraz gdzieś, zresztą tak naprawdę nie miałem gdzie się podziać. Deszcz dudnił przyjemnym szmerem o wszystko dookoła. Ostatnie liście zrywały się z ciemnobrudnych drzew. Zaciągnąłem kaptur na głowę i szedłem przed siebie. Chodniki były jak dzikie strumienie. Na horyzoncie majaczyły tylko szare, wysokie bloki, a ich kwadratowe światła również miały coś z szarości. Wokół było zwyczajnie smutno.

I jakoś pod wpływem tego wszystkiego, nie bardzo wiedząc dlaczego i po co, pogałem do kawiarni, w której pracowała ona. Nie miałem pojęcia, czy ją tam zastanę, po prostu poszedłem, na nic nie licząc. Dzień był przecież kiepski, a mi już było wszystko jedno. Gorzej być nie mogło, na pewno nie. Przemoknięty zatrzymałem się przed lokalem pachnącym gorącą kawą i słodkim ciastem.

Zobaczyłem ją za szkłem.

Pracowała tutaj jako kelnerka, uwijała się między stolikami zwinnie niczym łania. Miała na sobie czarny firmowy uniform z białym fartuchem. Włosy spięta w kok, jeden kosmyk opadał jej na czoło. Przyglądałem się tym zdrowym, pięknym, brązowym włosom, jej twarzy lśniącej w sztucznym świetle. Patrząc na nią, czułem ciepło. Prawdziwe, czyste ciepło.

I już myślałem, wyobrażałem sobie, jak mogłoby to wyglądać.

Wchodzę do kawiarni i siadam przy jednym z tych stolików. Ona podchodzi do mnie.

– Słuchaj, Laura – zaczynam z obcą pewnością siebie, patrząc w jej ciemnobrązowe oczy – sądzę, że powinniśmy gdzieś razem wyjść. Nawet dzisiaj, zaraz. O której kończysz pracę?

– Za godzinę – odpowiada. Nie jest zaskoczona.

– W takim razie poczekam tę godzinę – mówię zadowolony. – I poproszę herbatę. Czarną. Gorzką.

A potem siedzę, popijając herbatę i patrząc na nią, pełen nieznanej mi wcześniej radości. Myślę o tym, gdzie mogę ją zabrać, co pokazać, o czym będziemy rozmawiać, z czego śmiać się. Słyszę jej ciepły głos, wyobrażam to, jak na mnie patrzy.

I było to dobre, takie przyjemne. To oczekiwanie na coś szczerze wartego.

Ale nie wszedłem do środka. Odwróciłem się i udałem w zimne objęcia nocy. Miałem dosyć rozczarowań, nie potrzebowalem następnych. Dzień miał wyjątkowo mdły smak i bez niej. Szedłem teraz, patrząc na moknących na przystanku ludzi. Podjechał autobus, oblewając nas brudną wodą. Wsiadłem do niego jako ostatni. Nie miałem pojęcia, dokąd pojedę, ale nie miało to w zasadzie żadnego znaczenia.



sonaty tuplickie

1

Cisawy wiatr, wrony zmierzch i kara melancholia zza Łuku Mużakowa pełzną na stawy.
Oczeret wcina czereda kaczek, strzęp trzciny kęskiem łyski. Ważka myk, myk, myk,
perkoz, szus, szus. Rozigrane obłoki po gorejącym zagonie, tup-tup.
Czuby osik strzegą rdzawą czaplę, żaby trzeszczą jak suche koła drynd,
dynda się rybołów, klan gęgaw grzęźnie w gęstwie grzybienia.
Gorysz obok gółki. Któż się paćka w rzęsie? Perkozek? Gągoł?

W chromych olchach gaśnie tumult.
Nie klnie już kania ruda, choć nadal się piekli, płosząc kumaka.
Klangor toczy mgłę po liściach brzoź, ostrożnie kładzie na kruchej fali,
a woda giętko niesie ku czarcikęsom.

Niemrawy czas obsypuje staw nr 2 złocistością kosaćcowych sekund.
Król Błot, przy którym czuwa wierzbówka i wywłócznik, wynajął sen,
aby nim zawładnął na wskroś.

2

Wiekuiistość to żart czasu z przestrzeni, a nieskończoność to epitafium
dla cyfr na blacie.

Dlatego na Łuku Mużakowa w bocznej kieszonce Tuplic
Król Błot drapie się pazurem po dziobie. Niczego nie trzeba rozumieć,
o nic nie pytać, dość nie wyściubiać o ciut-ciut dalej niż tutaj.

Rozprózniacone słońce blaskiem ścina olchę, wysoki zgiełk cynobrowych drzazg.
Czupurny wiatr od strony tartaczego komina,
więc zapach światła nieco przekrzywiony ku bahama yellow
z odcieniem lilaróż.

Przy potoku spróchniałe osiki na wachcie. Cień błotniaka sunie po liściach turzycy,
wwierca się w strzałki z rodziny żabieńcowatych.
Spopod bodziszków słyszać turkot kumaków,
do świtu będą ugniatać ciszę.
Błotniak zawisa, ziewa. Tyci gągoł wstrzymuje pisk, ale osiki na wachcie.

3

Tabuny gęgaw rzępolą w jeżogłówkach. W żabiścieku zaskroniec czyha na łątkę.
Mgła nad Tuplicami sprzyja gągołom.

Na cyferblacie stawu perkozy gubią rozsądek, w tle sekcja rytmiczna żurawi.
Kap, kap, kap... – łyska zrędlawie przelicza sekundy.

Rączy żółw, bez powroza koza u wozu, nieskory skorpion, kropka w kropli,
strzępiasty szczątek strzygi, wróbel na strachu, klonowy klin wbity w klocek,
hopie w skowronkach, czub sopla – wiatr zza Nysy Łużyckiej troi się,
skleca z chmur chybotliwą melodię.

Z boku, z przodu, wskroś, poprzez i popod oraz wspak kumaki podpalają staw.
Taki kum-kum, zgoła tam-tam.

Król Błot waruje w kurdybankach, rozkosznie wierzy, że niczego nie określił los,
nie zapisał w gwiazdach. Ani w DNA. Ani w pierwszej sekundzie po Wielkim Bum.
Ani w preambule zdarzeń. Ani w praprzyczynie.
Ani w myśli przewodniej, ani w naturze rzeczy, ani jak kamień węgielny.

4

Gustowny wieczór. Słońce nie ma wskazówek i cyferblatu, zardzewiałe kółko
niepotrafiące się zająć z olchą. Na stawie mauretańska giętkość fal,
W labirynt krwawnic wpada głodny błotniak. Blask
pstre barwy na kiście turzyc kładzie, na listki oczeretu, na kępki bobrków.

Król Błot zajada blekot i zlicza kumki: „Bilion jeden..., bilion trzynaście...”.
Przy gnijącej kłodzie brzozy zalega rdest węzownik.

Rybołów analitycznie się przygląda stawom, nie stwierdza prawidłowości.
Jednak sytuację na Łuku Mużakowa konstytuuje porządek niedostrzegalny dla oka,
toteż istnienie i wszystko, co się z nim łączy, uzyskuje ekscytujący sens.

Kwitną ukwap i kozibród. Owocują kurdybanki i cieciora.
Gęgawy instalują jazgot, trzeba się napatrzeć. Trzciny jak pogrzebacze wbite w dym.
Nadal można wejść drugi raz do tej samej rzeki,
po stawie sunąć wraz z łyską, odsapnąć pośród przęstki, zmierzwić żabiściek.

Wiatr zza Nysy Łużyckiej zamyka staw na czerwonej łódce bezkresu.

piosenka włóczykija

Najlżejsze są drogi donikąd. Warują przy nich nieopisane pejzaże.
Jak cudnie, bo bez celu. Nie ma po co gdzie błądzić. Są wokoło,
ot, na wyciągnięcie gór zza widnokregu.
Nigdy za późne, zawsze zbyt wczesne. Fruną nad nimi budki dla zygzaków,
nie zagląda czas oderwany od skrzydła.
Za drogowskaz służy klangor, który brzmiał zapomnianej wiosny.
Słońce bez wschodu i zachodu, stale więc w blasku.

Najlżejsze są drogi, są najlżejsze, drogi są, najlżejsze są drogi donikąd.

Poodbijane od zdarzeń, dworne, bo nie na marne. Gwar bez dostępu, jazgot czmycha
ze wstydu. Puste od kół, głuche bez kopyt. Najlepsza jest droga donikąd.

Samo donikąd jest lepsze od drogi donikąd.

Gdy na białej mapie stóp znajdziesz drogę donikąd, bądź poruszony.
Najlżejsze, najlepsze są drogi, są najlepsze, najlżejsze drogi są, najlżejsze są drogi
donikąd.

List w czerwonej kopercie

Leniwe, lipcowe popołudnie kończyło kolejny dzień wypełniony sielankową zabawą pomiędzy haftowaniem chusteczek i pieleniem ogródka. Adelajda siedziała na starej, drewnianej huśtawce powieszzonej na gałęzi potężnego dęba tuż nad taflą jeziora. Promienie zachodzącego słońca delikatnie rozgrzewały jej skórę na plecach, chociaż dziwny i nienaturalny chłód co rusz przemierzał ciało od stóp do głów.

Myślała o tym, że chciałaby zwiedzić trochę świata – odmiennego od jej dotychczasowych doświadczeń. Takiego z budowlami wyższymi niż dwie kondygnacje, markowymi samochodami na ulicach. Chciałaby zobaczyć kilkupoziomowe galerie handlowe, przyozdobione świątecznymi dekoracjami, dotychczas oglądane jedynie na łamach kolorowych czasopism.

Spojrzała na dwie kaczki z młodymi, które wypływając z trzcin, zaburzyły idealnie gładką powierzchnię jeziora. Wzięta głęboki oddech i rozejrzała się po okolicy. Wiekowe buki, skaliste nabrzeża, wysepki na rozległych akwenach i niewielkie drewniane domki, sporadycznie wynurzające się z zarośli – to był jej dom, jej codzienność. Marzyła o obcym świecie i nowych doznaniach, ale wiedziała, że nie potrafiłaby rozstać się ze swoją małą ojczyzną. Gdy tak rozmyślała, słońce schowało się już za koronami drzew i temperatura spadła o dobre parę stopni. Adelajda narzuciła na siebie stary, rozciągnięty sweter i wróciła do domu.

Następnego ranka obudziło ją delikatne stukanie w szybę i dźwięk spływającej wody z rynny. Na dworze siał rześisty deszcz, a widoczność została ograniczona do kilku metrów. Szykował się więc nostalgiczny dzień spędzony we własnym towarzystwie, co w przypadku Adelajdy nie stanowiło odstępstwa od normy. Z kuchni dochodził dźwięk gotującej się wody z czajnika, więc poszła zaparzyć ulubioną herbatę lipową z odrobiną soku malinowego. Rozsiadła się wygodnie na fotelu i zapaliła lampkę tuż nad głową, aby rozświetlić sobie ten ponury poranek. Zamierzała wykończyć kolejną robótkę, czyli małą laleczkę z włókna. Wszystkie swoje rękodzieła zносиła raz w tygodniu do pana Witka, który zajmował się promocją lokalnych produktów poprzez sprzedaż internetową. Nie miała z tego wielkich kokosów, ale w zupełności wystarczało na spokojne życie. Takie jej najbardziej odpowiadało.

I gdy siedziała tak w fotelu, dziergając na drutach i delektując się własnym towarzystwem, rozległo się pukanie do drzwi. Było to niespodziewane wydarzenie, zważywszy nie tylko na fakt, że Adelajda niezwykle rzadko miewała gości, ale i na okoliczności, które raczej nie sprzyjały podróżowaniu. Kobieta wyjrzała przez judasza. W drzwiach stał listonosz.

– Mam coś dla pani – powiedział w ramach powitania, po czym wyciągnął niewielką czerwoną kopertę. Adelajda nie patrząc nawet na mężczyznę, pokiwała głową w podziękowaniu i zamknęła drzwi. Nie mogła oderwać wzroku od tajemniczej przesyłki, która – fakt faktem – była zaadresowana do niej, ale po specyficznym ostemplowaniu mogła poznać, że pochodziła z całkiem innej prowincji. W lewym dolnym rogu widniał logotyp z literami „KP” i gołębkiem trzymającym różę w dziobie. Miała wrażenie, że już kiedyś widziała ten znak, ale za żadne skarby nie potrafiła sobie przypomnieć gdzie. Rozerwała delikatnie kopertę i zaczęła czytać:

Droga Pani Adelajdo!

Na wstępie przyznam, że bardzo zaintrygowana mnie Pani swoim stylem życia. Ja sam mieszkam w wielkim mieście i jakkolwiek skrawek zieleni, z jakim mam styczność, to kwiaty na sąsiednim balkonie. Na co dzień funkcjonuję na 23 metrach kwadratowych, a o poranku budzą mnie krzyki sąsiadów z dołu, których dziecko najwidoczniej przechodzi okres buntu. Gdy kładę się do snu, towarzyszą mi bełkotliwe hałasy pijanych ludzi, a w ciągu dnia wsłuchuję się w jakże kojącą litanię przekleństw taksówkarzy. Przyznam, że niekiedy uczę się od nich nowych słów. Jakże więc cudowne jest miasto, które samo dba o edukację, czyż nie?

Urzekły mnie również Pani rękodzieła. Początkowo zdziwiłem się, że ktoś jeszcze wykonuje takie robotki, gdy o wiele łatwiej pójść do sklepu lub zamówić online. Potem jednak doszedłem do wniosku, że jest to idealny sposób na walkę z konsumpcjonizmem. Nie chciałem urazić Pani swoim wywodem, wręcz przeciwnie, wyrazić podziw, może nieco nieumiejętnie. Mam nadzieję, że w trakcie nawiązywania naszej znajomości uda mi się opanować sztukę poprawnego „wystawiania się” na papierze. Byłoby mi niezmiernie miło uzyskać odpowiedź od Pani. Będę jej wyczekiwał.

Z uzanowaniem, Lucjan R.

Adelajda odruchowo po przeczytaniu zapragnęła uznać ten list za nieśmieszny żart i wyrzucić do kosza na śmieci, jednak jakiś wewnętrzny głos ją powstrzymywał. Usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu zrobiła coś tak ekstrawaganckiego, co mogłoby ją doprowadzić do stania pośrodku pokoju dziennego i wpatrywania się w list od nieznanego, który z kolei dokładnie wiedział, czym ona się zajmuje. Już miała wykonać telefon na policję, gdy do głowy wpadło jej niczym powiew świeżego powietrza odległe wspomnienie. Aurelia, rodzona, lecz jakże odmienna siostra Adelajdy, namówiła ją kiedyś do udziału w pewnym projekcie. Nazywał się dokładnie tak, jak wskazywały na to inicjały na liście: Kopertowa Przyjaźń. Miał na celu wspomóc zapoznanie się osób z całego kraju. Aurelia, która kompletnie nie potrafiła pojąć, jak komukolwiek może odpowiadać pustelniczy tryb życia swojej siostry, zdecydowała, że będzie to wspaniała okazja, aby Adelajda w końcu kogoś poznała. Kobiecie oczywiście nie podobał się ten pomysł, ale dla świętego spokoju zgodziła się na stworzenie własnego profilu, mimo że na co dzień nie korzystała z internetu. W najśmielszych snach nie przypuszczała, iż ktokolwiek zainteresowałby się jej osobą, toteż prędko wymazała to wydarzenie z pamięci. Teraz powróciło do niej w postaci listu w czerwonej kopercie.

Położyła list na biurku i wróciła do swojej robotki. Nie mogła się jednak skupić, myśli ciągle krążyły wokół pozostawionej kartki papieru. Była przekonana, że nie ma żadnej nici porozumienia, mogącej połączyć jej znajomość z owym Lucjanem, którego nazwiska nawet nie знаła. Mimo to było w jego stylu pisania coś intrygującego, co nie pozwalało pozostać obojętną. Coś staromodnego, dzięki czemu mogłaby przenieść się do XIX-wiecznej rzeczywistości, tak umiłowanej z literatury klasycznej.

Rzuciła włókninową lalkę w kąt i usiadła przy biurku. Przeczytała raz jeszcze list i zaczęła pisać: *Szanowny Panie Lucjanie!* Nie, nie. To zbyt oficjalne, on się do niej inaczej zwrócił.

Drogi Panie Lucjanie!

Jest mi szalenie miło czytać takie pochwały ze strony nieznanego. Cieszę się, że docenia Pan moją pracę. Widzi Pan, aby jedna osoba mogła kupić coś online, druga musi daną rzecz wykonać. Teraz przyszedł czas, abym to ja poznała, czym Pan się zajmuje. Tak samo jak Pan nie wyobraża sobie dziergania na drutach, mój umysł nie potrafi pojąć, jak wytrzymuje Pan z dala od natury. Całe życie spędziłam w mojej niewielkiej miejscowości, więc nawet nie potrafię sobie wyobrazić realiów życia w wielkim mieście. Czekam więc na szczegóły.

Z uzanowaniem, Adelajda N.

Czy teraz wygląda już jak młoda arystokratka rodem z powieści Jane Austen? Chyba tak. Zaczęła się zastanawiać, co jeszcze robiły młode kobiety w tamtej epoce i przypominała sobie o perfumowaniu listów. „Czy to jednak nie za dużo” – biła się z myślami, lecz w końcu zebrała się na tak radykalny ruch i bez dłuższego zastanawiania, zakleiła kopertę. Nie zważając na deszcz, pobiegła czym prędzej na pocztę.

W nocy nie mogła spać. Przewracając się z boku na bok, myślała o tym, jak bardzo się wygłupiła. Przecież ten cały Lucjan weźmie ją za wariatkę. Trudno – stwierdziła – przynajmniej będę miała z głowy tę listowną zabawę.

Kobieta była jednak w błędzie, bowiem Lucjan nie zniechęcił się wyperfumowanym listem. Ich kopertowa znajomość zaczęła się rozwijać, a listonosz stał się częstym gościem w domu Adelajdy. Nowo nawiązana przyjaźń bardzo jej służyła. Stała się bardziej promienna i radosna, a pisywanie listów okazało się idealnym dopełnieniem spokojnego życia. Jakikolwiek głód wrażeń zapewniały jej opowieści mężczyzny, który relacjonował wizyty w galeriach handlowych, jazdę tramwajami, ogromne wieżowce. Ona zaś opisywała mu własną okolicę, spacerów wokół jeziora i wyprawy na targ. Wszystko było tak, jak być powinno. Do pewnego czasu.

Listonosz przyszedł tak jak zawsze, tuż przed południem. Adelajda nie spieszyła się z otwarciem listu. Zdjęła lniany fartuszek, który nakładała do prac w ogródku, oplotła dłonie z resztek ziemi i poszła zaparzyć już trzecią tego dnia herbatę. Dopiero wtedy rozsiała się wygodnie przy biurku i zaczęła czytać. Z każdym słowem uśmiech schodził jej z twarzy i ustępował miejsca przerażeniu. W pewnym momencie odsunęła się gwałtownie od blatu, wykrzykując w stronę listu: „Nie! Nie, to niemożliwe!”

Zachowywała się tak, jakby chciała przegonić szczura pałętającego się po kuchni, a potem nerwowo zaczęła chodzić po całym pokoju. Czuła przyspieszone bicie serca i drżenie rąk, a także narastające uczucie duszności. Pootwieriała wszystkie okna, ale na nic się to zdało. Jej umysł zaczął wariować, wzięła kilka głębokich wdechów i ponownie przeczytała list. Raz za razem, aż do jej świadomości dochodziły tylko wybiórcze zdania:

Droga Adelajdo, (...) bardzo chciałbym Cię osobiście poznać, (...) niedługo wyruszam, w końcu znam twój adres, (...) już się nie mogę doczekać naszego spotkania twarzą w twarz.

Jej świat właśnie runął. Spojrzała na datę – napisany pięć dni temu. Cholerna pocztą, dlaczego muszą tak wolno działać? Ale może nie było jeszcze za późno. Wyjęła kartkę, długopis i zaczęła pisać. O tym, że nie jest jeszcze gotowa na spotkanie, że jest dobrze tak, jak jest. Właściwie sama już nie wiedziała, co jej w tym amoku podpowiadał umysł. W tym momencie cała XIX-wieczna literacka otoczka pękła niczym bańka mydlana. Adelajda przestała być dostojną damą, a zamieniła się w desperatkę, która z wypiekami na twarzy wpada na pocztę i każe jak najszybciej nadać list priorytetem.

Po powrocie do domu nie zaznała jednak spokoju. Postanowiła zadzwonić do siostry, ale gdy tylko usłyszała w słuchawce jej szczebiotliwy głos, rozłączyła się bez słowa. Przecież Aurelia jej nie zrozumie, a jeszcze przyjedzie tu i będzie kazała się spotkać z tym całym Lucjanem. Do tego nie można dopuścić.

Adelajda wyjęła kartkę i zajęła się liczeniem. Lucjan najwcześniej mógł wyruszyć pięć dni temu, zakładając, że napisał prawdę. Jeśli wybrał pociąg, to prawdopodobnie będzie tu dopiero za dwa dni – doliczając przesiadki. Jeśli wybrał samolot, będzie dopiero w przyszłym tygodniu, według rozkładu linii lotniczych. Jeżeli zaś zdecydował się na samochód, mógł być tu lada chwila. Adelajda wytarła spocone dłonie i czym prędzej zaryglowała drzwi. Mimo stosunkowo wczesnej pory, pozastała też okna. Usiadła w fotelu i próbowała czytać książkę, jednak jej wzrok rejestrował jedynie kartki i plamy tekstu, a do świadomości nie docierało ani jedno słowo. Mimo to przesiedziała w tej pozycji aż do późnej nocy, pomijając podwieczorek, kolację, a nawet ulubioną porę na herbatę.

Następnego ranka obudziła się z potwornym bólem głowy. Zegarek wskazywał południe. Adelajda jeszcze nigdy nie spała tak długo, jednak tym razem nie było w tym nic dziwnego, skoro w głęboki sen zapadła

dopiero nad ranem. Ostrożnie wyjrzała za drzwi, aby sprawdzić, czy przypadkiem listonosz niczego dla niej nie zostawił. Wycieraczka była pusta, tak samo jak skrzynka na listy. Ubrała się i zaczęła szykować śniadanie, z którego zdołała przetrząsnąć zaledwie dwa kęsy.

Gdy zrzuciła nieruszone resztki do miski dla kota, rozległo się pukanie do drzwi. Adelajdzie niemalże stanęło serce. Podeszła do nich powoli i na palcach. Wyjrzała przez judasza i gwałtownie odskoczyła od futryny. Spojrzała ponownie. Przed drzwiami stał mężczyzna, dosyć szczupły i średniego wzrostu. Jego blond włosy kontrastowały z opaloną karnacją. Ubrany był w dżinsową kurtkę, granatową koszulkę i dżinsy. Dłonie trzymał splecione za plecami, jednak wystawały zza nich płatki chabrow. No tak, Adelajda wspominała w listach, że to jedno z jej ulubionych kwiatów. Kobieta westchnęła głęboko i oparła się o drzwi. „Gdybyś tylko miała nieco więcej odwagi. Przecież to całkiem miły chłopak” – ganiła się w myślach i podczas gdy walczyła ze swoją nie pewnością, aby nacisnąć klamkę, Lucjan ponownie zapukał. To ją wytrąciło z równowagi, więc zrobiła kilka pospiesznych kroków w kierunku kuchni i skuliła się przy kuchence. Mężczyzna zapukał jeszcze w szybę, zaglądając do środka, jednak z tamtej perspektywy nie miał szans dojrzeć truchlejącej ze strachu gospodyni. Po minucie, trwającej niewiele mniej niż wieczność, nieproszony gość odszedł, a Adelajda mogła opuścić swoją kryjówkę. Była wykończona ciągłym napięciem i zażenowana swoją postawą. Padła na łóżko i rozplakała się.

Po dwóch dniach postanowiła wbrew własnej woli wyjść z domu, zmusił ją do tego brak zapasów. Lucjan przychodził każdego dnia – rano i po południu. Za każdym razem zostawiał jej na wycieraczce mały bukietek kwiatów, a ona staczała wewnętrzną walkę ze swoim fobicznym alter ego. Tym razem musiała wystawić się światu, licząc, że pozostanie jednak niezauważoną. Nałożyła znoszony, stary sweter, zawiązała chustkę na głowę i udała się na targ. W połowie drogi zdała sobie sprawę, że to było pozbawione sensu, przecież Lucjan i tak nie wiedział, jak ona wygląda.

Adelajda była całkiem zadowolona. Pomimo wszelkich obaw, nie natknęła się na Lucjana ani na targu, ani w piekarni. Czekala ją ostatnia prosta do pokonania w drodze do domu. Gdy jednak wyszła zza zakrętu, cofnęła się raptownie. Był tam. Stał przy drzwiach z bukietem kwiatów. Ciekawe, czy zauważył, że poprzednie zabrałam – zastanawiała się, po czym zganiła się w myślach – oczywiście, że zauważył, przecież nie jest ślepy. Ach, po co ja je ruszałam!

Schowała się za żywopłotem i obserwowała Lucjana z daleka. Chodził wyprostowany, rozglądając się po jej ogródku. Wyglądał całkiem przystojnie, co też nie uszło uwadze sąsiadek Adelajdy, które akurat przechadzały się chodnikiem. W odpowiedzi na ich przywitanie mężczyzna delikatnie uklonił się. Zaimponował Adelajdzie swoim szarmanckim zachowaniem. Chciała się ruszyć, zebrać w sobie resztki odwagi i przywitać się w końcu z nawet nie tak nieznanym mężczyzną. Ciało odmawiało jednak posłuszeństwa, tak jakby pnącza żywopłotu oplotły ją i trzymały mocno przy sobie.

Po jakimś czasie Lucjan odszedł. Kobieta wróciła do domu, a po paru dniach zdała sobie sprawę, że to był ostatni raz, kiedy było jej dane go widzieć. Odzyskała dawny spokój, jednak wraz z nim pojawiło się poczucie pustki, powrócił wewnętrzny chłód, którego już nigdy nie potrafiła się pozbyć. Po tygodniu przyszedł ostatni list w czerwonej kopercie.

Adelajda odeszła po czterdziestu latach, pochowano ją na pobliskim cmentarzu. W pogrzebie uczestniczyło niewiele osób: siostra Aurelia z rodziną, pan Witek, który sprzedawał jej rękodzieła, kilka sąsiadek i tajemniczy mężczyzna, o którym nikt nic nie wiedział. Stał na uboczu, w schludnej marynarce, jedną ręką opierał się na lasce, a w drugiej trzymał niewielki bukietek chabrow. To był Lucjan. Lata temu, tuż przed swoim wyjazdem poprosił listonosza, aby przekazywał mu wszelkie istotne wydarzenia z życia swojej koptowej przyjaciółki. Ale tego Adelajda nie mogła przecież wiedzieć.

* * *

W czasie czarnym
za zamkniętymi drzwiami
samotność, samotność
rozmawiam z Emily Dickinson
stan ducha odnajduję
klękam do modlitwy

Zielona Góra, 24 czerwca 2021

* * *

Biała dusza w otwartym oknie
jak firanka umyka
poprzez zielen przyrody
do gwieździstego nieba

lipiec 2020

* * *

O zmierzchu słowa dnia
zatapiam w studni
nocą bez klucza
nawiedza mnie sen
śnie i łowię
zatopione słowa

lipiec 2020

* * *

Wandzi

Niosłaś w dłoniach światło
zabrał cię covid
pozostały słowa niewypowiedziane
pod brzozą turlają się łzy

Kolejne zapiski

Nigdzie

Nigdzie, na żadne spotkanie autorskie swoim autem nie podążam, ale lasy, łąki, drzewa, suche trawy, piaski jałowe, zapachy olchowe, igiełki sosnowe, kałuże – nie powojenne, lecz wieczne w naturze – podziwiam.

Wrzesień

Wszedł wrzesień i ostatkami ciepła dogrzewa. Wszędzie cisza. Jest dobrze. Grzyby, maliny, jeżyny, derenie, pigwy, śliwki i jabłka mają swój czas. Szkoda tylko, że nie ma już ognisk ani snującego się dymu gdzieś daleko nad polami, łąkami ani koni ciągnących wozy załadowane licznymi zbiorami, ani krów na łąkach, kobiet zbierających kartofle i dalekich, niskich horyzontów zamglonego światła. Zmieniło się. Szkoda, że serce słabnie. Poza tym internet, polityka, wydarzenia wojskowe, niewyobrażalne zbrodnie islamistów, zbrojne mocarstwowe popisy, mody, dziwactwa sprytnych dziwaków i dziwaczek, egotyczne kłótnie o byle co, hańby i zdrady oraz nienasycenie pieniędzmi. Siedzą przed ekranami młodzi i nie tylko młodzi ludzie, którzy coraz mniej czują i wiedzą, zasypywani bezlikami informacji, i mają w sobie coraz mniej własnego doświadczenia. Tak jesteśmy zjadani przez czas tej epoki. Zwyczajność i drobne, proste rzeczy, powszednie słowa jednak wydadzą o naszym życiu osąd.

Żyję w Polsce

Żyję w Polsce. I cenię to. Teraz jest jesień. Chodzę od czasu do czasu po ulicach i uliczkach Zielonej Góry, Zawady, Wrocławia i innych miejscach bez imienia. Zaglądam w różne swojskie zaułki. Jadę na łąki, na pola zrywać owoce dzikiej róży, nad Odrę zobaczyć blask jej wody, której obecnie w rzece dostatek. Most w Cigacicach odnawiany wygląda coraz piękniej. Zaglądam do sklepów, naprawiam, co trzeba naprawić w domu. Kupuję węgiel i drewno opałowe. Nie zamykam oczu ani uszu na to, co się wokół dzieje, co robią w Europie i na granicy z Białorusią. Różne rzeczy niektórzy mówią nieodpowiedzialnie, a raczej wygadują ze złością, bez większego zastanowienia, bezsensownie wrzeszczą tylko we własnym interesie. Uprawiana jest bezwzględna gra, która ma na celu pomniejszenie znaczenia naszego kraju. Trwa walka o władzę. W tym geograficznym miejscu trudno być niezależnym w swoim samostanowieniu. Jednak bronimy własnych racji, czyli interesu narodowego. Jestem z tego dumny. Nie jest łatwo, gdyż w tej grze o Polskę biorą udział potężne siły, niekoniecznie naszemu krajowi życzliwe. Niektórzy w Polsce tym zewnętrznym siłom zdają się dawać poparcie.

Przed „Norwidem”

Ustawiono przed „Norwidem” kilka ławeczek, opatrzonych tabliczkami z nazwiskami zmarłych pisarzy (A. Tokarskiej, M. Kaziowa, J. Koniusza, M. Warszawskiego, A. K. Waśkiewicz). Wymyślono takie dosyć dziwne upamiętnienie ich życia i twórczości. Popatrzyłem na nie i zrobiło się jakoś żal. Nikt nie waży się na tych ławeczkach usiąść, a chyba takie jest ich przeznaczenie.

Konferencja literacka

Miałem już 13 października jechać do Biblioteki Uniwersyteckiej, na godzinę 18, gdyż nie chciałem zignorować zaproszenia. Jednak jeszcze zapoznałem się z programem jubileuszu miejscowego ZLP i to zatrzymało mnie w domu. Pamiątki pionierów, mity założycielskie to odgrzewanie szablonów i znanych już opisów oraz ustaleń – z naukowego punktu widzenia może ważne to obszary i sprawy, ale ile razy można się tym zajmować? Czy jakichś współczesnych, ciekawszych tematów nie można było znaleźć?

Następnego dnia

Chciałem jednak zobaczyć tę wystawę z książkami miejscowych literatów. Budynek Biblioteki Uniwersyteckiej jawił się, gdy spojrzałem nań z parkingu, dosyć widmowo. Jego kanciasty, wyniosły kształt górował nad placem. Na dodatek ciemny, grafitowy kolorysty ścian dodawał mu tajemniczości. Nie dosyć tego. Żeby znaleźć się w jego podwojach, należało pokonać kilkadziesiąt schodów wykonanych z szarego betonu. Pomyślałem – tyle schodów, którymi do wiedzy trzeba się po prostu wspinać. Gdy zbliżyłem się do wejściowej szklanej ściany okazałych rozmiarów, nagle w jej monolocie drzwi (też szklane) same zaczęły się cicho uchylać, więc to był znak, że można przez ten wyłom wejść do środka. Wszedłem i już w pierwszej chwili uderzyła mnie pustka. Jakaś bardzo obecna. Poczułem ją. Zupełny brak ludzi. W pobliżu szatni kręciła się jakaś kobieta, której nie miałem potrzeby dopytywać o cokolwiek. Wykonywała swoją czynność ze sprzątaniem. Gabloty stały, w nich książki, a nad nimi zdjęcia autorów żywych i zmarłych. Skromny to był widok. Przeszedłem następne szklane drzwi i doznałem tchnienia ogromnej przestrzeni parteru, wysokiego sufitu holu, z wieloma punktami światła, nie wiem, jak to nazwać, nic się nie ruszało, nikt nie wypowiadał ani jednego słowa, nawet nie dobiegał do mnie szelest czyichkolwiek kroków lub szept, za ladą ledwo co wychylała się głowa siedzącej kobiety, nie wiem, kim ona była i po co tam tkwiła, uchyliłem głowę, popatrzyła, nie skierowała w moją stronę żadnego pytania, może to i dobrze, bo o co miałyby mnie pytać, niczego przecież nie chciałem, dziwnie byłoby mi tłumaczyć tu swoją obecność, szedłem więc powoli, z nogi na nogę, jakbym nie ignorował tej przestrzeni, ciszy i światła, i pustki, której każdym krokiem mimowolnie nadawałem wagę. Czuję, że tak należy. Chciałem jedynie dotrzeć do ogromnej szklanej ściany naprzeciwko, za którą widniał jeszcze dość zielony, mimo pory już dobrze jesiennej, las złożony z bukowych, dębowych, klonowych drzew. Dotarłem do tego końcowego punktu, dotknąłem palcem tafli szyby, chwilę patrzyłem, chciałem dostrzec w gęstwinie przyrody coś szczególnego, ale co to miało być, nie wiedziałem. Dalej, poza szkło, nie mogłem już iść. Nie uchyliły się żadne kolejne drzwi. Przemierzyłem więc z powrotem powolnym krokiem dystans do szklanych drzwi, zajrzałem jeszcze do salonu wystawowego sztuki na wskroś nowoczesnej, gdzie wisiały duże formaty obrazów, których nie rozumiałem. Przez sekundę nawet to sobie wyrzucałem. I znowu uchyliły się drzwi wejściowo-wyjściowe, owiało mnie chłodne powietrze, i z każdym stopniem wracałem na parking do swojego auta.

Muzyka Chopina

W czwartek byłem w Starym Kisielinie. W ośrodku kultury swój ważny artystyczny poetycko-malarski wieczór miała Halina Jerulank. Przez cały dzień wiał potężny wiatr, który łamał drzewa, po południu nie było prądu, więc sam wieczór stanął pod znakiem zapytania, ale na czas wszystko wróciło do normy, wichura zelżała, prąd wrócił. Czytanie poezji oraz wernisaż malarstwa mogły się odbyć. Publiczność zresztą stawiała się licznie. Dla samej malarki oraz poetki te dwie prezentacje były ważne. Pierwszy raz swoją sztukę konfrontowała w tak dużej skali z odbiorcą. Myślę, że spotkała się z akceptacją kręgu odbiorców swoich wierszy i obrazów. A dzisiaj kolejny piątek. Od rana w przyrodzie już spokój, nawet słońce na niebie, w radiu przez cały czas muzyka Chopina, relacje i opinie, dyskusje, ożywione rozmowy, wspomnienia wcześniejszych lat i nazwisk laureatów tego słynnego na cały świat konkursu muzycznego. Więc słuchałem, słuchałem. Je-

chałem autem, mówiłem, rozpalałem ogień w piecu, obierałem warzywa, suszyłem grzyby, piłem kawę, herbatę, wodę, jadłem zupeę, karmiłem kota, patrzyłem na drzewa – słuchałem z zapałem muzyki Chopina w wykonaniu tegorocznych zwycięzców. Wsłuchiwałem się w każdy dźwięk, by nic mojemu uchu nie umknęło. To dzisiaj i nie tylko dzisiaj najważniejsze, usłyszeć muzykę. Ta muzyka, ta wielkość, której nie zaprzeczy nikt, daje odpór współczesnemu relatywizmowi. Trudno mi dzielić się wrażeniami, myślami, przeżyciami, bo cegokolwiek bym nie napisał, byłoby za małe, niedokładne, nieadekwatne do odczucia magicznej muzyki Chopina, jedynej w świecie, mającej w sobie ogromne treści duchowe.

Życie

Życie trwa i komplikuje się. Robi się potargane, zamglone, senne. Wewnętrzne samopoczucie też komplikuje się. Dziwnie układają się sprawy i zjawiska świata i ciężko o tym spokojnie myśleć. I będzie ten trend ku globalnemu kryzysowi narastał. Nawet nie zamierzam tematu rozwijać. Kłopoty na wszystkich polach dopiero z całą mocą zapukają do drzwi. Będziemy dramatycznie chcieć wracać do rzeczy podstawowych, utraconych, fundamentalnych, bez których nie zrobimy jednego dobrego kroku. Nie zrozumiemy niczego, jeśli nie porozumiemy się – bez prostego słowa, ludzkiego gestu, spojrzenia w oczy, kromki chleba, dachu nad głową, szklanki wody, haustu powietrza.

Cmentarz w Zawadzie

W słonecznej niedzielnej aurze cmentarz wyglądał... pięknie, ale to niewłaściwe słowo. Wokoło sosnowy las. Cisza. Wobec ciszy cmentarnej ma się respekt. I wobec tego dziwnego piękna także respekt. Cisza cmentarza jest zupełnie inna niż cisza łąki, pola, lasu, rzeki, obłoku. Taka cisza może wzbudzać lęk. Trudno czuć się swojsko. Kroki na zwirowej ścieżce są miarowe. Kamyki chroboczą pod podeszwami. Dawno tu nie byłem, niemal całe lato nie zaglądałem. Żywych kwiatów prawie już nie ma w wazonach na grobowych płytach, ale kwitną w najlepsze sztuczne bukiety. Niemał festiwal kolorów. One wytrzymują różne pogodowe perturbacje. Prawdę mówiąc, nie lubię takiego wyładnienia, takich nadmiernych dekoracji, tego blasku marmurów, granitów, piaskowców, złota liter, wyczyszczenia ścieżek do ostatniego żdźbła. Nadmiernego zadbania nie lubię. Żadnego śladu natury, działania czasu, coś okropnego. Ładnością nie da się zasłonić smutku, żalu, wspomnień, śmierci ani zasypać pustki.

Wieczór

Zimny i ciemny wieczór, wspina się na niebo duży księżyc, biały blask na parapecie, ostre powietrze zapowiada niskie temperatury nad ranem. Dobra, gorąca herbata pomaga, trochę, nie na wszystko. I czytanie książki też nie na wszystko pomaga.

Prozaiczność

Życie zrobiło się dosyć prozaiczne, ale chcę mieć z nim istotny kontakt, czuć tę prozaiczność, zwyczajność, której nie ma w żadnej telewizji. Trawa nie rośnie, nie wieje wiatr, lecz migają groźne obrazy. Niepokój pojawia się na twarzach. Już jesienią uderza czas. Mój czas i także nas wszystkich czas. Co z tym zrobić? Jeszcze tylko zostały na jabłoni owoce, których soczysty miąższ z ochotą wydziobują ptaki, niektóre jabłka gniją, opadają, więc wziąłem się, wszedłem na drabinę i do wiaderka zerwałem całą ocalałą resztę. Niekoniecznie dorodną. Od tych jabłek w pokoju jedyny w swoim rodzaju zapach. Naturalny. Taką prozaiczność lubię. Nie udaję.

Odra kluczem do pamięci

Z Marią Sidorską-Ryczkowską rozmowę literacką
przeprowadziła Marta Bąkiewicz



Maria Sidorska-Ryczkowska (od lewej) i dr Marta Bąkiewicz na tarasie widokowym w Collegium Polonicum w Słubicach

Z tarasu widokowego, na którym się znajdujemy, rozpościera się widok na nadodrzański krajobraz. Przypominają mi się wersy wiersza pt. *Nad rzeką* poetki Marianny Bocian: „Stoję nad brzegiem Odry / jest nie odczytaną ciągle pieśnią życia / od zarania źródeł historii człowieka”¹. Chciałabym z Panią porozmawiać o Pani twórczości, w której Odra jest ważnym motywem. W nawiązaniu do metafory rzeki jako „pieśni życia” zacytowanej poetki, rozpocznę naszą rozmowę od pytania, jakie znaczenie odgrywa Odra w Pani życiu?

Spędziłam dzieciństwo i młodość w Bytomiu Odrzańskim – w mieście, które ma w swojej nazwie Odrę. Zatem można powiedzieć, że Odra jest jakby ekslibrisem znaczącym kartki mojego życia, w którym była zawsze. W dzieciństwie chodziłam nad Odrę z dorosłymi. Gdy przyjeżdżali goście, to pierwsze kroki kierowało się nad Odrę. Potem pierwsze wagary, pierwsze randki i wszelkie inicjacje odbywały się także nad Odrą. Ale z tą rzeką wiązały się również zdarzenia tragiczne. Rzeka pochłonęła niejedno życie, gdyż nie jeden mieszkaniec Bytomia utopił się w Odrze. Już od dzieciństwa jawiła mi się ona jako – z jednej strony – atrakcyjna, a z drugiej – jednak straszna. Mama, aby ustrzec mnie przed nieszczęściem, opowiadała mi o topielcu, który może zwabić dziecko, pokazując mu kolorową wstążeczkę (lub inną ładną rzecz), którą podstępnie przybliża do brzegu, aby potem oddalić, a dziecko podąży za tą wstążeczką i się utopi. Tego typu opowieści niezwykle pobudzały moją wyobraźnię, tak mocno, że do dnia dzisiejszego chociaż Kocham Odrę, boję się jej bardzo.

Obie Pani powieści łączy Bytom Odrzański, przez który przepływa Odra, a wraz z nią płynie czas i przepływają ludzkie historie. Główna bohaterka, Małgorzata, nawiązuje z nadodrzańskim krajobrazem szczególną relację, a ponadto wchodzi w dialog z *genius loci* wyczuwalnym w fabule i narracji. Proszę opowiedzieć, jak zrodziła się koncepcja powieści *Stacyjka na wschodzie i zachodzie* (2004) i *Klucze do rzeki* (2013)?

Muszę się trochę wytłumaczyć. Małgorzata to z jednej strony ja, moje alter ego; ktoś, kto wypowiada moje poglądy, z drugiej strony jednak jest to postać fikcyjna. Siłą, która mną kieruje, jest podmiot czynności twórczych. Kiedy mnie opanuje, to właściwie robi sobie, co chce... dopiero potem, jak on się już wypowie, wypisze, zaczynam się temu przyglądać i krytycznie modyfikować, zgadzać się z tym, co napisane lub nie. I chociaż wszystkie treści i obrazy wydobywane są przez moje własne palce z klawiatury laptopa, to muszę przyznać, że często sama jestem nimi zaskoczona. Czasem zdziwi mnie jakieś słowo, a niekiedy postać. Jako autorka, czyli postać rzeczywista, zastanawiam się, skąd wzięto mi się takie określenie? Albo skąd wiem to albo tamto, bo mówię o tym w utworze. Po tym pewnie, między innymi, można poznać wpływ *genius loci* (*śmiech*). Jak to jest z tym duchem? Małgorzata zawsze sobie wyobrażała, że każde miejsce ma swojego ducha, który jest obecny w całej przestrzeni tego miejsca, tzn. w architekturze, drzewach, rzeczce, topografii – wszystkie te elementy emanują duchem. Ona uważała, że jak się przebywa w jakiejś przestrzeni, to się nasiąka jej duchem. Miejsce zmienia każdego, kto w nim przebywa. Małgorzata chodzi po miasteczku i tropi tego ducha. Przypisałam *genius loci* wszystkiemu, wszystkim. Postacie, o których piszę, również były powodowane duchem.

Jednym z elementów krajobrazu, personifikowanym w Pani twórczości, są drzewa, które opowiadają historię, „emanując myślą i uczuciem tego, kto je tu zaszczepił”². Czy uważa Pani, że Odra emanuje myślami pokoleń, które zamieszkiwały nad nią na przestrzeni dziejów?

¹ M. Bocian, *Nad rzeką. Kiedy Ty mówisz Odra. Wiersze z motywem rzeki*, oprac. R. Sławczyński, Wrocław 1999, s. 87.

² M. Siderska-Ryczkowska, *Stacyjka na wschodzie i zachodzie*, Gdynia 2004, s. 22.

Jestem o tym przekonana. Niejednokrotnie doświadczałam olśnienia na jakiś temat właśnie nad Odrą. Zdarzało mi się nieraz myśleć o czymś intensywnie i nie móc znaleźć rozwiązania całymi dniami, a nad rzeką odpowiedź przychodziła sama. Ni z tego, ni z owego pojawiała się w mojej głowie.

W obu powieściach spotykamy postacie ważne w historii literatury niemieckojęzycznego kręgu kulturowego. Wybitny pisarz niemiecki Jochen Klepper (1903–1942) urodzony w Bytomiu Odrzańskim jest pierwowzorem stworzonej przez Panią literackiej postaci Jakuba Trettera. Jak można wytłumaczyć Pani zainteresowanie tym autorem?

Poświęca się temu pisarzowi uwagę w publikacjach na temat Bytomia Odrzańskiego i ludzi, którzy są związani z miastem. Jochen Klepper jest za każdym razem zauważany i mówi się o nim. Zafascynowała mnie historia jego życia, ale także wstrząsnęła mną, ponieważ była to historia wielce dramatyczna. Sporo czytałam o tym twórcy – był to człowiek wybitnie etyczny i do końca pozostał wierny sobie. Lektura Pani artykułu (*Znad europejskiej rzeki do światowej metropolii. Przyczynek do literackiej biografii Jochena Kleppera*) także wiele mi dała i wiele rzeczy rozświeciła.

Przejdźmy do kolejnych znanych postaci związanych z Bytomiem Odrzańskim. Co poza przyjaźnią z księciem i poetą Emilem von Schönaich-Carolathem (1852–1908) łączyło Rainera Marię Rilkego (1875–1926) z tym miejscem nad Odrą?

W historii Bytomia Odrzańskiego na przełomie XVIII/XIX wieku dużą rolę odegrał ród von Schönaichów. Emil von Schönaich-Carolath, młody książę, był wielbicielem artystów, sam bardzo chętnie przebywał w towarzystwie bohemy twórczej i są dowody na to, że przyjaźnił się z Rainerem Marią Rilke. Ród Schönaichów był związany ściśle z Bytomiem, Schönaichowie byli bowiem właścicielami Bytomia i mieszkali w Siedlisku usytuowanym nad samą Odrą. Zatem jest wielce prawdopodobne, że Rainer Maria Rilke kiedyś tam gościł; albo w Bytomiu, albo w rezydencji/zamku. Był poetą wysokiej rangi, więc zapraszano go zgodnie z ówczesną tradycją; mecenas opiekował się artystą, a on pozwalał się sobą opiekować, udzielano mu gościny, żeby mógł pracować nad utworami literackimi, np. sonetami. Jestem prawie pewna, że musiało tak być również i w tym przypadku. Niestety, nie udało mi się dotrzeć do żadnych śladów w formie listów czy jakichś zapisków, potwierdzających wizytę, o której jestem przekonana.

W książce przytacza Pani fragmenty z utworów Rainera Marii Rilkego.

Owszem, zamieściłam nawet pewien trop prowadzący do nurtującej mnie kwestii nieudokumentowanej wizyty poety w Bytomiu. Trop w postaci zacytowanego fragmentu prozy pt. *Sen jedenasty*, w którym Rilke opowiada swój sen. Przebywa w mieście na wschodnich obrzeżach Niemiec, nad wielką rzeką – jak pisze – i jedzie rozpędzonym powozem. Po drodze widzi gospodę, a w dole rzekę. Ten rozpędzony powóz jedzie dalej, aż nagle pojawia się dziecko i jest przerażone. Znając Bytom Odrzański i lokalizację gospody „Pod Żłotym Lwem”, wzajemną bliskość Odry i Rynku, zobaczyłam w tym opowiadaniu swoje miasteczko. Znany mi jest fakt z historii miasta, opisany w kronikach i lokalnej gazecie „Beobachter an der Oder”, dotyczący śmierci nastoletniej bytomianki, która wracając z nabożeństwa porannego, wpadła pod powóz konny i zginęła. A sen, o którym czytałam w poetyckim opowiadaniu Rilkego, właściwie oddawał tragiczne zajście. Zetknąwszy się z zadziwiającym zbiegiem okoliczności, Małgorzata pomyślała, że w pewien sposób te zdarzenia spotykają się w czasie, a może raczej gdzieś poza czasem i że ona też jest, jak gdyby, włączona w krąg tego „poza-czasu” i tych zdarzeń. Dlatego właśnie zaczęła się w sposób szczególnie interesować niezwykłym poetą, iść jego tropem, czytać i kontemplować jego wiersze. To wszystko łączyło się z jej przeżywaniem przestrzeni nadodrzańskiej i wędrówkami przez miasteczko.

W tropieniu „duchów przeszłości” znad Odry główna bohaterka opierała się także na przedwojennych fotografiach, odgrywających w obu powieściach znaczącą rolę. To bardzo ciekawa koncepcja, proszę opowiedzieć o osobach uwiecznionych na wybranych przez Panią zdjęciach.

To były stare niemieckie fotografie młodych i nie tylko młodych ludzi. Jest, na przykład, takie zdjęcie, na którym widać uczennice. Przed wojną była w Bytomiu szkoła gastronomiczna dla dziewcząt. To było zdjęcie zbiorowe zrobione na koniec roku szkolnego i ja na tym zdjęciu wypatrzyłam sobie kilka osób. W powieści opisuję Elżę. „Różni się od pozostałych dziewcząt z fotografii. Szczupła, z wyrazem dziecięcej powagi na śniadej twarzy, powagi, która ma to do siebie, że w każdej chwili może ustąpić miejsca nagłemu atakowi wesołości. W ręku coś trzyma. Książkę lub zeszyt. Zdaje się, że jest to pamiętnik, z którym się nigdy nie rozstaje w obawie, że ktoś mógłby przeczytać jej intymne zwierzenia lub co gorsza wiersze. Bo Elsa pisze wiersze. Jest to jednak jej wielka tajemnica. Elsa nie pasuje do towarzystwa pozostałych dziewcząt. Nie wiadomo, co robi na tym zdjęciu w tym fartuszk, w tej związanej do tyłu chusteczce, w otoczeniu trzęswo myślących, młodych kobiet”³. Właśnie tak wyobraża sobie Małgorzata dziewczynę ze zdjęcia, łącząc swoje wyobrażenia z atmosferą wierszy Rainera Marii Rilkego.

Poza znanymi bohaterami spotykamy w powieści również fikcyjne postacie, borykające się z różnymi problemami i życiowymi przeszkodami. Taką bohaterką jest Nastka, którą cechuje wysoka wrażliwość.

Nastka oczywiście – jak wszystkie postacie – jest i prawdziwa, i wymyślona. We Wrocławiu, zobaczyłam kiedyś w kościele starszą kobietę ubraną w anachroniczny i starodawny strój. Na głowie miała chustę noszoną na prawosławną modłę. To była bardzo niecodzienna sytuacja i bardzo ciekawe dla mnie zjawisko. Gdy zetknę się z czymś nietypowym, to daje mi to impuls do fantazjowania. I tak kobieta z kościoła stała się Nastką – postacią fikcyjną. Tę postać i jej losy wymyśliłam, chociaż widziałam ją naprawdę. Opowiedziałam jej historię, poczynawszy od dzieciństwa, bo tak właśnie wyobraziłam sobie jej życie, mając na uwadze zawirowania historyczne, które się działy nad Odrą, z którymi wiązały się dramaty osobiste, rodzinne. Ona mogła tu trafić na przykład na fali jednej z akcji przesiedleńczych i ja sobie wyobraziłam, że tak właśnie było.

W życiu bohaterów kluczową rolę odgrywa Odra, do której powracają w różnych momentach swojego życia. Również dla Nastki ta rzeka ma duże znaczenie.

Związki z rzeką mają wszyscy bohaterowie. Nastka bardzo bała się rzeki. Miała taką fobię, że bała się wody, a jak usiadła nad strumieniem, to ten strumień zaczynał przed nią olbrzymieć, stawał się coraz straszniejszy i ona dostawała wręcz zawrotów głowy. Potem zmieniła się pod wpływem pewnego zdarzenia, po którym postanowiła zmierzyć się z rzeką. Myśląc o rzece, w kontekście teorii Carla Gustava Junga, jako (między innymi) o nieświadomości, musimy pamiętać, że człowiek, mając w sobie sferę, której nie może kontrolować, musi być czujny i wciąż poszerzać swą samoświadomość, gdyż nieustannie zagrożony jest ze strony tej tajemniczej części psyche zalaniem jej wodami, co może być bardzo niebezpieczne, podobnie jak niebezpieczna potrafi być rzeka.

W jednej z opowieści w *Kluczach do rzeki* główna bohaterka snuje rozważania o rzece, która zabrała ze sobą wszystkie tajemnice, „nigdy nikomu nie zdradziła prawdy, choć znała ją dobrze, tylko w fałdach zielonkawej sukni z nurtem niosła w dół, a potem powierzała morzu”⁴. Jaką prawdę czy też tajemnicę kryje Odra?

³ Tamże, s. 33.

⁴ M. Siderska-Ryczkowska, *Klucze do rzeki*, Gdynia 2013, s. 177.

Odwieczną (*śmiech*). Rzeka po prostu zna tajemnicę życia... i śmierci pewnie także. Zresztą dla rzek śmierć jest prawdopodobnie częścią życia. Cóż z tego, kiedy tę wiedzę moja rzeka zatrzymuje dla siebie. No... czasem coś odsłoni, jakiś malutki rąbek tajemnicy, a pisarze – niepoprawni fanteści – zaraz robią z tego ostateczną prawdę.

Jak dzisiaj postrzega Pani Odrę?

Jest znacznie czystsza niż w moim dzieciństwie (*śmiech*) i przez to ma ładniejszy kolor oraz lepszą przejrzystość. Dzięki temu nie trzeba jej już tak idealizować (*znowu śmiech*). Z radością obserwuję powstawanie nad Odrą coraz to nowych plaż i bulwarów. W samym Wrocławiu w ostatnim czasie powstało wiele miejsc rekreacyjnych nad tą rzeką. W miasteczku Małgorzaty również. Przyjemnie jest patrzeć na zadbane plaże z nadrzecznej kawiarenki na ukwieconej skarpie lub, popijając kawę, obserwować przepływające łódki i kajaki. Odbieram tę tendencję jako przywracanie Odrze jej dawnej świetności oraz należnej rangi w kulturze, która przysługuje przecież tak dużej i mądrej rzece. A trochę też traktuję te działania jako spełniający się sen, bo pamiętam, z jakim rozmarzeniem – jeszcze na początku wieku – oglądałam przedwojenne zdjęcia Beuthen, na których ludzie korzystali z uroków życia *an der Oder* na piknikach lub uprawiając sporty wodne. Z ówczesnej mojej perspektywy wyglądało to wciąż dość nierealnie.

Czy można – Pani zdaniem – nazwać Odrę rzeką europejską?

Oczywiście, przecież niesie w sobie kawał europejskiej historii.

Dziękuję Pani serdecznie za rozmowę.



Małgorzata Grelak

Festiwal Filmu, Teatru i Książki KOZZI... Z perspektywy widza

Udało mi się po raz dziesiąty. Gdyby nie praca w bibliotece i niezła znajomość języka niemieckiego, pewnie nie miałabym szansy przeżyć takiej pięknej przygody.

Od kogo zaczęło się to wszystko? Od Maćka Kozłowskiego. Aktor, społecznik, kibic, piłkarz, człowiek o wielkim sercu – urodził się w Kargowej. Wiem, bo oglądałam jego szkolne zdjęcia, moja kuzynka

chodziła z nim do szkoły, a moja ciocia pracowała w jednym biurze z panią Kozłowską, mamą Maćka. Maciek przyjeżdżał do Kargowej na uroczystości rocznicowe swojej szkoły podstawowej, spotykał się z dziećmi, zapraszał młodzież do Warszawy, organizował piłkarską drużynę bezdomnych, sam był w reprezentacji piłkarskiej artystów. I oczywiście grał. Jego postaci, choć drugoplanowe, stały



się w znacznej mierze kultowe. Tyle o Maćku – patronie. Filmy z jego udziałem i wspomnienia o nim są nieodłączną częścią festiwalu.

W 2012 roku burmistrzem Kargowej był Sebastian Ciemnoczołowski, który oprócz innych form uczczenia zmarłego niedawno Maćka Kozłowskiego, chciał zorganizować święto filmowe na cześć aktora. Zwrócił się z tym do dr. Andrzeja Bucka.

Teraz słowo o głównym organizatorze festiwalu, dyrektorze programowym wszystkich festiwalu, o dr. Andrzeju Bucku, znawcy literatury, teatru, miłośniku festiwalu filmowych. Teoretyk, badacz różnych dziedzin sztuki, literatury, posiadający szerokie kontakty w dziedzinie kultury przystał na propozycję burmistrza Kargowej i postanowił zorganizować Festiwal Teatru i Filmu im. Maćka Kozłowskiego. Do współpracy zaprosił znanego krytyka teatralnego i filmowego, autora książek z dziedziny filmu, teatru Łukasza Maciejewskiego. I tak, z pomocą personelu kargowskich zapaleńców i zgranej ekipy zielonogórskiej księżnicy doszło do organizacji pierwszego

festiwalu Kozzi Gangsta Film. Od pierwszej edycji ważną rolę grał ruch społeczny – stowarzyszenia, najpierw DEBIUT, następnie Kozzi Gangsta, także niezliczona rzesza wolontariuszy. Nazwę Kozzi zasugerował przyjaciel Kozłowskiego Zbigniew Hołdys. Taki przydomek aktor nosił, a „gangsta” – skojarzyło się organizatorom w związku z wieloma rolami gangsterów, jakie Maciek zagrał. Na pierwszej edycji pojawiło się wielu przyjaciół Kozziego, była jego mama i siostra, jego małżonka ze swoją książką wspomnieniową. Wieczór poświęcony Kozłowskiemu, na którym zjawili się wielu aktorów, reżyserów, dziennikarzy, był wzruszający.

Na kargowskim rynku stanął namiot – kawiarenka festiwalowa, w której mieszkańcy regionu mogli spotkać się z twórcami, autorami książek. Z drugiej strony rynku stanął wielki ekran, gdzie codziennie funkcjonowało kino plenerowe. W ratuszowej salce zorganizowano poranki filmowe dla maluchów. Dwa kroki dalej w zabytkowej restauracji Maraton odbywały się koncerty. Po drugiej stronie ulicy, w Kargow-



skim Domu Kultury widzowie mogli oglądać spektakle teatralne. W kolejnej uliczce, w małym kinie prezentowano współczesne kino polskie oraz filmy niemieckie, spotykano się z polskimi autorami książek sensacyjnych i kryminalnych. W kolejnym roku była to już mediateka, nowoczesne, wielofunkcyjne miejsce na mapie Kargowej. Niezwykłą przestrzenią, działającą najciekawiej o północy, był Stary Dworzec, budynek byłego dworca kolejowego w Kargowej. Spektakl lub koncert w ciepłą, letnią noc stanowił ciekawe urozmaicenie festiwalowych wrażeń. Poszczególne miejsca akcji nosiły nazwy: kino Sherlock Holmes, kino Agatha Christie, kino Gangsterzy i Filantropi, kino Deja Vú. Z Zielonej Góry festiwalowych widzów przywoził Kozzi-Bus, mały autokar. I odwoził gości po wydarzeniach festiwalowych. Młodzież korzystała z warsztatów teatralnych prowadzonych przez dramaturgów polskich i niemieckich, przez polskich aktorów/reżyserów, m.in. Wiesław Komasę. Plonem warsztatów były głośne czytania tekstów scenicznych, w tym Marka Koterskiego.

Działo się wiele, a przez kolejne trzy edycje miasteczko żyło festiwalem, mieszkańcy wyczekiwali kolejnego roku i ciekawych spotkań. Trudno zliczyć, ile znakomitości odwiedziło kargowski festiwal. Wśród nich byli: reżyser Maciej Wojtyśzko, aktor Janusz Chabior (laureat nagrody Kozzi za rolę drugoplanową), małżeństwo aktorskie Mariusz Bonaszewski i Dorota Landowska, scenarzysta Wojciech Tomczyk, dziennikarka Iwona Schymalla z mężem Andrzejem, historykiem, Redbad Klynstra i Katarzyna Herman (spektakl *Małe zbrodnie małżeńskie* na podstawie dramatu E. E. Schmitta), Stanisław Mikulski, Artur Żmijewski, Arkadiusz Janiczek, Zbigniew Buczkowski, Grażyna Szapołowska, Beata Fudalej, Elizabeth Duda, Sandra Staniszevska, Jan Nowicki, reżyser Jacek Głomb (ze spektaklami), reżyserki Kaśka Rosłaniec, Anna Wieczur-Bluszcz, Anna Kazejak. Koncerty prezentowali: Piotr Machalica, Maria Sadowska, Justyna Szafran, Bartosz Porczyk czy Marek Dyjak. Niezapomniany koncert na starym dworcu dał znakomity aktor drugiego planu Lech Dyblik.



Dżingla do pierwszej edycji skomponowali i zagrali znakomity młody skrzypek o międzynarodowej sławie Adam Bałdych i świetny raper L.U.C.

Z wydarzeń międzynarodowych wspomnieć należy o wykonywanych w języku rosyjskim *Emigrantach* Mrożka – z Teatru Małego Wrocław, a także o poruszającym spektaklu z czasów wojny Lwowskiego Akademickiego Obwodowego Teatru Muzyczno-Dramatycznego im. Jurija Drohobycza, opracowanym na podstawie prozy Olgi Tokarczuk.

Zdzisław Wardejn odwiedzał festiwal w Kargowej ze spektaklem na podstawie *Iwony księżniczki Burgunda* Gombrowicza, w reżyserii i opracowaniu dr. Andrzeja Bucka, z udziałem aktorów Andrzeja Nowaka i Marty Blonkowskiej, także reprezentując aktualne filmy festiwalowe. Towarzyszyła mu żona, Małgorzata Pritulak, która otwierała też w Zielonej Górze wernisaż swoich prac plastycznych. „Kryminaliści”: Joanna Jodełka, Krzysztof Koziółek, Zygmunt Miłoszewski czy Marek Czubaj odkrywali przed czytelnikami swój warsztat pisarski.

Występowały na festiwalu zarówno teatry zawodowe, jak legnicki im. Modrzejewskiej, warszawski Rampa, gorzowski im. Osterwy, jak i amatorskie – Drewniana Kurtyna z Żar czy Teatr Wielki z Cigacic, amatorska grupa teatralna z Brandenburgii. Były pokazywane monodramy z zielonogórskiego ZOK-u i perełka – monodram *Ja jestem Żyd z Wese-*

la, w wykonaniu Zbigniewa Walerysia. Anna Seniuk zaprezentowała poemat Stanisława Balińskiego *Wieczór w Teatrze Wielkim*. Już podczas pierwszej edycji, dzięki kontaktom dyrektora Bucka, festiwal odwiedził dyrektor Państwowego Teatru Dramatycznego i Muzycznego Staatstheater Cottbus – Martin Schüler. Widzowie zobaczyli w kolejnym roku monodram *Kontrabasista*, w wykonaniu aktora tegoż teatru. Były kwartety smyczkowe, szczudlarze, teatr bez słów dla najmłodszych z Piccolo Theater w Cottbus. Współpraca miast Zielona Góra – Chociebuż rozwija się w wielu dziedzinach. W obu miastach funkcjonują festiwale filmowe. Od pierwszej edycji gościli w Polsce przedstawiciele FilmFestival Cottbus, festiwalu filmów Europy Środkowej i Wschodniej.

W zróżnicowanym na Ziemi Lubuskiej środowisku festiwal zdobywał przez lata uznanie, czego dowodem jest choćby przyznana nagroda mediów lubuskich *Ale Sztuka!*

W 2015 roku nadszedł czas, aby przenieść zdobyte przez organizatorów doświadczenia i zorganizować festiwal w Zielonej Górze. Pierwszy patron wydarzenia pozostał. Od tegoż roku zawsze towarzyszy mu dwóch/dwoje patronów, wybranych spośród znakomitych nieżyjących aktorów, których dokonania warto przypominać kolejnym pokoleniom. I tak w 2015 roku byli to Zdzisław Maklakiewicz i Henryk Machalica, w 2016 – Wiesław Dymny i Jan

Himilbsbach, w 2017 – Zbigniew Cybulski i Roman Wilhelm, w 2018 – Janusz Głowacki i Gustaw Holoubek, w 2019 – Elżbieta Czyżewska i Tadeusz Fijewski, w 2020 – Kalina Jędrusik i Bogumił Kobiela. W 2021 roku patronami zostali wielcy aktorzy, którzy odwiedzali wcześniej nasz festiwal – Wojciech Pszoniak (z wstrząsającym monodramem *Belfer*) i Piotr Machalica ze wspaniałymi koncertami, m.in. piosenek Wojciecha Młynarskiego. Zielonogórski festiwal otrzymał dodatko-



we medium w tytule – książkę, gdyż od początku były na nim prezentowane książki związane z filmem, teatrem oraz książki kryminalne. Przez kolejne lata dodatkowymi miejscami akcji były Wiechlice i Zabór, gdzie organizowano galę festiwalową, a także Żary, Szprotawa i Zatonie, gdzie odbywały się próby czytane, spektakle, koncerty, spotkania z twórcami i gdzie pokazywane były filmy. Tradycją festiwalu jest konkurs o nagrodę KLAPS dla reżysera najlepszego polskiego filmu z 2-3 ostatnich lat. KLAPS jest też przyznawany za całokształt dokonania w dziedzinie teatru i filmu dla reżysera/reżyserki lub aktora/aktorki, dla najlepszego aktora/aktorki oraz za rolę drugoplanową i jest to nagroda im. Maćka Kozłowskiego. Kapituła konkursowa spotyka się po obejrzeniu wszystkich filmów wybranych spośród wartościowych dokonania polskiej kinematografii i obraduje, by przyznać nagrody. Tradycją staje się również nagroda Kozzi Gangsta, przyznawana przez jury kryminalne, złożone z zielonogórskich adwokatów. W tym konkursie prezentowane są filmy sensacyjne, kryminalne, thrillery, czyli kino akcji z ostatnich lat. Filmom konkursu Kozzi Gangsta towarzyszy komentarz prawniczy lub debata. Z dużym zainteresowaniem spotkała się w tym roku debata po filmie *25 lat niewinności* w reżyserii Jana Holoubka. Wzięli w niej udział prokurator, sędzia, dwóch adwokatów. Wywiązał się zajmujący dialog. Po prezentowanym w retrospekcji filmów gościa specjalnego – Krzysztofa Globisza w filmie *Krótki film o zabijaniu* Krzysztofa Kieślowskiego nestorzy zielonogórskiej palestry prowadzili niezwykle istotną dyskusję.

Przez lata zielonogórskiej przygody festiwalowej odbyło się wiele inspirujących wydarzeń, wzbogacających kompetencje kulturalne Lubuszan. Nowe miejsca festiwalowe to w WiMBP kino Norwid, kino na Górze, kino Młodość, a przed Palmiarnią kino plenerowe i kino samochodowe, Namiot Café Film

na deptaku, sala kolumnowa Urzędu Marszałkowskiego, kino Cinema City, Piekarnia Cichej Kobiety, Krzywy Komin, kino Rektorat w auli Uniwersytetu Zielonogórskiego, a w 2021 roku – najnowsze kino Muzeum, w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Przez ostatnią dekadę pokazano dziesiątki filmów i spektakli, koncertów i pokazów kabaretowych. Istotnymi nurtami są corocznie: Kino wg Andrzeja Draguły, z fantastycznymi rozważaniami kulturotwórczymi, etycznymi; Kino znad Granicy – z najciekawszymi filmami fabularnymi i dokumentalnymi kinematografii niemieckiej i niemieckiego obszaru językowego; FilmFestival Cottbus prezentuje laureatów swojego festiwalu (dzięki temu możemy zobaczyć współczesne kino Europy Środkowej i Wschodniej); Kino Europejskie – tu m.in. we współpracy z Europe Direct pokazywane są wyśmienite produkcje Starego Kontynentu (w ubiegłym roku np. *Szarlatan* Agnieszki Holland czy *Malowany ptak* Václava Marhoula z nietuzinkową rolą Lecha Dyblika, a w tym roku *Wróg doskonały* Kike Maíllo z Tomaszem Kotem); Konotacje Lubuskie – prezentujące działalność dramatopisarską, teatralną i filmową twórców związanych z Zieloną Górą poprzez miejsce urodzenia lub działalność artystyczną. Bogusław Schaeffer był w Zielonej Górze dwukrotnie obecny ze swoimi niezwykle oryginalnymi dramatami scenicznymi – raz w 2020 roku z *Audiencją II* w wykonaniu Mikołaja Grabowskiego, a w 2021 roku ze *Scenariuszem dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego*, gdzie oglądaliśmy



mistrzowskie wykonanie Jana Peszka. Schaeffer napisał ten tekst sceniczny specjalnie dla tego aktora, gdy był on jeszcze studentem. Przez lata to niezwykłe dzieło było pokazywane na kilku kontynentach, Peszek grał w wielu językach, jednakże oprócz słowa – gest, mimika i ruch sceniczny oraz dźwięk odgrywały tu istotną rolę. Wartością dodaną była rozmowa z Janem Peszkiem bezpośrednio po spektaklu. Joanna Szczepkowska na Kozzi zaprezentowała monodram *Goła baba*, Sonia Bohosiewicz – *Chodź ze mną do łóżka* i recitał piosenek Marilyn Monroe, Katarzyna Kołeczek – monodram *Co modna Pani wiedzieć powinna?*, Piotr Cyrwus wystąpił w *Zapiskach Oficera Armii Czerwonej*, Adam Woronowicz – w spektaklu *Miłość* (opartym na wierszach ks. Jana Twardowskiego), przy akompaniamencie wirtuozu gitary, legendarnego Janusza Strobła.

Plejada polskich aktorów wszystkich pokoleń i różnicowanego emploi przewinęła się przez sceny zielonogórskiego festiwalu. Gościli na nich m.in.: Teresa Lipowska, Krystyna Sienkiewicz, Irena Jun, Grażyna Barszczewska, Marzena Trybała, Marian Dziędziel, Marian Opania, Andrzej Seweryn, Zbigniew Zamachowski, Zbigniew Waleryś, Krzysztof Daukszewicz, Gabriela Muskała, Aleksandra Konieczna, Katarzyna Gniewkowska, Barbara Kurzaj-Jonak, Tomasz Włosok, Eliza Rycembel, Roma Gąsiorowska, Agnieszka Mandat, Grażyna Błęcka-Kolska, Ewa Błaszczyk, Małgorzata Zajączkowska, Karolina Porcari (spektakl), Łukasz Simlat, Sebastian Stankiewicz, Adam Ferency (spektakl), Bronisław Cieślak (rozmowa o książce, której bohaterem był kultowy poruc-

nik Borewicz), Jacek Fedorowicz (książki), Olena Leonenko (wspomnienie o Januszu Głowackim i recital), Magdalena Zawadzka i Jan Holoubek (wspomnienie i książki o Gustawie Holoubku), Marta Maklakiewicz (książka o jej ojcu Zdzisławie), Grażyna Jagielska (książka *Miłość z kamienia* będąca kanwą filmu *53 wojny* Ewy Bukowskiej), Jowita Budnik (monodram *Supermenka* Doroty Maciei), Małgorzata Bogdańska (świetny, prezentowany na festiwalowej gali monodram *Nie lubię pana, panie Fellini*, autorstwa i w reżyserii Marka Koterskiego), Sławomir Holland (monodram), Mieczysław Hryniewicz (wiersze w Salonie Poezji).

Reżyserzy i reżyserki obecni na festiwalu to m.in. Maciej Żak, Artur Barciś, Andrzej Jakimowski, Katarzyna Jungowska, Kinga Dębska, Iwona Sikieryńska, Marcin Bortkiewicz, Łukasz Grzegorzek, Bartosz Kruhlak, Tomasz Jurkiewicz, Artur „Baron” Więcek. W Kargowej obecni byli Maciej Wojtyśzko, Adam Wojtyśzko, Maria Sadowska, Wiesław Komasa, Krzysztof Łukaszewicz, Jacek Głomb.

Prof. Elżbieta Baniewicz prezentowała u nas swoją książkę *Dżanus* o Głowackim, pisarka Joanna Bator spotykała się z czytelnikami, rozmawiając o książce *Ciemno, prawie noc*, będącej podstawą scenariusza filmu o takim samym tytule (w reżyserii Borysa Lankosza), Grzegorz Ćwiertniewicz opowiadał o bohaterach swoich książek, scenarzysta i aktor Cezary Harasimowicz prezentował swoją najnowszą książkę. O wspólnym tytule *Pokochawszy. O miłości w języku* opowiadali prof. Jerzy Bralczyk i jego małżonka Lucyna Kirwil. Działająca w Wielkiej Brytanii reżyserka i producentka Monika Braid prezentowała filmy dokumentalne.

Lubuskie Konotacje reprezentowali Joanna Brodzik, Magdalena Rózdźka, Anna Haba, Ernest Nita, Robert Gulaczyk, Marta Honzatko, Jacek Zienkiewicz (świetny monodram *Donna Kamelia* Stanisława Kowalewskiego), Lech Mackiewicz ze swoim filmem *Ja Ciebie też*. Film ten, dzięki współpracy zielonogórskiego festiwalu z FilmFestival Cottbus, już w listopadzie 2021 zostanie pokazany w Cottbus. Prezentować go będzie dr Andrzej Buck.



Znakiem firmowym Kozzi są też liczne koncerty, wśród innych artystów byli tu Marek Piekarczyk (roz-mawialiśmy również o książce, której jest bohaterem), Misia Furtak, Katarzyna Żak, Andrzej Poniedziałski.

W 2019 roku szczególnym wydarzeniem były spektakle teatralne w formie zarejestrowanej cyfro-wo. Dr Janusz Łastowiecki prezentował poszczegól-nych dramaturgów i spektakle, a młodzieżowe jury przyznawało nagrodę dla najlepszej inscenizacji i au-tora. Wśród dramatopisarzy znalazła się też Lubu-szanka Iwona Kusiak, która spotkała się z widzami.

Istotnym walorem festiwalu jest możliwość spo-tkania z twórcą, wysłuchania rozmowy, zadania py-tania, otrzymania autografu. Stali festiwalowi bywal-cy chętnie z tego korzystają. Przybywa też nowych miłośników sztuk prezentowanych na tej imprezie.

Od pierwszej edycji współpracuje z festiwalem Łukasz Maciejewski – wykładowca akademicki, pi-sarz, krytyk, członek międzynarodowych gremiów dziennikarskich w zakresie zarówno teatru, jak i fil-mu, organizator i kurator licznych festiwali. Przyja-ciel artystów i twórców – prowadzi z nimi niebanal-ne rozmowy, często prezentując kolejne książki te-atralne i filmowe. Od pierwszej edycji gości u nas tak-że Lech Dyblik, okraszając festiwalowe wydarzenia swoim ciepłym głosem, gra i śpiewa pieśni bardów rosyjskich i z czasów ZSRR. Podczas jednej z edycji był gościem osadzonych w zielonogórskim arest-cie, prowadząc swego rodzaju zajęcia terapeutycz-ne śpiewem. Opowiadał również o swoich losach jako niepijący od lat alkoholik. Spotkanie z nim i opo-wieść były dla osadzonych niemałym przeżyciem.

Od początku festiwalowych działań dyrektor festiwalu dr Andrzej Buck współpracuje i z Funda-cją Współpracy Polsko-Niemieckiej, i z niemiecki-mi partnerami z takich instytucji, jak Piccolo Theater Cottbus, Staatstheater Cottbus, FilmFestival Cottbus. Z tym ostatnim współpraca jest najbardziej wszech-stronna. Zwycięskie filmy są prezentowane wzajem-nie u sąsiada zza Odry. Tradycją stało się również po-kazywanie w Zielonej Górze, w listopadzie, kiedy to zwykle na początku miesiąca odbywa się Festiwal Filmów Europy Środkowej i Wschodniej FilmFestival Cottbus, filmów polecanych przez kolegów z Nie-miec. Te same filmy są wyświetlane w Chociebużu.



Bernd Buder, dyrektor programowy FilmFestival Cottbus, gości corocznie w Zielonej Górze podczas Kozzi, jest członkiem Kapituły Konkursowej i pre-zentuje laureata ubiegłorocznej edycji swojej impre-zy filmowej. Festiwal nie może się także odbyć bez Krakowskiego Salonu Poezji w Zielonej Górze. Go-ścił on wiele znakomitości teatralnych z Anną Dym-ną i Krzysztofem Orzechowskim na czele. W 2021 roku z poezją norwidowską wystąpiła Dorota Segda. Wiersze czytali wcześniej m.in. Piotr Cyrwus i Maja Barełkowska, Jerzy Trela, Magdalena Zawadzka, Mariusz Bonaszewski. Gospodarzem salonu jest nie-zmiennie Andrzej Buck.

Uczestnicy wydarzeń przyzwyczaili się już do za-powiedzi każdego z wydarzeń festiwalowych przez przybyłą gwiazdę bądź przez przedstawiciela organi-zatorów. Oprócz filmów z udziałem patronów, zmar-łych ikon polskiego filmu i teatru, odbywają się re-trospekcje twórców żyjących oraz wieczory wspo-mnieniowe, prezentujące dorobek nieobecnych już gwiazd. Są też wspomnienia in memoriam, prezen-tacja aktorów, którzy odeszli niedawno (w tym roku



był to Zygmunt Malanowicz) lub zapisali piękną kartę w historii polskiej sztuki (Andrzej Nardelli). Organizatorzy zaprosili w tym roku aktora o wielkim dorobku artystycznym w teatrze i filmie. Jemu poświęcona była retrospektywa i otrzymał nagrodę za całokształt. To Krzysztof Globisz. Pojawił się w tym roku także Artur „Baron” Więcek, reżyser *Anioła w Krakowie* z Globiszem w roli głównej i nowego, powstającego właśnie filmu o wielkim krakowskim aktorze. Przed nami jeszcze druga część retrospektywy filmów z Magdaleną Popławską. Tradycją festiwalową są imprezy poprzedzające, czyli „Forpoczta”. W tym roku w Salonie Poetyckim były prezen-

towane *Listy na wyczerpanym papierze* Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory, w wykonaniu Alicji Stasiewicz i Lecha Mackiewicza. Tradycyjnie organizatorzy zapraszają na pofestiwalowe „Post Scriptum”. W późniejszych terminach odbywają się pokazy filmowe czy spotkania z twórcami.

Corocznie także młodsze pokolenie ma swój czas na festiwalu. Przede wszystkim w namiocie festiwalowym organizowane są warsztaty kulinarne, pisarskie, gry, spotkania z autorami książek dla dzieci. Namiot tętni życiem. Festiwal łączy siły z Zielonogórskim Ośrodkiem Kultury, prezentując cykl „Z książką na leżaku”, podczas którego są także prezentowane książki filmowe czy o twórcach teatralnych i filmowych.

Podsumowując, festiwal to niezapomniane wrażenia. Mieć możliwość pracowania przy festiwalu choćby w mikrowymiarze i w nim uczestniczenia to moje spełnione marzenie. Co pozostaje w pamięci najtrwalej? Rozmowy na ważne tematy, spotkania z uczestnikami podczas zapowiedzi wydarzeń artystycznych, plejada polskich reżyserów i aktorów, autorów, dramaturgów, wirtuozów, piękne dźwięki, obrazy i słowa. Nastrojowe koncerty. Trudno wybrać jedną dyscyplinę. Wszystkie są równie ciekawe. Dziękuję wszystkim, dzięki którym to wydarzenie wpisuje się w nasz lubuski krajobraz. Mam nadzieję, że dane mi będzie uczestniczyć w kolejnych edycjach.



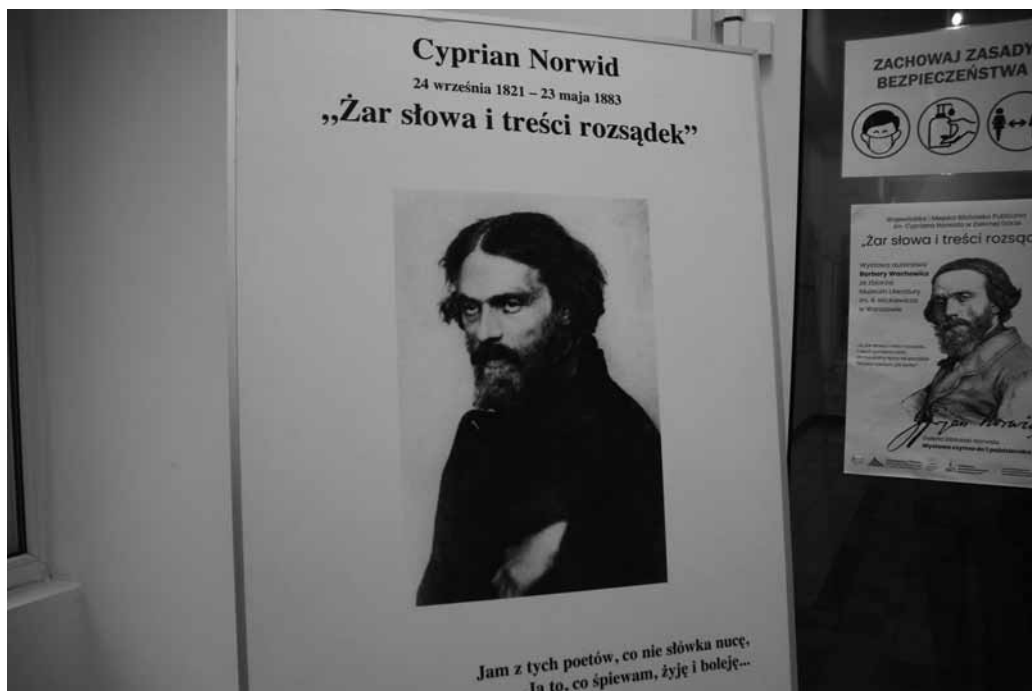
Urodziny Norwida

Dokładnie 200 lat temu, 24 września 1821 roku, w mazowieckiej wsi Laskowo-Głuchy przyszedł na świat Cyprian Norwid – polski poeta, prozaik, dramatopisarz, filozof, grafik i rzeźbiarz. Decyzją Sejmu RP Cyprian Norwid stał się patronem 2021 roku, obok wybitnych polskich pisarzy, których równie szczególnie wspominamy w tym roku: Stanisława Lema, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Różewicza. 2021 ogłoszono także rokiem kard. Stefana Wyszyńskiego i Konstytucji 3 Maja.

Tę szczególną okazję postanowiła również zaakcentować Wojewódzka i Miejska Biblioteka Pu-

bliczna w Zielonej Górze, której Norwid jest patronem od 1972 roku.

W tym miejscu warto krótko przypomnieć, że na wybór tego właśnie patrona wpływ miało nabycie przez Bibliotekę pięciu unikatowych rysunków Norwida. Pochodzą one ze sztabucha rodziny Turnów, zabezpieczonego w czasie drugiej wojny światowej w pałacu w Dobrzycy (pow. pleszewski). Są to niewielkie szkice wykonane tuszem przy użyciu piórka, na niebieskim papierze listowym, a na jednym z rysunków widnieje sygnatura poety „Norwid”, na innym zaś nazwa miejscowości i data: „Ostende, 28 sierpnia 1846 r.”.



Działania jubileuszowe, związane z 200. urodzinami Norwida, zielonogórska księżnica zaplanowała w zasadzie na cały rok. Rozpoczęło je wprowadzenie grafiki jubileuszowej, prezentującej Norwida siedzącego na ławeczce wraz z pamiątkową datą i napisem „2021 Rok Norwida”, którą zamieszczono we wszystkich projektach graficznych Biblioteki, wydawnictwach oraz oficjalnej korespondencji, przygotowywanych w tym roku.

Już na początku 2021 zainaugurowano także szereg działań, sukcesywnie przypominających o wyjątkowości tego roku. Każdego 24. dnia miesiąca w Filii nr 2 organizowano konkurs „Wersuj z Norwidem”, a w każdy piątek Filia nr 1 na swoim fanpage'u na Facebooku publikowała film, w ramach cyklu „Czytamy Norwida na Ptasiej”. Prezentowano w nim twórczość Norwida w interpretacjach różnych osób – bibliotekarzy, zielonogórzan, czytelników i przyjaciół naszej księżnicy. Z kolei w maju przed budynkiem Biblioteki odsłonięto miniwystawę, ukazującą powiększone kopie unikatowych rysunków Norwida, znajdujących się w zbiorach zielonogórskiej księżnicy.

Jednak najważniejsze uroczystości i przedsięwzięcia jubileuszowe zaplanowano na 24 września 2021 – dokładny dzień 200. urodzin wieszczka.

Tego dnia przed budynkiem Biblioteki, tuż obok obecnej tam od 2013 roku ławeczki Norwida, otwarto Skwer Poetów. Ustawiono w nim pięć ławeczek, które zadedykowano wybitnym, nieżyjącym już, zielonogórskim twórcom. Swoje miejsce znalazły tam ławeczki: Anny Tokarskiej, Janusza Koniusza, Michała Kaziowa, Andrzeja K. Waśkiewicza oraz Mieczysława Warszawskiego.

Na każdej z nich zamieszczono specjalną tabliczkę, zawierającą unikatowy QR kod. Wystarczy go zeskanować, aby poznać życiorys twórcy oraz obejrzeć jego fotografię. Być może w przyszłości znajdziemy tam także fragmenty twórczości oraz pliki multimedialne poświęcone danemu pisarzowi.

Uroczystości otwarcia Skweru Poetów towarzyszyła prezentacja krótkiego filmu o Norwidzie, przygotowanego na tę okazję przez mediatekę Góra Mediów, w reżyserii Magdaleny Faron, „Norwid wiecznie żywy”. Dopełnieniem uroczystości był finał jubileuszowej wystawy, poświęconej patronowi, „Cyprian



Norwid – Żar Słowa i Treści Porządek”, którą mogliśmy oglądać w Galerii Biblioteki przez cały wrzesień.

Tego dnia nie zapomniano także o najmłodszych czytelnikach zielonogórskiego „Norwida”. Z myślą o nich przed południem zorganizowano spotkanie z popularną autorką książek dla dzieci, Joanną Olech.

Część działań urodzinowych zaplanowano natomiast na później.

5 października odbył się konkurs na najlepszą interpretację wiersza lub innego wybranego fragmentu twórczości Cypriana Norwida, zatytułowany „Czytamy Norwida”. Nagrodę główną w konkursie (czytnik PocketBook) zdobyła Halina Bohuta-Stąpel, natomiast wyróżnienia trafiły w ręce Dominiki Moszczyńskiej i Kazimierza Wysockiego.

Dwa tygodnie później, w sobotę 23 października, zielonogórzanie mogli wziąć udział w terenowej grze rodzinnej „Zacytani w Norwidzie”, adresowanej do tych, którzy chcieli poszerzyć lub sprawdzić swoją wiedzę o życiu i twórczości Cypriana Norwida, poznać ciekawostki na temat tej wybitnej postaci oraz odnaleźć miejsca w Bibliotece, poświęcone pamięci o naszym patronie. Gra okazała się dla uczestników

nie tylko merytorycznym wyzwaniem, ale także doskonałą zabawą i oryginalną formą wspólnego spędzenia czasu z rodziną. Tym razem nagroda główna, w skład której weszły: czytnik e-booków PocketBook, karta podarunkowa do Empiku oraz jubileuszowa koszulka z Norwidem, powędrowała do rodzeństwa Agaty i Adama Rawskich.

Oczywiście nie byłoby także urodzin bez kolorowych baloników oraz symbolicznego prezentu, którym obdarowano Norwida, siedzącego na ławeczce przed budynkiem Biblioteki. Organizatorzy zadbali również o jubileuszowe cukierki krówki dla gości oraz koszulki z podobizną patrona. Każdy chętny mógł też zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie z Norwidem lub po prostu na chwilę posiedzieć obok niego na ławeczce.

Działania związane z 200. urodzinami Norwida zorganizowała Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze we współpracy ze Stowarzyszeniem Bibliotekarzy Polskich, Zarządem Oddziału w Zielonej Górze, przy współfinansowaniu ze środków Urzędu Miasta Zielona Góra.



2. Turniej Jednego Wiersza AMERYKA!

Biblioteka Obcojęzyczna w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze już po raz drugi zorganizowała Turniej Jednego Wiersza AMERYKA!, w ramach projektu „Spotkania z kulturą amerykańską” dofinansowanego przez Ambasadę USA w Warszawie. Zadaniem konkursowym było przedstawienie jednego wiersza w języku polskim własnego autorstwa, nawiązującego do USA, np. do amerykańskiej literatury, kultury, muzyki, filmu, przyrody, historii. Nagrodę główną stanowił czytnik e-booków Kindle, czekały również nagrody od Ambasady USA i liczne upominki. 24 czerwca 2021 w Sali Janusza Koniusza piętnaścioro poetów zaprezentowało swoje amerykańskie wiersze i niełatwo było wybrać najlepsze teksty. Pisano o odkrywaniu Ameryki, przewożeniu przez osadników grudek ziemi z ojczyzny, o kanionach Idaho, preriach i Appalachach, odległych rzekach i miastach, aglomeracjach i marzeniach, a także o życiu amerykańskich poetów i muzyków. Powstały zarówno dłuższe, białe wiersze, jak i limeryki. Jury w składzie: Agnieszka Ginko-Humphries (przewodnicząca), Jolanta Pytel i Mikołaj Sasiński przyznało pierwsze miejsce Katarzynie Jarosz-Rabiej, drugie – Halinie Bohucie-Stapel i trzecie – Elżbiecie Dybalskiej, a trzy równorzędne wyróżnienia: Roksanie Bach, Natanielowi Koman i Kazimierzowi Wysockiemu.

Przed Turniejem odbyła się krótka prezentacja nowego numeru czasopisma „Pasje Literackie” wydawanego przez Bibliotekę Norwida i Związek Literatów Polskich. Redakcja zachęcała do przesyłania poezji, prozy, recenzji i felietonów do nowego, jesiennego numeru, odczytano także krótkie teksty

z wiosennych „Pasji Literackich”. W trakcie przerwy na liczenie głosów nie zabrakło atrakcji: Jolanta Pytel wygłosiła prelekcję na temat poezji Emily Dickinson oraz Sylvii Plath, zachęcając do zapoznania się z ich tomikami, dostępnymi w Bibliotece, i do czytania amerykańskiej poezji. Relację ze spotkania można obejrzeć na Facebooku biblioteki wojewódzkiej.

Katarzyna Jarosz-Rabiej

Ameryka z Jelenią w tle

Nie popełnię samobójstwa
Jak Sylvia Plath
On odszedł na zawsze
Który to już raz
Żeby nie powrócić
Nawet na kolanach
Przyrzekać
Kłamać
Patrząc w oczy jak pies
Jego odejście
Dodało mi sił
W mojej wyobraźni
Przechadzałam się po Manhattanie
Widziałam zebrzących
Młode i stare prostytutki
W kusych kieckach
I mocnym makijażu

Oczekiwały w kolejce do piekła
 Ameryka.....
 Nie popełnię samobójstwa jak Sylvia Plath
 Wierzę że kiedyś spotkam
 Zgubionego przed laty księcia z bajki
 Niespełnionego nigdy
 Kochanka
 Z ulicy Jeleniej
 Ulicy mojego dzieciństwa
 Nigdy nie pojedę do Ameryki
 Bo.... nie chcę

Halina Bohuta-Stapel

Trójlimeryczny wiersz historyczny

Nieświadomy odkrywca

Ku Indiom Kolumb* zmierzał
 i świat na wspak przemierzał
 lecz nie on z krzykiem
 grzmiał: „Amerykę
 żem odkrył, w mordę jeża!”

Dlaczego Ameryka

nie zwie się Kolumbią

Z Florencji Amerigo**
 rzekł: „Znam Kolumba. I go
 cenię wysoko
 lecz – kij mu w oko –
 ten ład zwą Ameryką.”

Jak powstał jazz

Eriksson*** – Wiking dziki
 rzekł: „Ja do Ameryki
 dotarłem pierwszy
 więc stwórzcie wierszyk
 o mnie! Lub coś z muzyki.”

* oczywiście Krzysztof Kolumb

** oczywiście Amerigo Vespucci

*** niezupełnie oczywiście Leif Eriksson, bo być
 może uprzedził go Bjarni Herjolfsson

Elżbieta Dybalska

Ziemia nad oceanem pomiędzy brzegami

przestrzeń prawdopodobieństw
 wolność zamknięta w ciele
 czas kartki kalendarza liczy
 w woreczku lnianym zgarnięta wiedza
 o Matce i Ojcu
 kruszyny ich życia okrucy historii
 maleńki woreczek dopełnia gruda ziemi
 z ogrodu ojcowizny
 Ziemia nad oceanem

niemożliwe staje się możliwe
 tęsknota we łzie dopełnia niepokojem wody
 oceanu
 kropla z dna to ja



Roksana Bach

* * *

mieszkanie bez mieszkańców to tylko
 pomieszczenia
 które mieszczą po mieszkańcach pościele,
 drobiazgi zmieszane
 bez segregacji, nieekologiczne wspomnienia
 słomkowe obrazy, książki, sofy – amerykański

okruch ze śniadania, fus czarnej herbaty
 mieszczą w sobie ciszę ostatniego dźwięku
 zasłyszanego przed podróżą w zaświaty
 przed przemieszczeniem w pomieszczenie
 święte

to dalej niż na mapie, w atlasie, nawigacji
 a bliżej niż odległe Stany Zjednoczone
 przekroczysz Bóbr, Odrę, Jukon i Missisipi
 przenikniesz przez piwne żrenice przeszklone

i każdy stan odnajdziesz skupienia
i w każde piękno zerknie twoja dusza
nie wrócisz tylko do starego pomieszczenia
nie zajrzysz tam nawet przez dziurkę od klucza

Kazimierz Wysocki

to mieszkanie bez ciebie to tylko pomieszczenia
co nie mieszczą już w sobie nic więcej prócz pustki
rozgrabionych drobiazgów, słodkiego czasu tracenia
zakurzonych obrazów, haftowanej chustki

Nataniel Koman

Droga nr 20 – Wielki Ojciec
Wsłuchany w tyrady z kamiennych pobrzeży
Początek i koniec, który cię wyznacza
Dzikość i niedzikość, która cię otacza
Nieznający granic, nieświadom rubieży
Podziwiasz z oddali ośnieżone szczyty
Skaliste urwiska naznaczone czasem
Wyżyny skropione wiecznie żywym lasem
Przemierzasz, przyjmujesz, w widoku ukryty
Stęskniony ulotnej pieśni wielkich prerii
Stalowej korony niemych Apalachów
Bezkształtnych połąci bezwonnych zapachów
Wkraczasz w kaskady miejskich peryferii
Nie zważasz na barwy błękitu, czerwieni
Bezstronnie, bezbarwnie, bez ocen, morałów
W wolności, dla wszystkich, bez zbędnych podziałów
Zatapiasz się z wolna w bezbrzeżach zieleni
Otaczasz, prowadzisz, jesteś

Canyon Antelope

Pięknych bajek już wiele słyszałem
Które dzieją się w innych krainach
Lecz tę jedną niedawno ujrzałem
Na pustynnych Idaho równinach.

Wśród kamieni pęknięta ziemia
Niespodziankę w swym wnętrzu skryła
Piękna bajka ze światła i cienia
Ściany piasku w raj przemieniła.

Niezliczonych kolorów desenie
W fantastycznej galerii obrazów
Odmieniają kręte przestrzenie
W piękną formę boskich przekazów.

Z każdą chwilą na każdym kroku
Inny obraz światło maluje
Tu błękitem zanurza się w mroku
Tam znów tęczę na ścianie buzuje.

Ciemnoskóry indiański przewodnik
Na fujarce cicho przygrywa
Tęskny ton niesie w głąb kręty chodnik
Dawnych czasów nastroje przyzywa.

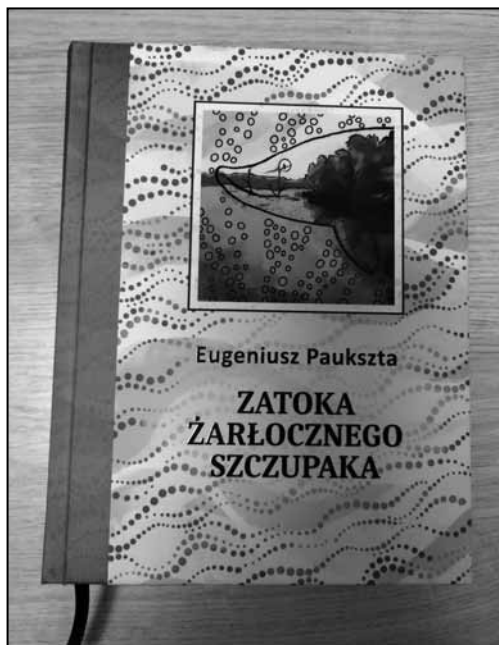


Kargowskie nagrody rozdane

Tegoroczna edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Paukshy „Mała ojczyzna – pogranicza kultur” przebiegała w wypracowanej przez lata formule. Impreza wieńcząca 22. Konkurs odbyła się 24 września 2021 r. z udziałem przedstawicieli wszystkich organizatorów przedsięwzięcia, tj. Gminnego Centrum Kultury w Kargowej, Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Związku Literatów Polskich Oddziału w Zielonej Górze oraz Stowarzyszenia Gmin RP i Regionu Kozła. Jak co roku, spotkanie zaszczylicili swoją obecnością: Dominik Paukszt, syn patrona Konkursu, przedstawiciele władz Kargowej z burmistrzem Jerzym Fabisiem na czele, członkowie stowarzyszeń regionalnych oraz mieszkańcy Kargowej. Tradycyjnie, przed główną uroczystością, delegacja odwiedziła leśniczówkę w Linach, w której – w czasie swej aktywności zawodowej – wypoczywał i szukał inspiracji twórczej Eugeniusz Paukszt. Pod jego tablicą pamiątkową złożono kwiaty i zapalono znicze.

Clou konkursowego programu odbywało się w mediatece Światowid w Kargowej. Imprezę sprawnie moderowała Małgorzata Kwiecień, dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej. Po przemówieniach Dominika Paukshy, burmistrza i członka Rady Miasta nastąpiło uroczyste rozstrzygnięcie Konkursu. Alfred Siatecki, przewodniczący Jury, pokrótce omówił tegoroczne pokłosie Konkursu i ogłosił werdykt. Pierwsze miej-





sce i nagrodę w wysokości 1400 zł otrzymała Anna Piliszewska z Wieliczki za pracę *Zalew*. Drugie miejsce i nagrodę w wysokości 900 zł przyznano Bogdanowi Nowickiemu ze Świętochłowic za opowiadanie *Mgła*. Natomiast trzecie miejsce i nagroda w wysokości 700 zł przypadła Januszowi Pyzińskiemu z Dębicy za tekst *W mojej wsi*. Ponadto Jury przyznało dwa wyróżnienia w wysokości 300 zł, które otrzymali: Aleksandra Igras z Dąbrowicy za *Pokrzywy* oraz Tytus Kamil Rolski z Rogoźnika za pracę *Witka łoziny*.

Nastąpiło uroczyste wręczenie nagród i dyplomów, po czym zorganizowano krótką sesję fotograficzną z udziałem obecnych na uroczystości laure-

atów. Następnie odbył się koncert uzdolnionej wokalistki Anny Bakalarek, po którym zaproszono gości na wystawę prac fotograficznych Rolanda Hellmanna, zatytułowaną *Człowiek*. Podczas bankietu wieńczącego wydarzenie była okazja do rozmów z nagrodzonymi literatami, dyskusji na temat wydarzeń w mediatece Światowid, a także wspomnień o patronie Konkursu, którego postać jest otoczona ogromnym respektem przez mieszkańców Kargowej. Organizatorzy z satysfakcją odnotowali fakt, że Konkurs od lat cieszy się nieustannie zainteresowaniem uczestników, przysparzając miastu prestiżu i rozślawiając je w całym kraju.



Adam Lizakowski

Norwid w Nowym Jorku

W 200. rocznicę urodzin poety Cypriana Kamila Norwida

Podróż

Cyprian Kamil Norwid (1821-1883), czwarty polski romantyk w Ameryce – to brzmi bardzo interesująco. Niewielu wie, czy pamięta, że ten wspaniały poeta, nowator, który zastaną poezję rymowanek i wzruszeń odrzucił, bo chciał „przerobić” ją na poezję myślącą, także malarz, rzeźbiarz, słowem: artysta, również w Ameryce szukał szczęścia, którego w zasadzie nigdy nie miał. Norwid nie przybył do Ameryki jako emigrant polityczny, jakim był w Europie, ale jako emigrant ekonomiczny wypędzony przez nędzę, po części z powodów prywatnych i finansowych. Stwierdzenie, że „uciekał za ocean”, jest za mocne, ale oddaje stan ducha artysty, jego samopoczucie psychiczne, chwile, w których zdecydował się opuścić Paryż i Europę. Zanim załatwił wszystkie formalności paszportowe, z pewnością otrzymał jakąś skromną wyprawkę finansową od rządu francuskiego (na drogę do Ameryki, aby w niej po tygodniu nie umarł już z głodu), który na pewno liczył na to, że będzie jednego emigranta z Polski we Francji mniej.

Podróż przez Atlantyk trwała wtedy przeważnie dwa-trzy tygodnie. Norwid niefortunnie wybrał zimę i z powodu niesprzyjającej pogody jego „wyprawa” trwała dwa miesiące. Przez ten czas przebywał wśród ludzi takich jak on, zdanych na łaskę i niełaskę żywiołu, przestraszonych i modlących się o własne życie od rana do wieczora pod mrocznym i cuchnącym pokładem żaglowca. Poeta jednak spędzał czas nie tylko na modlitwie, także pisał i rysował, rozmyślał nad swoją sytuacją i co będzie dalej, gdy postawi nogę w nowojorskim porcie. Niestety, rysunki i myśli spisane podczas podróży morskiej prawdopodobnie zostały po jego śmierci wyrzucone na śmietnik wraz z wieloma innymi rzeczami.

Co poeta wiedział o Ameryce, zanim do niej dotarł? Artysta znał ją zapewne z opowiadań ludzi, a także z prasy i książek rodowitych Amerykanów, jak i tych, którzy się z nią zetknęli i powrócili do Europy; Ameryka jest egoistyczna, dolara stawia wyżej niż Boga, prostactwo i prostota obyczajów rzuca się w oczy zaraz po zejściu ze statku na ląd. Konieczność ciężkiej pracy jest jakby wpisana w DNA emigranta lub przyszłych kandydatów na obywateli amerykańskich. Praca po 12-16 godzin

dziennie nie jest niczym nadzwyczajnym, a jeszcze nie gwarantuje sukcesu, wciąż większość emigrantów żyje na granicy nędzy i ubóstwa.

Nie wiemy, jak wyobrażał sobie swój pobyt w Ameryce – czy zdawał sobie sprawę z tego, że przed swoim pechem, prześmiewcami i szydercami nie ucieknie, bo oni już bardzo mocno wkradli się w jego życie, umysł i serce, i że nawet będzie tęsknił za nimi, bo zabrali ich ze sobą do Nowego Świata? Jak większość emigrantów poeta był bardzo naiwny, wierzył, że jego życie w Ameryce będzie inne niż w Europie. Otóż nie było, stało się wierną kopią życia w Europie. Tak potrafił zażartować sobie los z niego i tysiąca innych, którym się wydawało, że podróż statkiem kiedyś, czy dzisiaj samolotem przez ocean zmieni ich w innych ludzi, jak jakaś czarodziejska różdżka. Norwid chodzący po Nowym Jorku był tym samym Norwidem, który chodził po Paryżu: nieszczęśliwy, głodny, żyjący swoimi marzeniami o wielkim sukcesie artysty, przed którym drzwi salonów europejskich stoją otworem. Wciąż myślał o towarzystwie francuskich panów we frakach, a pań w brokatowych sukniach, wieczorowych tańcach, na których wyborne towarzystwo je owoce morza, różnego rodzaju mięsa, drób hodowlany i dziki, pije wyszukane napoje chłodzące i alkoholowe, je przepyszne ciastka i deserowe lody. W Ameryce nie było salonów literackich i arystokracji, tego wszystkiego, z czym poeta zżył się w Paryżu, ale bieda, niezaradność życiowa, brak przystosowania do nowych warunków były takie same, znane poecie aż za dobrze.

Norwid jako człowiek był bardzo skomplikowaną osobą. Że nie był doskonały – tego nie trzeba pisać, bo nikt z nas nie jest doskonały. Posiadał wiele wad, jak egocentryzm i emocjonalne rozchwianie. Bardzo brutalnie, ostro oceniał innych, np. A. Mickiewicza czy J. Słowackiego, czy rdzenną amerykańską ludność, tzw. czerwonoskórych. Mając taki a nie inny charakter, w młodej Ameryce nie było mu łatwiej niż w starej Europie, gdzie od ponad dziesięciu lat był emigrantem i znał smak chleba na obcej ziemi. Poeta jak większość nowo przybyłych emigrantów zabrali ze sobą wszystkie swoje problemy, zmartwienia, choroby i one towarzyszyły mu na każdym skrawku amerykańskiej rzeczywistości. Amery-



ka miała dać nowe możliwości, dla utalentowanego, ale – jak na Amerykę – niemłodego człowieka miała być miejscem, w którym dorośli i już ukształtowani ludzie rodzą się na nowo. Malarz Norwid nie nadawał się do karczowania lasów, orania ziemi, osuszania błot, siania i koszenia czy stawiania domów. Wielka, wspaniała Ameryka parła na zachód, na tak zwane Równiny Prerii, ciągnące się od granicy z Kanadą aż po granicę z Meksykiem. Każda para rąk była potrzebna, a ziemia czekała na śmiałków. Poeta podejmuje każdą fizyczną pracę i przegrywa, bo nieprzygotowany do ciężkiego wysiłku choruje jeszcze bardziej niż w Europie, słaba psychika też daje znać o sobie.

Pierwsze dni w Ameryce

Autor wiersza *Do obywatela Johna Brown* przyплыł do Nowego Jorku na żaglowcu handlowym Margaret Evans 14 lutego 1853 roku. W tym roku Ameryka rozciągała się już od Atlantyku po Pacyfik i potrzebowała jak najwięcej rąk do pracy i jak najwięcej obywateli, aby zasiedlali tereny odbierane Indianom.

Jak każdy przybysz zza oceanu na pewno przez pierwsze dwa tygodnie odsypiał podróż i prawdopodobnie miał problemy z jedzeniem, chodzeniem i snem, bo zmiana czasu z europejskiego na amerykański miała duży wpływ na jego psychikę. Trudno jest też wyobrazić sobie Norwida jako człowieka zaradnego, który jak większość Polaków po wyładowaniu na ziemi Waszyngtona biegnie do kiosku kupić gazetę z ogłoszeniami o pracę, albo biegnie do polskiego księdza (poeta był człowiekiem bardzo religijnym) – bo ksiądz na emigracji najważniejszy – na Mszę świętą, aby „po kościele” zasięgnąć języka, gdzie tu jest jakaś praca. Nie było Polski i nie było opieki państwa polskiego nad swoimi obywatelami. W czasach Norwida i wiele dekad później jedyńymi polskimi inteligentami – a jeśli to słowo jest „za duże”, to osobami umiętającymi pisać i czytać – których na co dzień spotykały polskie masy chłopstwa, byli księża. Oni nie tylko zaspakajali potrzeby duchowe, ale także dnia codziennego, tzw. pozareligijne.

Norwid opisuje Europę

W kwietniu roku 1853, czyli po dwóch miesiącach pobytu w Nowym Jorku, poeta pisze do swojej powierniczki serca Marii Trębackiej bardzo ciekawy, dramatyczny wiersz-list, któremu nie nadaje tytułu. Nie będziemy go tutaj omawiać ani analizować, warto jednak wspomnieć, że rozpoczyna go wers: „Pierwszy list, co mnie doszedł z Europy...”, który podpowiada czytelnikowi, o czym może być ten utwór. W rzeczywistości Norwid pisze pierwszy list z Ameryki do Europy, a w nim opisuje swoją podróż w dramatycznych słowach: „Dnie były głodu, pragnienia i inne, / Dnie moru, dzieci konały niewinne”. Podaje też powód opuszczenia Europy:

Musiałem rzucić się za ten Ocean,
Nie abym szukał Ameryki – ale
Ażebym nie był tam... O! wierz mi, Pani,
Że dla zabawki nie szuka się grobu
Na półokręgu przeciwległym globu.

Norwid doszedł do wniosku, że po prostu nie znalazł żadnych sojuszników wśród emigrantów zarówno z Polski, jak i z Francji. Wspierającymi go

nie mogli być ani arystokraci, ani literaci. W dziesiątej zwrotce poeta przeczuwa swoje dalsze perypetie po śmierci: „Aż pękło serce jak organ zepsuty. / To – któż wie?... również będzie z grobem moim...”. List kończy najdłuższa zwrotka, trzynasta, w której poeta zwraca się do swoich nieprzyjaciół pozostawionych w Europie:

A wy? O! moi, wy, nieprzyjaciele,
Którzy począwszy od pełności serca
Aż do ziarn piasku pod stopami mymi
Wszystko mi wzięliście, mówiąc: „Nie słyszysz,
Nie wie – nie widzi – nie zna...” Wam ja z góry
Samego siebie ruin mówię tylko,
Że z głębi serca błogostawić chciałbym,
Chciałbym... to tyle mogę... resztę nie ja,
Bo ja tam kończę się, gdzie możność moja.

W zwrotce tej poeta wyraźnie sugeruje, że on, jako człowiek, niewiele może poza pobłogosławieniem tym, którzy mu utrudniają życie, ale tak naprawdę to wszystko jest w rękach Pana Boga, czyli wszystko pozostawia Bożej opatrności, na którą i on sam się zdaje.

Nowy Jork Norwida

Nowy Jork „za czasów Norwida” wyglądał zupełnie inaczej niż dzisiaj, czego nie można powiedzieć o wielu miastach europejskich, które od czasów średniowiecza częściowo zachowały swój wygląd. Miasto przede wszystkim było niskie, nie wynaleziono jeszcze wind ani konstrukcji stalowych, nie było elektryczności ani latarni ulicznych, takich jak w Europie. Nowy Jork był przeludniony, chociaż nie miał nawet miliona mieszkańców. Masowy napływ biedoty niemieckiej był tak wielki, że język niemiecki był drugim językiem miasta. Po ulicach oprócz ludzi chodziły kury, świny i inne zwierzęta. Ulice tonęły w brudzie i nieczystościach, panował też smród. Nieczystości gospodarskie, ludzkie, zwierząt domowych i końskie wraz z moczem „walały się po ulicach”. Bardzo popularne dorożki konne dostarczały tysiące ton nawozu końskiego dziennie. To była pierwsza rzecz, jaka „rzucała się w oczy i nosy” przybyłym, bo miejscowi do tego smrodu i widoku daw-

no już przywykli. Małe drewniane domki często się paliły i straż pożarna zawsze miała ręce pełne roboty. Poza językiem angielskim wszędzie dominował język niemiecki, którym prawdopodobnie więcej mieszkańców mówiło na co dzień niż angielskim.

W takimi mieście i wśród ludzi zwykłych, nieważnych, przeciętnych przyszło żyć poecie. On na pewno uważał siebie za artystę, bo nim był, i przebywanie wśród takich tłumów z całego świata, przecież nie tylko mieszkali tam analfabeci z polskich ziem, było dla poety myślą nieprzyjemną. Poeta był ponad tłumem i ułokował siebie samego na jego peryferiach, co oznaczało po raz kolejny izolację, a tym samym samotność. Trzeba też pamiętać o tym, że i Norwid uległ pewnej „propagandzie złotoustnych naganiaczy”, w podobnym stopniu jak małorolni dziewiętnastowieczni chłopci, którym obiecywano, że przepustką do sukcesu i własnego gospodarstwa jest ciężka praca, której się nie bali, oraz – aby osłodzić podróż przez ocean – opowiadano im, że w Ameryce będą obsługiwani przez czarne małpy pod warunkiem, że pozbędą się swoich baranich kozuchów, sukman, chłopskich ubrań, koszuli i spodni ze zgrzebnego płótna i będą wyglądać jak każdy „normalny człowiek” w Ameryce. Agentom także przeszkadzały polskie nazwiska chłopów, więc ci często zmieniali je na angielskie czy niemieckie, które były łatwiejsze do wypowiedzenia, a także gwarantowały szybsze znalezienie lepszej pracy, bo Słowianie, ogólnie mówiąc, byli traktowani jako ludzie drugiej kategorii.

Norwid i praca

Te piętnaście miesięcy na ziemi Waszyngtona znawcy i badacze twórczości poety nazywają „epizodem amerykańskim Norwida”. Zaledwie nieco ponad rok jak na Amerykę to stanowczo za mało, większość emigrantów dopiero po siedmiu latach osiąga jako taką stabilizację. Ameryka potrzebuje rzemieślników, ludzi z fachem w rękach: cieśli, krawców, murarzy, stolarzy, ślusarzy, młodych i silnych, zdrowych i cierpliwych, umiających znosić upokorzenia. W tym miejscu można się zastanowić nad tym, czy polski szlachcic potrafił fizycznie pracować? Czy poeta nadawał się do pracy fizycznej, czy urodzeni na dworach, tzw. herbowi, potrafili używać rąk do

pracy? Jak podają źródła, na samym początku pobytu poety w Nowym Jorku ten skaleczył się w rękę przy rąbaniu drzewa, tak paskudnie, że nawet wdało się zakażenie. Można chyba stwierdzić, że był nieprzygotowany do tego typu zajęcia, ale umiał malować, rzeźbić, rysować, mógł zarobkować ołówkiem, pędzlem, rylcem i był natchnionym artystą.

Nie nadawał się do dźwigania ciężkich pak w porcie nowojorskim ani czyszczenia butów gości hotelowych, bo był za stary na pracę dla „wyróstków”. Dla współczesnych jest problematyczne myślenie Norwida o pracy, czyli zarabianiu na siebie samego i zaspokajaniu swoich codziennych potrzeb bez względu, czy to praca fizyczna czy umysłowa, najważniejsze, by nie być głodnym i nie prosić innych o jałmużnę. Jeszcze o innej pracy mówił poeta: umysłowej, twórczej i pracy nad sobą samym, swoim wnętrzem w doskonaleniu się, co wcale nie oznacza, że ciężka fizyczna praca nie może być tą pracą, która pomoże nam w samodoskonaleniu.

Dla poety znad Wisły praca to było myślenie o prawdzie, Bogu, chrześcijaństwie, o relacjach człowiek – Bóg, kulturze antycznej. Dla Norwida sztuka była kościołem pracy, rozumiał on pracę jako tworzenie, dzieło myśli, całe dnie spędzał na myśleniu o pracy, a nie pracy w rozumieniu zwykłego człowieka. Na dalszy plan schodzi wysiłek fizyczny, ważniejszy jest spokój ducha, sumienia i umysłu. Gdyby mu płacono za myślenie o pracy, byłby zamożnym człowiekiem, ale niestety tak nie było. Zresztą Norwid miał bardzo specyficzne myślenie o pracy, w zasadzie ją chwalił, twierdził, że jest przeznaczeniem człowieka, wiele pięknych myśli i słów o niej napisał, także napominał Amerykanów, aby nie próbowali się na swojej pracy wzbogacić, bo – według niego – to nie jest już godne człowieka. Ostrzegał też artystów, aby nie dali się manipulować przez tych, co mają pieniądze, mówią im, nawet dyktują, co mają rzeźbić i jak pisać czy malować. Przeciwwstawiał się sile pieniądza, widział w nim moc niszczycielską, ale jak każdy z nas potrzebował z „czegoś żyć”. Chętnie skorzystał z pomocy tych, co się na pracy wzbogacili, pisał listy z prośbami o wsparcie, obrażał się, gdy mu odmawiano lub dawano nie tyle, o ile prosił, gdy nie dzielono się z nim „owocami pracy”, stąd ta Norwi-

dowska złożoność myślenia o pracy. Przez całe życie żył na granicy nędzy i ubóstwa, chociaż – jak zostało już powiedziane – pracę bardzo wysoko sobie cenił i ją podziwiał.

Dzisiaj Nowy Jork jest trudnym miastem do życia, tak jak był sto pięćdziesiąt lat temu; tysiące emigrantów, artystów, niewiedzących, co zrobić ze swoim życiem, z całego świata przybywa do niego tylko z pustymi kieszeniami w jednym celu: poprawić swoje życie, coś w nim zmienić na lepsze, wzbogacić się, osiągnąć sukces, bo w Ameryce jest to łatwiej zrobić niż gdziekolwiek indziej. Te tysiące marzycieli, amatorów bułki z masłem i szynką, jest gotowych na wszystko, na każdą pracę, nawet najpodlejszą, najmniej płatną, która tylko dawałaby szansę przeżyć, nawet skórka chleba jest lepsza niż głód, nawet miejsce w kącie, gdzieś na podłodze obok śpiących pięciu zupełnie obcych sobie osób, jest lepsze niż noc spędzona pod mostem czy w parku pod drzewem. Ameryka dużo daje, ale i wymaga dużo poświęcenia.

Norwida zatrudniono po raz pierwszy w życiu, gdy miał trzydzieści dwa lata. Szczęście mu sprzyjało, bo znalazł pracę jako artysta. Ameryka uśmiecha się do niego, podaje rękę, ale poeta tego nie docenia ani w żaden sposób tego szczęścia nie wykorzysta po zakończeniu pracy. Jak podają źródła, dzięki znajomościom jeszcze z Warszawy i rekomendacjom, otrzymał dobrą posadę rysownika w pracowni graficznej Deoplera, gdzie trwały prace nad albumem Wystawy Światowej. Pracował tam do września 1853 roku. Mówiąc językiem dzisiejszym, trafiła mu się fucha, a po niej jeszcze jedna – pomalował kajutę kapitańską na statku Black Warrior, pływającym pomiędzy Nowym Jorkiem a Hawaną. Dorabiał też jako rzeźbiarz: tworzył płaskorzeźby, wykonał krucyfiks dla jakiegoś amerykańskiego obrotowego rzeźbiarza, który prawdopodobnie wypłacił mu niewielkie honorarium. Zdarzało się, że pracodawca nie płacił – tak robiło i robi wielu, gdy się dowie, że ma do czynienia z nowo przybyłym emigrantem, artystą, poetą, czyli z „ofermą życiową”. Zresztą, oszukiwanie i okradanie nowych emigrantów przez emigrantów z dłuższym stażem jest na porządku dziennym – nic nowego pod słońcem, jak mówi Eklezjasta.

Praca, *work, work, work* to tak samo ważne słowo w Ameryce jak *love and dolar and God We Trust*. Trudno jest powiedzieć, czy poeta był zdolny do jakiegokolwiek pracy fizycznej, czy traktował ją tylko jako pojęcie abstrakcyjne, może karę za grzech pierworodny, nie zaś zajęcie, które jest źródłem dochodów materialnych czy ekonomicznych. Można założyć, że artysta, który podporządkował całe życie swojej twórczości, pracę mógł rozumieć jako drogę duchowego rozwoju i doskonalenia samego siebie, jako przypodobanie się Bogu.

W 1864 roku w arcyciekawym wierszu pt. *Praca*, składającym się z czterech części, z których każda wymaga interpretacji osobno, czego tutaj nie będziemy robić, poeta bardzo wyraźnie mówi o pracy w pierwszej zwrotce:

„Pracować musisz” – głos ogromny woła –
Nie z potem dłoni lub twojego grzbietu
(Iż prac - początek, doprawdy, że nie tu),
Pracować musisz z potem twego czoła!
Bądź sobie, jak tam chcesz? – realnym człkiem:
Nic nie poradzisz!... każde twoje dzieło,
Choćby się z trudów herkulejskich wszczęło,
Niedopełnionem będzie i kalekiem...
Pokąd pojęcia-pracy korzeń jeden
Nie trwa? – dopóty wszystkie tracą zgoła;
Głos grzmi nad tobą: „Postradałeś Eden!”
Grzmi dookoła: „Pracuj! z potem czoła!”

Norwid pisał o pracy twórczej, „z potem czoła”, a nie o pracy fizycznej „w pocie czoła”. Preferował wysiłek umysłowy, myślowy i wyżej go stawiał niż wysiłek fizyczny.

Walt Whitman

Norwid poeta-emigrant nie myśli o tym, aby odłożyć kilkanaście dolarów i wydać wiersze na swój własny koszt, jak to zrobił wielki poeta Ameryki Walt Whitman, urodzony w 1819 roku, który w rok po powrocie Norwida do Europy, czyli w 1855 wydał sławny, skandalizujący tomik *Żdźbła trawy*, którego nawet nie podpisał swoim imieniem i nazwiskiem. Whitman mocno chodził po ziemi i inaczej niż Norwid chwycił się każdej pracy fizycznej, był młody, silny

i z czasem z chłopca na posyłki w drukarni stał się dziennikarzem. Na początku lat 40. XIX wieku pracował jako dziennikarz i krytyk literacko-muzyczno-teatralny dla pisma „The Brooklyn Daily Eagle”. Wiele jego recenzji z tamtego okresu zachowało się. Czytając je dziś, mamy wrażenie, że poeta kochał muzykę, muzyków, śpiewaków, słowem: artystów, ale nie zawsze jego miłość szła w parze z wiedzą na temat muzyki, opery oraz samej techniki śpiewania czy głosu operowego. Jak podaje Robert Strasburg w eseju pt. *Whitman and Music*, Whitman zanim wydał pierwszy tom *Leaves of Grass*, znał już muzykę takich kompozytorów jak: Haendel, Hayden, Mozart, Beethoven, Rossini, Bellini, Donizetti, Verdi, Auber, Meyerbeer, Weber, Mendelssohn i Gounod.

Szkoda, że tak mało wiemy o tym, co przez piętnaście miesięcy pobytu w Ameryce autor wiersza o pracy robił i jak żył. (Poza opisem wycieczek za miasto i spotkaniem z Indianami, których opisał niepochlebnie). Czy często chodził do opery czy teatrów nowojorskich, czy bywał na salonach rodzącej się amerykańskiej burżuazji? Sam poeta o swoich intelektualnych przeżyciach z drugiej strony oceanu niewiele pisze, wspomina, może są mu niemiłe, a może jak zdecydowana większość emigrantów liczył każdego dolara pięć razy, zanim go wydał na rozrywki, a chleb i zacerowanie dziurawej skarpetki były ważniejsze niż kupno biletu do opery. Poza tym niewiele zachowało się obserwacji kulturowych. Jego korespondencja nie zawiera zapisów świadczących o głębszej refleksji nad kulturą amerykańską. Spojrzenie polskiego emigranta z Paryża na Nowy Jork, Amerykę jest bardzo powierzchowne i na pewno ma niewiele wspólnego z głęboką analizą, która pojawi się później w korespondencji Henryka Sienkiewicza.

Norwid wołał Europę, chociaż wielkie światowe sławy były w Nowym Jorku bardzo dobrze znane. Każdy, kto osiągnął znaczący sukces w Londynie, Paryżu, Wiedniu lub Rzymie, był w Nowym Jorku. Norwid wołał Europę, ale tę polską Europę, gdzie krążyła o nim opinia, że jest poetą o miernej wartości, a twórczość jego jest „pełna ciemności i niezrozumiała”. Jego przyjaciele, August Cieszkowski i Zygmunt Krasiński, nie tylko odmówili mu pomocy w opublikowaniu jego twórczości, ale wręcz ostrze-

gają innych, aby tego nie robili. Norwid na pewno o tym nie zapomniał, ale Ameryka stawiała się dla niego z dnia na dzień kulą u nogi, przekonał się, że był nikim, czyli emigrantem, który w każdej minucie swojego życia musiał udowadniać, że na Amerykę zasłużył.

Myśli o powrocie do Europy

Pomimo pierwszych sukcesów na polu zawodowym jako artysta, gdy głód już mu realnie nie zagraża, poeta czuje się w Ameryce źle, cały czas patrzy w stronę Europy, tam wiele się dzieje – po kolejnym zryw, „nieudanej Wiośnie Ludów”, „urodziła się” następna nadzieja na uzyskanie przez Polskę niepodległości, wybuchła tzw. wojna krymska pomiędzy Imperium Rosyjskim a Imperium Otomańskim, które wspierała Francja i Anglia. Warto wspomnieć o fragmencie listu z 1853 roku, który dochował się do naszych czasów. Norwid z Nowego Jorku pisał do Adama Mickiewicza do Paryża, prosząc autora *Pana Tadeusza* o pomoc finansową, by ten użył swoich znajomości i pomógł mu jak najszybciej wrócić do Europy, a nawet do Turcji. Nie wiemy, co Mickiewicz w tej sprawie odpisał Norwidowi, czy w ogóle odpisał, ale jedno jest wiadome, że ten skorzystał z okazji i mówiąc językiem dzisiejszym, znalazł sponsora w osobie księcia Marcellego Lubomirskiego i na okęcie Pacific powrócił do Europy, a wojna krymska, która tak bardzo zaprzętała mu umysł w Ameryce, teraz jakby przestała go interesować.

Powrócił do Paryża, do tych, którzy go upokorzyli. Myśli jego niczym orły krążyły nad głowami prześladowców, po raz kolejny prosił ich o wsparcie, a oni pozbywali się go jałmużną, prosił ich o obiad, a oni rzucali mu „kości do ogryzania”. W listopadzie 1855 roku w Turcji umarł Adam Mickiewicz, kilka miesięcy później Rosja poniosła klęskę, co niestety w żaden sposób nie pomogło ani Polsce, ani polskiej emigracji.

Przez następne trzydzieści lat raz w depresji, raz w melancholii, raz na kacu, a raz głodny, Norwid dźwigał, przestaje dbać o siebie, przestaje się golić i strzyć włosy, w wieku niecałych 60 lat wygląda, jakby miał 90. Żyje w samotności, jest „majsterkowiczem poetyckim” przez nikogo niewspierany, nie-

rozumiany, a przede wszystkim zdany tylko na siebie samego. Zabrakło autorowi wiersza *Moja piosenka* bratniej duszy, kogoś, kto nie tylko by go rozumiał, ale także „pilnował” jego spraw literackich, tzw. agenta literackiego lub marszanda.

Ameryka (i Nowy Jork) zmienia się gwałtownie po zakończeniu wojny domowej w 1865 roku. Robi ogromny skok cywilizacyjny, wyprzedza Europę, staje się szansą dla tych wszystkich, którzy nie boją się swoich porażek i marzeń o sukcesie. Trzeba też pamiętać, że wojna Północy z Południem była nie tylko na karabiny i armaty, szarże kawaleryjskie, ale przede wszystkim była to walka dwóch ekonomii – kapitalistycznej i feudalnej. Maszyny kontra ludzkie mięśnie. Chłopi z Europy Zachodniej już nie tak chętnie chcieli opuszczać swoje przeludnione wioski i płynąć przez ocean do lepszego życia, woleli emigrować do miasta. Powstający przemysł, rozwój nauki, techniki, literatury i sztuki dokonał głębokich przemian, które obejmowały wszystkie dziedziny życia człowieka. Wznoszono liczne fabryki, hale produkcyjne oraz kopalnie.

Nadszedł czas dla rolniczej i coraz to biedniejszej Europy Wschodniej i Południowej. Wcześniej Polaków w Ameryce i Nowym Jorku było bardzo niewiele, dopiero po upadku powstania styczniowego, w dwóch ostatnich dekadach XIX wieku za ocean „ruszyła szeroka rzeka” polskich głodnych marzycieli o ziemi obiecanej. Wówczas to w przeciągu zaledwie jednego pokolenia ziemie polskie opuściły prawie cztery miliony ludzi. Nie dziwi więc fakt, że przytłaczającą część polskich emigrantów tamtego okresu stanowili właśnie małorolni chłopi, którym wszelkie formalności pomagał załatwiać tzw. naciągacze, czyli agenci. Oszukując na wszelkie sposoby, „pomagali” niepiśmiennym przebrnąć przez wstępne formalności najpierw przy kupnie biletu kolejowego do niemieckich portów, a później biletu na statek. Niestety, ta ogromna fala analfabetów bardzo łatwo padała ofiarą oszustów, liczących na naiwność i desperację polskiego chłopca, który wiecznie głodny, o chudych policzkach, zapadniętych oczach, niskiego wzrostu, poruszał się raczej wolno i ogólnie można powiedzieć, że wyglądał apatycznie i nie budził w oczach agentów emigracyjnych ani szacunku, ani respektu. To agenci z „ustami pełnych miodowych

słów” rozwijali przed nimi wizję Stanów Zjednoczonych, jako krainy mlekiem i miodem płynącej i rekrutowali chętnych do pracy. Zresztą tak jest do dzisiaj, młodzi urodzeni pod koniec XX wieku są tak samo naiwni i głupi, bo wierzą, że podróż na Zachód odmieni ich życie. Jednak patrząc na historię Ameryki, trzeba wierzyć w cuda, bo miliony biedaków, zbierani z całego świata dokonali cudów. Nowy Jork stał się handlową, biznesową stolicą świata, a Stany Zjednoczone – najpotężniejszym krajem świata.

Musimy pamiętać, że poeta Cyprian K. Norwid pisał o Ameryce wiele razy przez ostatnie trzydzieści lat swojego życia i jego stosunek do niej był bardzo złożony. Pisał o kilku zupełnie „innych Amerykach”. Ameryce, w której był na początku szóstej dekady XIX w., gdy jego romantyczna i egzotyczna wiedza o niej była pełna tradycyjnych stereotypów popularnych wtedy w Europie Zachodniej. Pisał, gdy zakończyła się wojna secesyjna i to, co zaczęło się dziać w Ameryce, miało ogromne znaczenie dla reszty świata. I pisał o Ameryce, gdy ona pełną parą wkraczała na drogę krwiożerczego kapitalizmu i imperializmu, gdy kupiła od Rosji Alaskę, podbiła Kubę i Filipiny, uzależniała od siebie państwa Ameryki Południowej. Potrafił współczuć afrykańskim niewolnikom w wierszu z roku 1859, pt. *Do obywatela Johna Brown*, czyniąc jego bohaterem człowieka, który walczył o prawa do wolności czarnoskórych obywateli i za tę walkę zapłacił swoim życiem. Sprawa ta zbulwersowała „cały ówczesny świat artystyczny”. Do dzisiaj treść tekstu porusza wszystkich tych, którym jest bliska idea wolności i pokoju, sprawiedliwości i równości społecznej, a obraz Ameryki, jako symbolu wolności, nie powinien być splamiony takimi czynami jak śmierć niewinnego człowieka walczącego o wolność drugiego. Norwid potrafił być też brutalny i nieprzyjaźnie nastawiony do Indian, we wspomnianym już wierszu pt. *Praca* bardzo wyraźnie mówi w trzeciej zwrotce o rdzennych Amerykanach, których tak scharakteryzował:

Widziałem Indian dzikich w Ameryce
I wiem, w ojczyźnie własnej wyszli, na co
Gdy pogardzili rzemiosłem i pracą,
Na łowy jeżdżąc lub malując lice –

Wiersz nie wymaga dogłębnej interpretacji, bo jest zrozumiały, a poeta jasno się wyraża o Indianach, kilka wersów dalej pisze: „Widziałem mężów z piórami na głowie / Noszących tarcze ze skóry żubrowej”.

Zakończenie

W roku 1877 poeta trafił szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dzięki pomocy krewnego, do domu opieki św. Kazimierza. Na dwa lata przed śmiercią, która nastąpiła w marcu 1881 roku, pisał:

Smutno życie porzucić i zamknąć się w sobie.
Żyć czuciem własnym, własnych marzeń przędzą,
Lecz smutniej o wiele być na życia grobie
I ducha skrępować młodości swej nędzą

Jak podają źródła, dwa dni później pochowano go na cmentarzu w Ivry, z pięcioletnim prawem do grobu. 28 listopada 1888 szczątki przeniesiono do Montmorency i pochowano na koszt Michaliny Zaleskiej w „narodowym” grobie zbiorowym nr 42.

Jednak to nie koniec jego pośmiertnej wędrówki: nie wykupiono mimo funduszy miejsca „wieczystego”, lecz jedynie czasowe na piętnaście lat. W konsekwencji w roku 1904 miała miejsce ekshumacja i prze-

niesienie szczątków do jednego z grobów zbiorowych dla „domowników” Hotelu Lambert. W związku z tym ostateczne miejsce pochówku pozostaje nieustalone, zaś uroczystości odbywają się w Montmorency przy grobie z roku 1888.

W 2001 roku ziemię z jego mogiły umieszczono w Krypcie Wieszczów Narodowych w krakowskiej katedrze, prochy jego spoczęły w pomieszczeniu z prochami ludzi, których „niezrozumiały poeta” lubił i cenił, ale wobec których do użycia „ostrej szpilki krytyki” nawet przez moment się nie wahał – dotyczy to przede wszystkim „wielkoluda” Mickiewicza. Wystarczy wspomnieć o trzech listach Norwida z roku 1866 do Ignacego Kraszewskiego, w którym poeta upatrzył sobie „promotora jego twórczości”, a ten nie spełnił jego oczekiwań.

Za swoją niezależność i geniusz poetycki zapłacił najwyższą cenę. Próbował udowodnić, że jest artystą, ale jego historia powinna być przestrożą dla tych wszystkich samotników, którzy nie potrafią funkcjonować w grupie. Złośliwy los umieścił Norwida na dwa pokolenia na marginesie historii, a dopiero trzecie pokolenie w 1971 wydało jego twórczość zebraną.

Chicago 2010, Świdnica 2021



Księżna Dorota i Talleyrandowie. Historia małżeństwa i przyjaźni

Ruiny pałacu w Zatoniu (obecnie dzielnica Zielonej Góry) i otaczający je park stały się ostatnio dla mieszkańców miasta modnym i chętnie odwiedzanym miejscem. Jego niepowtarzalny, urzekający klimat sprawia, że udają się tam organizowane koncerty i spektakle teatralne, nie wspominając o malarskich plenerach czy zwykłych rodzinnych spacerach.



Portret księżnej autorstwa Henryka Krakowiaka

Tę jedyną w swoim rodzaju, przenikniętą nostalgią i romantyzmem atmosferę zawdzięczamy oczywiście najszlachetniejszej właścicielce pałacu w Zatoniu – księżnej Dorocie de Talleyrand-Périgord (1793-1862). To za jej czasów pałac przeżywał okres największej świetności. Dorota przyjechała tu na stałe w 1840 roku, zamykając w ten sposób najbardziej twórczy i intensywny rozdział swojego życia we Francji: małżeństwo, narodziny czwórki dzieci, śmierć dwuletniej córeczki i pewien niezwykle związek z człowiekiem starszym od niej o blisko czterdzieści lat. „Nareszcie jestem u siebie” – zanotowała w swoim dzienniku 13 czerwca 1840 roku¹.

Naszym czytelnikom nie trzeba zapewne przedstawiać sylwetki Doroty, księżniczki kurlandzkiej, córki księcia Piotra II Kurlandzkiego Birona (nieoficjalnie krążyły plotki o tym, że jej ojcem miał być kochanek matki – Aleksander Batowski). Młoda arystokratka odebrała znakomite jak na owe czasy wykształcenie: zgłębiała w szerokim zakresie nauki ścisłe, poznała łacinę i kilka nowożytnych języków obcych, sztukę i politykę. Taka edukacja dałaby mężczyźnie wstęp do wybitnej kariery w rządowych gabinetach Europy. Tymczasem kobiety takie jak Dorota skaza-

¹ Duchesse de Dino, The Project Gutenberg EBook of Memoirs of the Duchesse de Dino v.2/3, 1836-1840 https://www.gutenberg.org/cache/epub/44646/pg44646-images.html#Page_146, dostęp: 13 października 2021. Tłumaczenie własne autorów artykułu.

ne były wyłącznie na funkcjonowanie w sferze prywatnej, domowej. Od tego wyjątków nie było, ale późniejsze życie kurlandzkiej arystokratki pokazało, że potrafiła ona wykorzystać swoje intelektualne możliwości na tyle, na ile pozwalały na to ówczesne tradycje i normy kulturowe.

Jako niespełna piętnastolatka Dorota zakochała się w księciu Adamie Jerzym Czarotoryskim (1770-1861), starszym od niej o blisko ćwierć wieku. Gdy się poznali (w rodzinnych dobrach Bironów w Mitawie – obecnie łotewskiej Jēlgawie), księżę miał już za sobą piastowanie stanowiska ministra spraw zagranicznych Imperium Rosyjskiego oraz posadę adiutanta wielkiego księcia Aleksandra I. „Nic prawie nie mówił z księżniczką, tylko się na nią patrzył. Ona po prostu postanowiła zostać jego żoną”, jak pisał S. Askenazy². Do małżeństwa mocno namawiał księcia Adama jego współpracownik Scypion Piattoli, także wieloletni nauczyciel księżnej Doroty.

Na przeszkodzie stanął przede wszystkim opór matki Adama, księżnej Izabeli Czarotoryskiej. Mierzyła wyżej. Dla niej Dorota była tylko „wnuczką koniuszego” (bowiem dziadek, jako faworyt rosyjskiej carycy Anny, otrzymał z jej rąk tytuł książy). Dlatego Adam, choć dorosły mężczyzna, posłusznie dostosował się do zamiarów matki i dekadę później poślubił (jeszcze młodszą od Doroty!) księżnę Annę Zofię z książąt Sapiehów, z którą miał czworo dzieci.

I wtedy – pod koniec pierwszej dekady XIX wieku – na scenę życia księżnej Doroty wkroczył Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord (1754-1838), były minister spraw zagranicznych Napoleona, wciąż pełniący szaczną funkcję wielkiego szambelana, który akurat szukał odpowiedniej kandydatki na żonę dla swojego bratanka (i spadkobiercy) Edmonda (1787-1872). Trzeba było pociągnąć za niejeden sznurek, aby misja ta zakończyła się powodzeniem – Dorota jako arystokratka i poddana cara Rosji musiała uzyskać jego oficjalną zgodę. Co więcej, „ważne było, żeby wybierając mu [Edmondowi] żonę nie rozbudzić drażliwości Napoleona, który nie chciał pozwolić, by spod jego zazdroznego wpływu wymknęły się losy młodego człowieka noszącego jedno z wielkich nazwisk Francji”, jak zapisał w swoich pamiętnikach Charles-Maurice³.

Mariaż ten wprowadzał Dorotę w najwyższe kręgi francuskiej socjety, o uczuciach jednak nie było mowy. Edmond spełniał wolę stryja, a Dorota wychodziła za mąż posłuszna matce i „na złość Czarotoryskiemu”. Pobrali się w kwietniu 1809 roku we Frankfurcie nad Menem (w tym samym mieście, gdzie lata później stracił życie wielka miłość księżnej Felix Lichnowsky)⁴. W Archiwum Państwowym w Zielonej Górze przechowywany jest jeden z egzemplarzy kontraktu ślubnego narzeczonych, z podpisami państwa młodych i świadków.

„Edmond Talleyrand odebrał swej żonie wszystkie złudzenia”, napisała w swoim dzienniku pani de Staël, przyjaciółka Charlesa-Maurice’a Talleyranda⁵. Mąż, hulaka i utracjusz, nie miał dla żony czasu, nie interesowały go sprawy rodzinne. Przebywając przeważnie poza domem, żył osobno, nie stroniąc od licznych zdrad i skandali towarzyskich. Rodzina musiała też spłacać jego liczne długi. Charakter siedemnastoletniej (w chwili zamążpójścia) Doroty był zupełnie inny: dobrze wychowana, wykształcona i rozsądna młoda dama prowadziła uporządkowany tryb życia. Relacji między małżonkami nie zmieniły również narodziny czwórki dzieci. Małżeństwo rozpadało się stopniowo: rozdział majątkowy, separacja i ostatecznie – rozwód. W międzyczasie okazało się, że Dorota świetnie rozumie się ze stryjem Edmondem. Związek ten, opierający się na wspólnocie zainteresowań, z czasem stawał się bliższy.

Charles-Maurice, starszy od Doroty o blisko czterdzieści lat, w momencie gdy został powinowatym Doroty, był na jednym z wielu etapów swojej politycznej kariery. W młodości zaczynał jednak, za sprawą decyzji

² S. Askenazy, *Szkice i portrety*, Warszawa 1937, s. 272.

³ Ch. Talleyrand, *Pamiętniki (1745-1815)*, przeł. W. Dłuski, Wyd. Puls, Londyn 1994, s. 309.

⁴ Więcej o księżnej Dorocie i Felixie Lichnowskym: J. Kapica-Curzytek, *Felix Lichnowsky i Dorota de Talleyrand-Périgord – historia miłości*, „Pro Libris” 2020, nr 3/4.

⁵ J. P. Majchrzak, *...więcej niż życie, (Dorota de Talleyrand-Périgord i jej czasy)*, Żagań 2004, s. 68.

rodziców, od stanu duchownego. Nie mógł, jak kazała rodzinna tradycja, wstąpić do wojska ze względu na deformację stopy (ostatnie badania wykazały, że była to wada wrodzona). Pobieranie nauk w seminarium w niczym nie ograniczało młodego człowieka, panował tam dość luźny stosunek do zakazów związanych z życiem kapłańskim. Wśród swoich rówieśników Talleyrand miał opinię hulaki i bawidamka, a opowieści o jego miłosnych podbojach były powszechnie znane. Został nawet wydalony z seminarium, ale nie położyło to kresu jego karierze – korzystając z pozycji stryja (jednego z wysokich rangą dostojników kościelnych), otrzymał on probostwo w jednym z kościołów w Reims, a później piął się w górę kościelnej hierarchii.

Stan duchowny nie powstrzymywał Charlesa-Maurice'a przed korzystaniem ze świeckich dobrodziejstw i obracania się w światowym towarzystwie. Wszyscy biografowie Talleyranda zwracają uwagę na jego niepohamowane dążenie do bogacenia się – czy to za pomocą zdobywanych stanowisk (wszak wyższe święcenia były mu potrzebne głównie do tego, by zaangażować się w polityczne kwestie relacji Kościoła i państwa), czy to za pomocą różnego rodzaju interesów i spekulacji, jakie prowadził od lat 80. XVIII wieku.

Krótko przed wybuchem rewolucji francuskiej Charles-Maurice otrzymał nominację na biskupa, co pozwoliło mu wziąć udział w zebraniu Stanów Generalnych. Jako jeden z pierwszych biskupów dołączył do Zgromadzenia Narodowego, a niedługo później został powołany do Komitetu Konstytucyjnego. Talleyrand nie czuł żadnego przywiązania do stanu duchownego: to on zaproponował przejęcie majątków kościelnych przez państwo, bez wahania złożył przysięgę wierności Zgromadzeniu Narodowemu, a następnie... wyświęcił nowych biskupów na miejsce tych, którzy odmówili przysięgi. Doprowadziło to do papieskiej interwencji i ekskomuniki, która jednak nieszczerłynie zmartwiła Talleyranda, bo zajął się on dla odmiany karierą polityczną.

Przebywał w Anglii oraz w Stanach Zjednoczonych. Do ojczyzny powrócił dopiero po ustanowieniu Dyktatoriatu i prędko nawiązał bliskie stosunki z odnoszącym sukcesy młodym generałem Bonapartem. Rok później był biskup i człowiek, którego uważano za „uosobienie zdrady i zepsucia”, został mianowany ministrem spraw zagranicznych. Faktycznego wpływu na ówczesną politykę Talleyrand jednak nie miał. Po kilku latach politycznej aktywności i zdobywania obfitych łapówek od wielu koronowanych głów podbijaanej przez cesarza Napoleona Europy, Talleyrand złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska w 1807 roku.

Ślub Edmonda i Doroty w 1809 roku stał się początkiem tego, co jeden z biografów Charlesa-Maurice'a określił mianem „największego romansu i największej przyjaźni jego [Talleyranda] życia”⁶. Podczas gdy jego bratanek i jego przyszła powiernica zawierali nieszczęśliwe małżeństwo, były minister Francji związał się z matką Doroty, księżną Dorotheą von Medem. Nie miało większego znaczenia, że także on sam był od 1802 roku w związku małżeńskim z Catherine Grand – kobietą, którą powszechnie uważano za niemądrą i chciwą.

Zdystansowanie się od Napoleona po 1809 roku oraz potajemne knowania, mające na celu obalenie cesarza, pozwoliły Talleyrandowi na zbudowanie silnej pozycji wobec mocarstw sprzymierzonych przeciw Francji. W efekcie to właśnie Charles-Maurice został przedstawicielem Bourbonów na kongresie wiedeńskim, mającym zdecydować o przyszłości całej Europy. Tu szczególnie liczyły się umiejętności nawiązywania kontaktów, pozyskiwania sojuszników i wychodzenia zwycięsko z dyplomatycznych zmagających prowadzonych w zaciszach gabinetów. Wybierając się tam, wiedział doskonale, że będzie potrzebował kobiety, która w nowym miejscu stworzy salon z prawdziwego zdarzenia, osoby o wielkiej inteligencji, wyobraźni, przenikliwości, obdarzonej nieodpartym urokiem osobistym. Wybór padł na księżną Dorotę de Talleyrand-Périgord.

Charles-Maurice na początku kongresu z dumą notował w swoich *Pamiętnikach*: „[...] dynastia Burbonów [...] [i] Francja, pięć miesięcy wcześniej podbita, odzyskały już swoją rangę w Europie, odzyskały należny im wpływ na najdonioślejsze rozstrzygnięcia kongresu”⁷. W tym sukcesie miała swój niewątpliwý udział

⁶ R. Harris, *Talleyrand. Zdrajca i zbawca Francji*, Warszawa, s. 176.

⁷ Ch. Talleyrand, dz. cyt., s. 477.

Dorota, pełniąc w Wiedniu obowiązki gospodyni domu. „Jej wspaniałe i radosne usposobienie od czasu do czasu łagodziło powagę politycznych spraw, oficjalnych rozmów”, wspominał austriacki dyplomata Alois de Lagarde⁸. Nie inaczej postrzegał panią de Talleyrand-Périgord dyplomata rosyjski, Charles Pozzo di Borgo: „[...] wywierała wpływ, jeśli nie bezpośredni na decyzje negocjatorów, to przynajmniej na stan ich umysłów”⁹.

Dyplomatyczna praca Charlesa-Maurice’a w Wiedniu na rzecz przywrócenia Burbonom władzy w Neapolu sprawiła, że otrzymał on tytuł księcia Królestwa Obojga Sycylii. W grudniu 1817 ustalono, że oficjalnie Talleyrand będzie nosił miano „duca de Dino”, co odnosiło się do niewielkiej wysepki u wybrzeży Kalabrii. Mógł on dysponować tym tytułem wedle własnego uznania i natychmiast zrzekł się go na rzecz Edmonda i jego żony. Tak oto Dorota została księżną Dino¹⁰.

Sukcesy na arenie międzynarodowej w towarzystwie Charlesa-Maurice’a szły w parze z kłopotliwą sytuacją małżeńską księżnej Doroty. Mimo trojga dzieci, które urodziły się przed kongresem wiedeńskim, jej relacja z mężem, jak wspomnieliśmy wcześniej, była bardzo daleka od szczęśliwej. W Wiedniu Dorota nawiązała romans z młodym austriacko-czeskim arystokratą, hrabią Karlem Clam-Martinitzem (owocem ich związku była córka Marie-Henriette urodzona w 1816 roku). W 1818 roku księżna znalazła się w separacji z Edmondem (choć zostało to oficjalnie ogłoszone dopiero w 1824 roku). Lata 20. XIX wieku księżna Dino spędziła, towarzysząc Talleyrandowi w jego posiadłości w Valençay i podczas jego licznych podróży.

Tymczasem we Francji po obaleniu cesarza Napoleona nastąpiła nowa era polityczna. Powrót Burbonów na tron oznaczał odsunięcie Talleyranda od głównego nurtu polityki i nasilającą się reakcję przeciw zdobywcom rewolucji francuskiej. W 1830 roku doprowadziło to do kolejnego przewrotu: rewolucja lipcowa, znana również jako „trzy dni chwały” („Trois Glorieuses”), obaliła władzę Burbonów i wyniosła na tron Ludwika Filipa. Nowy rząd francuski musiał usilnie zabiegać o międzynarodowe poparcie, szczególnie że wydarzenia we Francji zainspirowały również Belgów do własnej rewolucji. Charles-Maurice został ambasadorem w Anglii, gdzie na konferencji londyńskiej w 1830 roku miał pilnować francuskich interesów i pracować na rzecz pokojowych stosunków z resztą Europy. Także i na tę misję (trwającą cztery lata) zabrał ze sobą księżną Dorotę. Z jej pamiętników wynika nawet, że niejednokrotnie wręcz zastępowała ona Charlesa-Maurice’a w rozmowach z przedstawicielami brytyjskich władz, na przykład podczas jego wyjazdów do Francji. Utrzymywała zażyłe kontakty z członkami rodziny królewskiej, angażowała się w życie towarzyskie i polityczne. „[...] [W] pełni mogłem liczyć na zasoby jej wielkiego umysłu, by zarówno dla mnie samego, jak i dla nas, pozyskać tak ekskluzywne kręgi”, wspominał Ch.-M. Talleyrand, a François Guizot, francuski polityk i późniejszy premier Francji, pisał: „[Dorota] Bardzo wcześnie na dworze [...] miała okazję dowieść taktu, subtelnej świadomości konwenansów, szybkiej, udanej repliki”¹¹. Sama księżna tak podsumowuje pobyt w Londynie: „Cztery lata spędzone w tym kraju ukształtowały mnie na nowo, dając mi motywację i inspirację do poszukiwania nowych idei. Zmieniły też to, w jaki sposób postrzegali mnie inni”¹².

Konferencja londyńska była ostatnim wielkim aktem politycznej i dyplomatycznej aktywności Charlesa-Maurice’a Talleyranda. Po powrocie do Francji ponownie odsunął się od działalności publicznej, choć przez ostatnie lata życia bacznie obserwował wydarzenia w kraju i za granicą. Umierając w swojej posiadłości w Saint-Florentin w maju 1838 roku, zdążył podpisać dokument pojednania z Kościołem i odebrać ostatnie namaszczenie. W tych ostatnich dniach towarzyszyła mu Dorota – powszechnie uznaje się, że to dzięki jej staraniom niechętny religii Talleyrand dokonał na łożu śmierci rozliczenia ze swoją przeszłością i odszedł jako członek Kościoła.

⁸ J. P. Majchrzak, dz. cyt., s. 75.

⁹ Tamże.

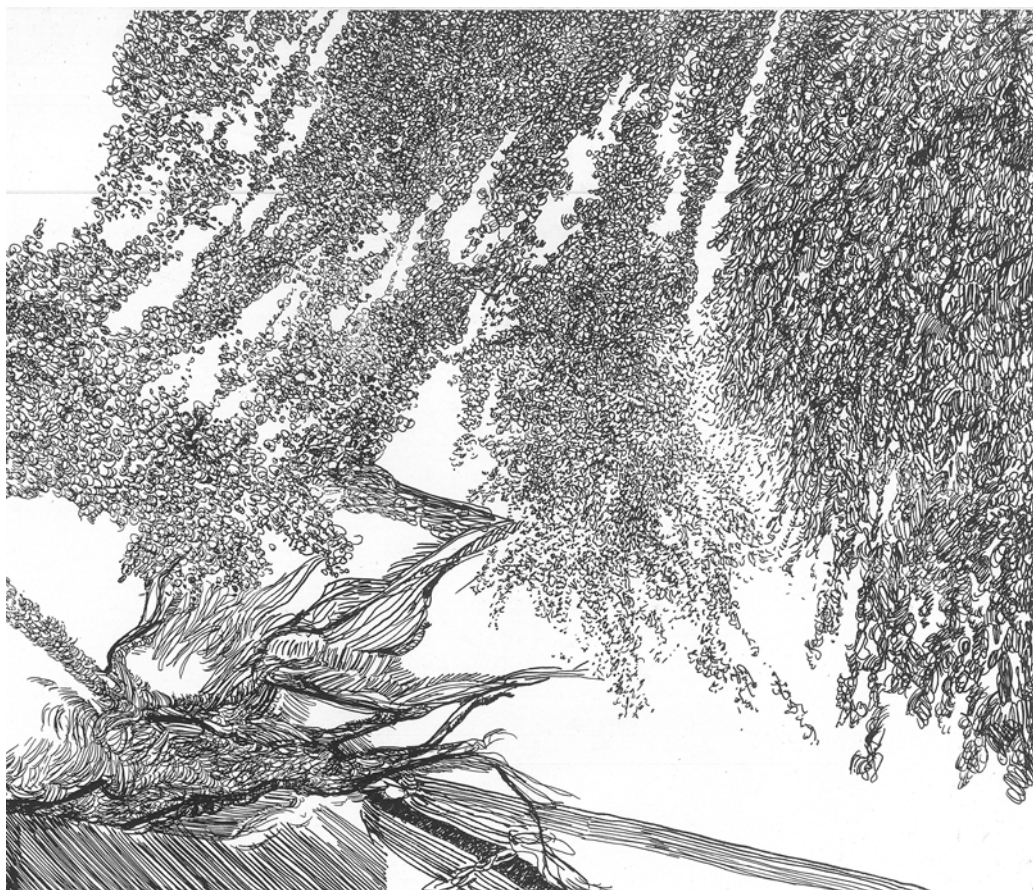
¹⁰ R. Harris, dz. cyt., s. 261-262.

¹¹ J. P. Majchrzak, dz. cyt., s. 78.

¹² Dorothy Duchesse de Dino, *Memoirs of the Duchesse de Dino* v. 1, https://www.gutenberg.org/files/42249/42249-h/42249-h.htm#Page_1, Notatka z dn. 31 grudnia 1834, data dostępu: 13 października 2021. Tłumaczenie własne autorów artykułu.

Historycy czasem zastanawiają się, czy i jakie uczucie naprawdę łączyło Charlesa-Maurice'a i księżną Dorotę. Ze źródeł wynika, że ani wersja o „tylko przyjaźni”, ani o romansie nie może zostać jednoznacznie potwierdzona. Zagłębienie się w te spekulacje mogłoby zresztą tę relację niepotrzebnie strywalizować, a nawet przysłonić dużo bardziej istotny fakt, że łączyło ich oboje silne intelektualne porozumienie, głębokie zaufanie i wzajemna inspiracja do podejmowania aktywności w sferze publicznej. O tym, że dla Charlesa-Maurice'a Dorota była bodaj najważniejszą osobą w jego życiu, mogą świadczyć jego pierwsze słowa zapisane w *Pamiętnikach*: „zaczynam przeto bez tytułu, a także bez dedykacji, bo nie chcę, by ktokolwiek poza księżną Dino czuł się w obowiązku brać mnie w obronę”¹³.

¹³ Ch. Talleyrand, dz. cyt., s. 13.



Urszuli Benki wędrowanie po widzialnym i niewidzialnym

Jakże często dotarcie do celu nie ma takiego znaczenia, co sama droga. Szczególnie, gdy jest przemierzaniem swego wnętrza, schodzeniem w głąb, do najszybszych zakamarków jaźni. Penetrowaniem ich, smakowaniem – i powrotem. „Długo szłam do rodzinnego domu, aż się zmęczyłam na tej mojej drodze”¹... Urszula Benka wyruszyła w swoją podróż kilkadziesiąt lat temu. Może dotarła już do celu, jeśli zawczasu go znała albo poznała w trakcie wędrówki. A może wciąż go poszukuje, cel zaś bezustannie przed nią, to oddalający się, to przybliżający, zmiennokształtny, ogarniający sobą coraz bardziej przestrzeń i świadomość. Kurczący się znienacka, jak w pewnych chwilach kurczy się serce. Nagle i boleśnie. Nagle i w uniesieniu. „Przysiadłam – w myślach pograżyłam, poczułam, że moje serce płonie ogniem”²... Pewnie tak: jej serce płonie, chociaż całkiem innym ogniem niż przed laty. Mniej spalającym, za to bardziej rozjaśniającym i ogrzewającym.

Kiedy poznałam Urszulę, była podobna do nawiedzonej guślarki; jasnowłosa, niebieskooka, czasem mówiła coś i niespodziewanie przerywała. Milkła, uśmiechała się samymi kącikami ust, spod opuszczonych powiek. Mogłaby siedzieć obok Dziwy w chramie Swarożycza, wpatrzona w płomienie, wpatrzona w wodę. Jednak słowiańskiej pogańskości – słowiańskiej pobożności – było w niej zbyt mało. Mamiły ją greckie i rzymskie bóstwa, łagodność tamtejszego powietrza, miękkość minionego czasu. Wędrowała po tym świecie w dół i w górę, wpłatała się w dawne wątki, nasycając je własnym światłem. Nieco egzaltowana, nieco ekscentryczna. Czy porywająca w tym przybraniu? Znosiła je wszakże, zużyła. „Eurydyki w rozpacz, nikt do piekieł nie wstąpił”³... Poszła więc dalej, „po szerokim szukać świecie tego, co jest bardzo blisko”⁴...

Była potem Urszula gotycko-germańska i średniowieczna, karmiąca się czarną mistyką krwi kamiennych ołtarzy. Schodziła po piwnicznych schodach i rusztowaniach szafotów. Płynęła niebieską łodzią z rdzawo-brunatnymi od posoki burtami. Kat, topór i żelazne okowy były jej atrybutami, a gwałt towarzyszył adoracji. Pytała: „Dlaczego każę ci iść tym zaułkiem w samo południe winy, dlaczego tak przemocą cię ciągnę?”⁵. Do kogo się zwracała, od kogo pragnęła odpowiedzi: aby nie od siebie? Kreowała światy mroczne, pełne chłodnych ołtarzy, lamp ledwie jaśniejących, kobiet i mężczyzn, córek gwałconych przez ojców, ojców zabijanych przez synów. „Świątynia jest jak pobożowisko”⁶... Świątynia naszego wnętrza? Świątynia naszej świątyni? Ile tego wszystkiego było z niej samej, z jej jarzącego się mrokiem jestestwa? Ile z szaleństwa, tłącego się w zakamarkach świadomości? A ile tylko i aż peregrynacją po uniwersum widzialnym i niewidzialnym, poznawalnym wyłącznie na dotyk: duszą, raną. Cierpieniem. Realizowaniem w wierszach niespełnionych tęsknot... Obsesji?

¹ Ze starej tatarskiej pieśni Powoźca.

² Tamże.

³ M. Czachorowski, * (*Lirę za włosy orfeje*), [w:] *Pamięć*, Wrocław 2018, s. 32.

⁴ Ze *120 przygód Koziołka Matołka* Kornela Makuszyńskiego.

⁵ U.M. Benka, *Wyznanie winy*, [w:] *tejsze, Perwersyjne dziewczynki*, Warszawa 1984, s. 36.

⁶ Tamże, s. 71.

Po latach ożyła w niej pasja. Czuwała nocą w ogrodzie Getsemani i słuchała słów Nazarejczyka. Przebyła z nim drogę męki i ocierała krwawy pot z jego czoła. Stała przed krzyżem na Golgocie. Była Judaszem, była Weroniką i Magdaleną, była nawet Herodem i Piłatem. Tworzyła stacje ducha, komponowała i kompilowała obrazy, słowa, postaci. Chciała wyartykułować swoje własne widzenie tamtego czasu, przeanalizować je i wypróbować wiarygodność uczuć. Był to kolejny etap – po przebrzmiałym wydawałoby się grecko-rzymskim akordzie, po wyjściu z piwnicznej duchoty średniowiecza – w drodze do rodzinnego domu? Czy jednak jest – lub czym ma być – ten rodzinny dom dla Urszuli, zrozumienia czego (czego?) poszukuje? Na ile jej wiara współdziała z wiedzą: wie i dlatego wierzy, a może wierzy i wiara obdarza ją wiedzą? I w co wierzy, jeśli wierzy – co wie, jeśli wie? Jedno bez drugiego jest niepełne, ułomne. Jedno bez drugiego doprowadza zazwyczaj do tragedii, dobrze, jeśli wyłącznie pojedynczego człowieka. Gorzej, gdy całego społeczeństwa.

Nie jest możliwe dojście dokądkolwiek bez chociażby odrobiny wiary, bez odrobiny wiedzy. Urszula Benka stara się czerpać tę wiarę oraz wiedzę zewsząd. Jedyne ograniczenie stanowią dla niej własne możliwości. Wiara oraz wiedza pozostają w zgodzie z boskim paradygmatem, bowiem Bóg – jedyna wszechobejmująca moc sprawcza – stworzył harmonię wszechrzeczy. Także tę na poziomie podstawowym: harmonię człowieka, ziemi, wody i powietrza. Zatraciwszy zrozumienie tego, wywyższamy się, tworzymy własne iluzoryczne koncepcje, według których próbujemy budować dookolną rzeczywistość. Cóż, siła przyswajania i przetwarzania doznań jest darem, który może stać się przekleństwem, jeśli nie towarzyszy mu odpowiednia doza pokory. Brak takiej siły również jest darem, ale jedynie wtedy, gdy znamy swoje miejsce we wszechświecie i nie próbujemy go naruszyć. I gdy jesteśmy pokorni wobec wielkości, która nas otacza.

Czego w Urszuli Bence, dążącej do własnej równowagi ducha i materii, jest więcej: wiedzy czy wiary? Pokory czy zuchwalstwa, chęci do zmiany rzeczy czy do ich pojmowania? Dokąd „dziwna rozkosz” doprowadziła tę „perwersyjną dziewczynkę, córkę nocy”? Można zastanawiać się, w jakim stopniu wszystkie jej dotychczasowe poszukiwania były efektem chęci doznania nowego stanu świadomości, przyswojenia sobie tego, co dotąd pozostawało nieznanne, a w jakim próbą rozliczenia się z wewnętrznym chaosem, traumami, zmorami. A w jakim wreszcie jedynie (aż) dowodem specyficznej wybujałej wyobraźni autorki. Wydaje się, że Benka wchodzi w różnorodne światy, dotyka je i gładzi, wsłuchuje się w ich brzmienie, coś tam do nich szepcze – i idzie dalej. Już bogatsza, bowiem zna przejście z jednego świata do drugiego. Często jest to świat w świecie, który tkwi w kolejnym. Tajemnica w tajemnicy, a w niej następna. Rozwiązaniem zagadki jest zagadka. Perspektywa bezustannie się powiększa. Wędrówka zdaje się nie mieć końca, chyba że wreszcie uzmysłowimy sobie, że zaczynamy rozmieniać się na drobne, bo zanedbaliśmy się od źródła. Zasłaliśmy tak daleko, tak wysoko, że straciliśmy je z oczu. Straciliśmy z oczu sens poszukiwania. Prawda jest prosta, życie jest proste.

Któregoś dnia rozmawiałem z Urszulą o azjatyckim szamanizmie i stepowym tengryzmie. Mówiła z przejęciem, jak przed laty poprawiając wpadający do oczu niesforny kosmyk włosów. Bez trudu wyobraziłem ją sobie w obrzędowym stroju z rozwianymi na wietrze wstążkami oraz z kościanymi klekotkami i bębenkiem w dłoniach. Zawodziłaby monotonną pieśń bez słów, przerywaną niezrozumiałymi przez nikogo dźwiękami z głębi swej istoty, podskakując przy tym, wymachując rękoma i kołysząc się na boki. Może dotarła aż tu, na szczyt Wielkiej Świętej Góry Burkan Kałdun, pomyślałem. Może chce teraz wkroczyć na Niebiańską Przełęcz, powierzyć się opiece Wiecznie Błękitnego Nieba? Z drugiej zaś strony, ze względu na słowiańskie konotacje, widziałem ją równie dobrze jako zamawiaczkę lub też worożychę, wiedzącą, która urok i rzucić, i odczytać potrafi. Której ludzie potrzebują i której się obawiają. Ile wiary się w tym kryje, ile wiedzy – albo nawiedzenia? Nie wiem...

⁷ *Dziwna rozkosz, Perwersyjne dziewczynki, Córka nocy* – to tytuły niektórych książek poetyckich Urszuli Benki.

Jedno jest pewne: upływ czasu ułagodził Urszulę Benkę, wyprowadził ją z „katowskiej pracowni”⁸, uczynił bardziej swojską – cokolwiek to znaczy – jakby spokojniejszą, pogodzoną ze sobą, z czymś i kimś rozliczoną. Dowodem tego jest jej najnowszy tomik i niechaj ewentualnego czytelnika nie zwiedzie jego tytuł – *Księżyc się pokłócił z jajkiem*. To wcale nie infantylizm, lecz brak zadęcia, najzwyczajniejsze w świecie wskazanie właściwych proporcji oraz miejsc należnych rozmaitym akcesoriom. Wielkie nie przewyższa małego, małe bywa wielkie. *Niebo ulatuje w niebo*⁹, a *Kula ziemską jak boże jajo*¹⁰. Jasne. Tomik zawiera czterdzieści trzy teksty o różnej długości, od dwu do kilkunastowersowych. Gdziekolwiek trafiają się rymy. Słowa toczą się niewymuszonym rytmem, prowadząc nas trochę piekłem, trochę rajem. Trochę sensem, nieco bezsensem. Okazuje się przy tym, że Urszula nadal czerpie z antycznego dziedzictwa, ale już inaczej niż dawniej: znikł dystans, objawiła się dobrodusznna zażyłość. Przygaduje Psyche, przygaduje Orfeuszowi, nie pomija Hermesa i jeszcze tam kogoś. I Dantemu Alighieri wytyka, że „Piekło poznał bez wybaczenia, Niebo bez spełnienia”¹¹. „I ranę sobie za to kupiłeś i zyski księgarskie”¹², docina słynnemu Florentyńczykowi. Żadnych kompleksów, niech się Dante wstydzi.

Pojawiają się „baby zapłakane i dziewczuszki śmieszki”¹³, które w połączeniu z kilkoma innymi elementami nadają wierszom lekki posmak ludowości. Nie dziwi zatem nader poufale *Ej, Jezuniu*¹⁴, *Jezuniu ty niebożę*¹⁵, bo i tak przecież wiejskie babiny do swego Panbóczka, Pan Jezusiczka mówiły. Dodajemy jeszcze do tego tytułowe kłótniwe jajko, toczące się tu i ówdzie, czasem w postaci jajecznicy, która wszystko potrafi zapiekać¹⁶. Pozorna absurdalność jest sposobem zwrócenia uwagi na zawarty w niej przekaz, który mądry zrozumie, a głupi pozostanie głupim. „I w kółko razem // Jajka malowane i niemalowane / Skoczne kropidła i baby zapłakane / I dziewczuszki śmieszki przy śmigusie / I kawałki po Orfeuszu / I pośladki rozspiewane i alleluja / I zdechła w suchym błocie szczeżują / I świnię i księżycę / I śmierć i życie”¹⁷. Powtórzmy: i śmierć, i życie – i śmierć, i życie... Każdemu zarówno...

Urszula Benka doświadczyła życia i doświadczyła umierania. Doświadczyła wiary i doświadczyła wiedzy. Oczyszczyła się i odezwała głosem, jakim mówili wieszczący ze znaków rozmaitych. Co zdołamy z tego zrozumieć?...

⁸ Pojawia się w wielu wierszach zbioru *Perwersyjne dziewczynki*.

⁹ U.M. Benka, *Oj, Dante, [w:] teje, Księżyc się pokłócił z jajkiem*, Wrocław 2020, s. 13.

¹⁰ Tamże, s. 31.

¹¹ Tamże, s. 26.

¹² Tamże, s. 24.

¹³ Tamże, s. 41.

¹⁴ Tamże, s. 16, 17.

¹⁵ Tamże, s. 29.

¹⁶ Tamże, s. 36.

¹⁷ Tamże, s. 41.

Kino bez powrotu

Uboga piosenkarka, choć ze starannie ułożoną fryzurą i nienagannym makijażem, wchodzi do obskurnego saloonu, by przy brutalnych i prymitywnych męskich spojrzeniach śpiewać z tęsknym wzrokiem i w błyszczącym negliżu o zagubionej miłości. Nagle, po salwach braw, do saloonu wchodzi jej wybawca – dopiero co utracony kochanek – siłą wynosi ją z lokalu, sadza na swój wóz, okrywa swoim płaszczem, a na pytanie: „dokąd mnie zabierasz?”, odpowiada stanowczo: „do domu!”. I wyjeżdżają ku horyzontowi, dziewczyna wyrzuca swoje czerwone buty, symbol dawnego życia, a niewielkie miasteczko znika wobec potęgi happy endu. Tak kończy się jeden z piękniejszych, choć być może nieco już zapomnianych westernów, *Rzeka bez powrotu* (1954, O. Preminger) z Marilyn Monroe i Robertem Mitchumem w rolach głównych. I film ten, oglądany od premiery już niemal przez czwarte pokolenie, zaprasza nas do zadumy i westchnienia za kinem, parafrazując tytuł tego obrazu, *bez powrotu* – którego powtórzenie narażałoby nas w dzisiejszych realiach na śmieszność, próby mierzenia się z siłą oddziaływania tamtych filmów byłyby z góry przegrane, a jednocześnie czujemy, nawet jeśli darzymy tamto kino wielkim uczuciem, że jest w nim pewna dziwna osobliwość...

W *Ostatnim seansie filmowym* (1971, P. Bogdanovich), opowiadającym o amerykańskiej prowincji początku lat 50., siła oddziaływania kina w epoce przedinternetowej i przedkomórkowej pokazana jest bodaj najdobitniej i najrzewniej – oto zamknięcie kina w teksańskim miasteczku oznacza niemal koniec tej miejsciny, zaprzestanie funkcji życiowych jej obywateli, a dla młodych mieszkańców jest znakiem, że trzeba stąd wyjechać i zacząć dorosłość gdzie indziej. I taka wizja X muzy wcale nie była przesadzo-

na dla czasów, gdy gwiazda z filmowego afisza była niejednokrotnie autorytetem, obiektem westchnień, a sam film był medium, które jednoczyło społeczność, na które się oczekiwało, a punktem honoru było dostać na nie miejsce, nierzadko oszukując biletera odnośnie swojego wieku, uciekając ze szkoły, czy wślizgując się na salę projekcyjną pod osłoną ciemności, by cichutko usiąść na schodkach. W takich warunkach film sam w sobie albo mógł być już tylko dodatkiem, albo więcej można mu było wybaczyć.

A wybaczać filmom sprzed kilku dekad jest co – dziś pewne sceny, rozwiązania scenariuszowe czy techniczne byłyby po prostu żenujące i infantylne, a dla tamtego kina, tak wtedy, jak i przede wszystkim dziś, stanowią o jego magii. Zaczęliśmy od westernów i słynnej sceny z piękną Marilyn Monroe, która gra ubogą, zszarganą życiem dziewczynę z amerykańskiego półświatka, której nie ma się ani pustynny kurz, ani kropla potu, ani żadna niedoskonałość w ułożeniu fryzury czy makijażu – tak samo jak legendarnemu szeryfowi Willowi Kane'owi granemu przez Gary'ego Coopera w filmie *W samo południe* (1952, F. Zinnemann) ani na chwilę nie plami się, ani nie mnie jego śnieżnobiała koszula. Podobnych przykładów można mnożyć i we współczesnym kinie padłby po prostu zarzut braku realizmu i naturalizmu – wtedy jednak było nie do pomyślenia, żeby największa seksbomba kina śpiewała o miłości w tłustych włosach, a wzór džentelmena ubrać w niewyprasowaną koszulę. Zostawiając już westerny – a przecież nie wspominaliśmy o powtarzającym się banalnym schemacie: dobry, nieskazitelny i nieulegający pokusom szeryf vs zły, występni, a jednocześnie nieporadni bandyci – przejdźmy do innej cechy daw-

nego kina, która dla jednych może być zaletą, dla innych wadą, a dla jeszcze innych – i ja do nich należę – czymś pośrednim, powiedzmy, piękną wadą.

Mowa mianowicie o bajkowości kina, bez względu na to, o czym film by opowiadał. Za przykład niech tu posłuży *Śniadanie u Tiffany'ego* (1961, B. Edwards) – cukierkowa wręcz opowieść o miłości pary młodych, zagubionych bohaterów okraszona niezapomnianą muzyką Henry'ego Manciniego. A w rzeczywistości gorzka historia dziewczyny do towarzystwa, mówiąc inaczej: prostytutki, i początkującego pisarza, który również utrzymuje się z nierządu. I jak wielka jest siła mitologizacji złotej ery kina, skoro zamiast filmu o moralnym zepsuciu i egoistycznej manipulancie, do historii przeszła bajka o ikonie stylu Audrey Hepburn popijającej kawę przed butikiem Tiffany'ego, a potem w uroczej koszuli nocnej nucącej przy otwartym oknie *Moon River*? A przecież ta patetyczność, bajkowość i nie-rearność nie jest powodem, by tamto kino odrzucać, wręcz przeciwnie – gdy dziś podobne filmy okrzyknięto by kiczem, wtedy takich obrazów wyczekiwało, a i teraz nierzadko przymyka się na nie jedno oko, by drugim móc je po prostu podziwiać.

Nie ograniczając się tylko do kina amerykańskiego, wspomnijmy także o europejskich, niezwykle popularnych i w Polsce, produkcjach historycznych (czy może ahistorycznych?): trylogii *Sissi* (1955-57, E. Marischka), serii o *Markizie Angelice* (1964-68, B. Borderie) czy nagrodzonym Złotą Palmą w Cannes filmie płaszcza i szpady *Fanfan Tulipan* (1952, Christian-Jaque). Dziś wydawać by się mogło to nieco zabawne, że przez lata te schematyczne, niedokładne i miejscami operetkowe filmy były prawdziwymi szlagierami tamtych czasów, które wyznaczały nowe trendy, rozpałały publiczność, a nawet kształtowały wyobraźnię historyczną. Po dłuższym zastanowieniu może nie jest to aż tak zabawne? Skąd wiemy, że dzisiejsze kino – nawiązując do słynnego powiedzenia – które dla nas ma piękny zapach młodego wina, za pięćdziesiąt lat nie będzie trącić jedynie zbyt długim leżakowaniem?

Kolejną, może i najbardziej charakterystyczną cechą *kina bez powrotu* jest pewna regularność w ujęciu uczuć, przygód miłosnych czy romansów. Szybkie (zbyt szybkie?) zakochanie się pary głów-

nych bohaterów, wyznanie miłości bez wcześniejszej, można by powiedzieć, gry wstępnej, zostawia widza z pewną wątpliwością: czy w życiu jest tak samo? Czy wystarczy jeden taniec, jedno spotkanie, jedna zaśpiewana piosenka, by wyznać sobie miłość i planować wspólne życie do grobowej deski? Przyjrzyjmy się wielkiemu klasykowi *Dźwięki muzyki* (1965, R. Wise) – choć film trwa trzy godziny, wydaje się, że uczucie między parą głównych bohaterów: niewinną i figlarną Marią a stanowczym i oziębłym baronem von Trappem, wybucha w jednej scenie, a nawet w jednym spojrzeniu, po którym zarówno ona, on, jak i stojąca obok nich kochanka von Trappa wiedzą już, że ich miłość jest nieunikniona. Podobny schemat możemy zaobserwować w równie klasycznym i bajkowym filmie: *Niezapomniany romans* (1957, L. McCarey) z – zgodnie z tytułem – niezapomnianymi rolami Deborah Kerr i Cary'ego Granta. Rodzące się uczucie statecznej damy i eleganckiego playboya podczas rejsu statkiem, następnie pobłogosławienie ich miłości przez jego schorowaną babcię, pół-roczone rozstanie, które wiedzie do szczęśliwego finału – to wszystko jest jakby nie z tego świata, ale nasuwa się też pytanie: a z którego świata to właściwie jest? Bo raczej nie z rzeczywistości targanej zimowojenną podejrzliwością, grą pozorów i obawą przed nuklearnym konfliktem.

Nad tymi wszystkimi niedoskonałościami, jeśli oczywiście dla kogoś są to wady, górują jednakowoż pewne cechy, które w dzisiejszym kinie są już zdecydowanie nie do odtworzenia: autentyczność, klarowna wizja twórców i pełen szacunek do widza. Spójrzmy na największe produkcje tamtych lat: *Ben-Hura* (1959, W. Wyler), *Lamparta* (1963, L. Visconti) czy *Kleopatę* (1963, J.L. Mankiewicz) – nawet po pobieżnym seansie tych filmów widać, że twórcy nie liczą się tam z kosztami, nie idą łatwym, utartym szlakiem, nie korzystają z półśrodków, ale tworzą obrazy, które od początku do końca w sposób szczery, zamierzony i bezkompromisowy podążają za koncepcją reżysera. W epoce sprzed komputerowych efektów specjalnych nie można było przecież zduplikować liczby statystów czy zatuszować braku budżetowe – jeśli więc pokazujemy wjazd Kleopatry do Rzymu, musi to być tryumf godny praw-

dziwego faraona, jeśli ukazujemy wielki dziewiętnastowieczny bal, musi to być bal, na który wybrałby się sam król Wiktor Emanuel II, gdyby wstał z grobu, a jeśli wciągamy widza w morderczy wyścig rydwanów, musi znaleźć się tam prawdziwa krew, prawdziwy pot i najprawdziwsze wyczerpanie bohaterów.

Niejednoznaczność, a jednak w przedziwny sposób pewna harmonia tych wszystkich wad i zalet, tych wszystkich słabości i nienaganności tamtego kina, których w jednym eseju przecież wymienić nie sposób, składa się na wizerunek kina, które, mimo że *bez powrotu*, zawsze będzie do nas powracało...



Kultura czytelnicza – uwarunkowania

Porównanie poziomu czytelnictwa w Polsce i w Czechach

Olga Tokarczuk na pierwszej konferencji prasowej po otrzymaniu Literackiej Nagrody Nobla powiedziała: „Chciałabym, aby Polacy czytali jak Czesi, ale nie mam zbyt wielu oczekiwań. Trzeba mieć kompetencje do czytania, bo chodzi tu nie o ilość, ale o jakość”. Co sprawia, że Polacy są gorszymi czytelnikami niż ich południowi sąsiedzi? Jakich kompetencji im brakuje?

Zanim przejdę do rozważań na temat kompetencji czytelniczych Polaków, należy wyjaśnić, jak rozumiane jest samo pojęcie kultury czytelniczej. Kazimierz Wojciechowski przedstawił w *Encyklopedii oświaty i kultury dorosłych* definicję kultury czytelniczej jako „integralnego zespołu zamiłowań, zainteresowań, nawyków, wiadomości, umiejętności i sprawności czytelniczych, które umożliwiają najkorzystniejszy dla wszechstronnego rozwoju jej osobowości i twórczego funkcjonowania w społeczeństwie – kontakt jednostki ze słowem drukowanym”. Samo pojęcie kultury czytelniczej jest jednak wieloznaczne i złożone, a wielu badaczy podaje własne definicje. W ogólnym rozumieniu należy wyodrębnić poszczególne cechy, które składają się na kulturę czytelniczą danej jednostki. Zalicza się do nich m.in.: dyspozycje motywacyjne (potrzeba czytania, przekonanie o wartości lektury, zamiłowanie do czytania, zainteresowania), zachowania czytelnicze (aktywność czytelnicza, wybory i preferencje czytelnicze oraz procesy recepcji lektury), wiedza, umiejętności i sprawności oraz dyspozycje instrumentalne, czyli kompetencje czytelnicze. Pozostaje odpowiedzieć na pytanie, czym są właściwie te kompetencje.

Dojrzałość czytelnicza a inicjacja literacka

Zanim jednak czytelnik nabędzie danych kompetencji, w wyniku których ukształtuje się w nim kultura czytania, musi nastąpić inicjacja literacka, czyli „zespół działań wychowawczych, uświadomionych oraz spontanicznych, prowadzących do wytworzenia u wychowanka względnie autonomicznej potrzeby korzystania z dóbr kultury – w tym przypadku obcowania z literaturą”¹. Jak można się łatwo domyśleć, następuje to przeważnie we wczesnym dzieciństwie, kiedy to rodzice lub opiekunowie czytają dzieciom bajki na dobranoc. W późniejszym okresie, u dzieci wytworzy się naturalna potrzeba sięgania po książkę – będą już potrafiły ją same przeczytać. Jednak aby nabyć kompetencji czytelniczych, nie wystarczy jedynie sama umiejętność i chęć czytania.

W trakcie rozwoju i nauki młody czytelnik zaczyna nabywać dojrzałości czytelniczej, na którą (poza samą potrzebą czytania) składają się poszczególne części składowe:

- techniczna umiejętność czytania ze zrozumieniem
- umiejętność odczytywania sensów lektury i psychicznego w nie zaangażowania
- umiejętność doboru i selekcja lektury do własnych potrzeb psychicznych

¹ A. Więk, *Kształtowanie kultury czytelniczej: rola biblioteki*, „Biblioteka i Edukacja”. Elektroniczne czasopismo Biblioteki Głównej Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, 10/2016.

- różnicowanie potrzeb czytelniczych
- elastyczność odbioru i skłonność do rozszerzania własnych sprawności

Samo czytanie dużej liczby książek nie oznacza posiadania wyżej wymienionych kompetencji. Powróć do słów Olgi Tokarczyk – „nie chodzi o ilość, ale o jakość”. Nie każdy czytelnik osiągnie pełną dojrzałość czytelniczą, niektórzy zatrzymają się na samej umiejętności rozpoznawania liter i układania ich w słowa. Posiadanie kompetencji jest bowiem zależne od czynników wewnętrznych, czyli indywidualnych cech jednostki, do których zaliczamy: poziom inteligencji, stan zdrowia, typ wyobraźni, doświadczenia osobiste, temperament i wykształcenie. Równie istotne są również czynniki zewnętrzne, kształtowane przez środowisko społeczne. Na czytelników mogą wpływać rówieśnicy i rodzina, znajomości zawodowe, a także instytucje – przedszkole, szkoła, uczelnia; instytucje upowszechniające książki – wydawnictwa, biblioteki, księgarnie – oraz organizacje społeczne czy nawet środki masowego przekazu.

Polacy a Czesi – co nas tak bardzo różni?

W Polsce od kilku lat notuje się trwałe zatrzymanie spadku czytelnictwa, a nawet niewielki wzrost – wynika z badań przeprowadzanych co roku przez Bibliotekę Narodową. W 2019 roku 39% Polaków zadeklarowało przeczytanie co najmniej jednej książki. Dla porównania, w 2008 roku było ich 33%. Nasi rodacy zaczynają więc trochę więcej czytać, lecz wciąż nie jest to zadowalający wynik. Narodem, który w Europie czyta najwięcej, są Czesi. W 2011 roku aż 79%² obywateli Czeskiej Republiki zadeklarowało przeczytanie przy najmniej jednej książki.

Jak już wspomniałam, kompetencje czytelnicze zależą zarówno od czynników wewnętrznych, jak i zewnętrznych, jednak jeśli porównujemy do siebie dwie odrębne narodowości, to w tym przypadku na różnice w poziomie czytelnictwa będą miały przede wszystkim uwarunkowania społeczne. W Polsce przyjęło się przekonanie, że czytanie książek jest „zajęciem elitarnym i kojarzonym z czymś trudnym”³. Gdy Czech myśli „chcę przeczytać książkę”, Polak myśli „muszę przeczytać jakąś książkę”. Polskie społeczeństwo narzuciło sobie presję czytania, a potrzeba i chęć zamieniła się w przymus i coś, co wypada zrobić, zabijając tym samym przyjemność z sięgania po książki.

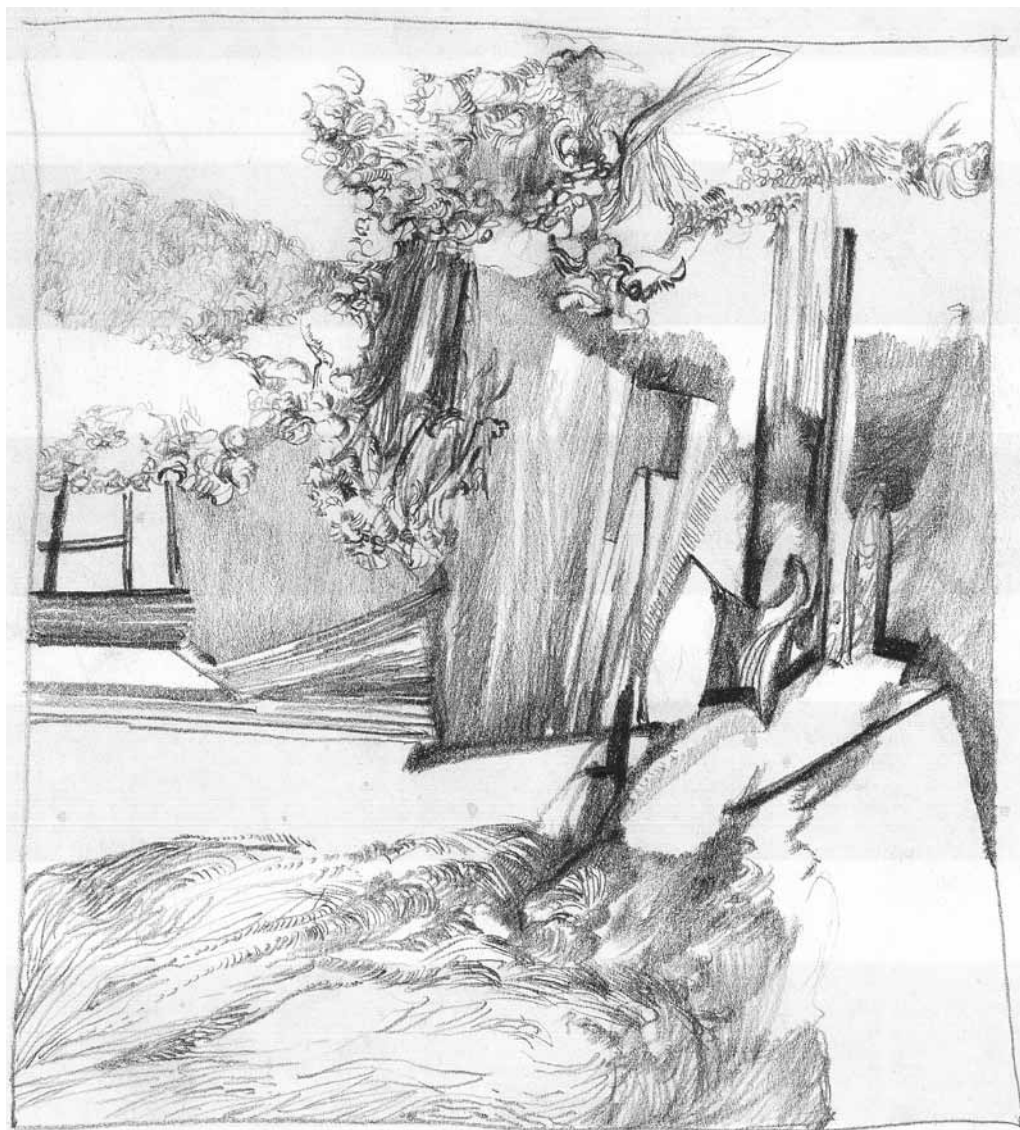
Nie można jednoznacznie stwierdzić, dlaczego Polacy tak niechętnie czytają, ale Anna Dutka – autorka bloga szkicenordyckie.pl – wysnuła pewne podejrzenie. W okresie zaborów, na terenie ówczesnej Galicji, nieczytanie książek było tak powszechne, że każda próba zmiany sytuacji wywoływała oburzenie. Gdy austriacki marszałek Joseph Wencel Radetzky nakazał oficerom czytać książki, od razu posłano donosy do Wiednia, że ów marszałek oszalał. Młody Franciszek Józef, cesarz z dynastii Habsburgów przyznał, że lubi czasem sięgnąć po książkę, zainteresował się także introligatorstwem. Jego matka była tym faktem na tyle przerażona, że zwróciła się z prośbą do spowiednika o interwencję. Pod jego namowami Franciszek już nigdy więcej nie sięgnął po książkę.

Powyższy przykład można uznać jedynie za anegdotkę. Nie można się jednak nie zgodzić z tym, że przykład często idzie z góry. Przyzwyczajenia rodziców odbijają się na zachowaniu dzieci, a w przypadku narodu, zły przykład idzie bezpośrednio od rządzących. Skoro sami politycy stronią od książek, a swoją postawą udowadniają, że liczy się grubość portfela i znajomości, a nie odczytanie i inteligencja, to należy przypuszczać, że obywatele będą podobnie postrzegać rzeczywistość. Czesi swego czasu na prezydenta kraju wybrali właśnie pisarza. Wnioski nasuwają się same.

² https://wyborcza.pl/1,75410,9246691,Jak_czytaja_Czechy.html?disableRedirects=true

³ <https://szkicenordyckie.pl/2015/11/dlaczego-czesi-czytaja-wiecej-od-polakow/>

Kultura czytelnicza jest czymś, co ma swój załazek w najwcześniejszych latach życia człowieka. Aby ją rozwinąć, należy stale pracować nad własnymi kompetencjami i pozyskiwaniem dojrzałości czytelniczej. W Polsce od lat prowadzone są liczne projekty, które mają zwiększyć poziom czytelnictwa wśród różnych grup społecznych. Jest to niewątpliwie potrzebne, ponieważ czytanie książek przynosi same korzyści. Zaczynałam od słów Olgi Tokarczuk, więc na zakończenie również je zacytuję: „Dla ludzkiej psychiki ogromną wartością jest doświadczenie życia oczami innych ludzi. A jak inaczej to zrobić, jak nie poprzez czytanie?”.



Czesław Strawa

Jerzy Szewczyk.

Chciał, by został po nim ślad...

(Pamięć prozą i wierszem utrwalona)

Kilkadziesiąt lat przyjaźniłem się z Jerzym Szewczykiem, rozumieliśmy się doskonale w wielu dziedzinach: oceny przeszłości, podejmowania wysiłków na rzecz służby społeczeństwu, stosunku do roli literatury, a zwłaszcza znaczenia słowa (wyrazu) w pojmowaniu i kształtowaniu szeroko rozumianego języka. Jego odejście odczułem jako bardzo bolesną stratę, nie tylko w wymiarach osobistej zażyłości, ale też mając świadomość, że nagle zabrakło kogoś o niepowtarzalnych walorach twórczych, bogatym dorobku zawodowym, że odszedł znakomity podróżnik-dokumentalista, że nie ma już wśród nas inspirującego poety i wspaniałego Mistrza Słowa, zachwycającego oryginalnością dociekań. Jurek do końca swoich dni, nawet wtedy, gdy już zdawał sobie sprawę z konsekwencji przemijania, nie ustawał w próbach przekazania młodszemu pokoleniu swoich przemysłów. Dowodzą tego jego ostatnie książki, których recenzowanie mi powierzył, tekst przeczytał i zaakceptował. Dlatego nie zmieniłem w nim czasu teraźniejszego na przeszły.



Jerzy Szewczyk, *Nasze wczoraj i dziś*, wyd. MAJUS, Zielona Góra 2017, 156 s.; Irena i Jerzy Szewczyk, *I my tam byliśmy*, wyd. MAJUS, Zielona Góra 2019, 72 s.; Jerzy Szewczyk, *Bez pamięci*, wyd. MAJUS, Zielona Góra 2019, 70 s.

W zielonogórskiej oficynie MAJUS ukazały się trzy książki Jerzego Szewczyka. Przed trzema laty rodzinna saga *Nasze wczoraj i dziś*, a w roku 2019 albumowo-opisowe wydawnictwo *I my tam byliśmy* (współautorstwo Ireny Szewczyk) oraz tomik poezji *Bez pamięci*. Wszystkie pozycje, chociaż należące do różnych form literackich, łączy pamięciowo-wspomnieniowa problematyka.

Nasze wczoraj i dziś, pięknie wydane na wysokiej jakości papierze, uatrakcyjnione licznymi fotografiami, jest wspaniałą lekturą, zwłaszcza dla czytelników z pokolenia autora. W tym sensie jest miłym przypomnieniem – jeśli idzie o większość tekstów – wydanej przed 15 laty pierwszej „wspomnieniówki” *Choć szron na dachu...* (wyd. MAJUS 2001). W poszerzonej biografii poznajemy nowe doświadczenia, wynikające z wielokierunkowości zainteresowań, które były dotychczas w ogóle nieznane lub tylko połowicznie. To nie tylko wspomnienia o sobie i rodzinie, napisane zachęcającym językiem, lecz również ciekawy materiał poznawczy i edukacyjny. Niektóre rozdziały, na przykład te o podróżach, doczekały się odrębnego opracowania po dwóch latach. Skserowane publikacje dotyczące pracy zawodowej autora, czyli szeroko pojętej ochrony praw pracowniczych – w ujęciu krajowym i zagranicznym – potwierdzają jego profesjonalizm. Od najwcześniejszych lat oddany pasji społecznika, wspomina aktywność w czasach szkolnych, przez lata studenckie, a następnie powierzane mu funkcje w różnych stowarzyszeniach i organizacjach, krajowych i międzynarodowych. Zielonogórzanom nazwisko autora od wielu lat kojarzy się z ważnymi inicjatywami społecznymi i kulturalnymi. Z liczego grona osób, przywołanych na 150 stronicach, oprócz współtowarzyszy z okresu wieloletniej pracy zawodowej i społecznej, wyłuskać można co najmniej kilkadziesiąt związanych z organami władzy, z którymi przyszło również autorowi współpracować. Konstatuje: „Dzisiaj, kiedy tych reprezentantów przeszłości już nie ma, sięgnąć będzie można do pisanych źródeł... Chcę, by został po mnie i lu-

dziach mojego pokroju ślad, gdy uschną kwiaty na grobach”. Dlatego Szewczykowe „wczoraj” jest zapisem nie tylko jego bogatego w ważne wydarzenia życia, staje się częścią ogólniejszej historii.

I my tam byliśmy – oczekiwane wspomnienia podróżnicze małżeństwa Ireny i Jerzego Szewczyków są rozbudowaną, opisowo i fotograficznie, ponadpółwieczną faktografią. Jerzy Szewczyk od najwcześniejszych lat snuł marzenia o poznawaniu świata, a ich spełnianiu sprzyjało środowisko, w którym się wychowywał: bliskość kolegów o wrocławskich ciągłotach, korzystający z ulg komunikacyjnych ojciec kolejarz, zaczytywanie się w literaturze podróżniczej. Zaczęło się od coraz częstszych wypadów do różnych miejsc w Polsce, a skończyło na sukcesach przekraczających oczekiwania. Odwiedził dziesiątki krajów na kilku kontynentach – od Skandynawii po Przylądek Dobrej Nadziei, od Kuby po Indie, od Malty po Chiński Mur i Tamę Asuańską. Powodowany patriotycznym obowiązkiem pokłonił się ofiarom obozów koncentracyjnych, polską stopą stanął na polach historycznych bitew, od Arhem po Lenino. Z bliska oglądał piramidy, egipskie i meksykańskie, w najwspanialszych galeriach podziwiał dzieła sztuki. W zależności od możliwości finansowych i sytuacji rodzinnej były to wycieczki indywidualne, z synami, z żoną Ireną. Zawsze dobrze się do nich przygotowywał, zaopatrzeniowo, językowo, geograficznie i historycznie. Wraz z towarzyszącymi osobami przemieszczał się wszelkimi dostępnymi środkami – pieszo, autostopem, koleją, samochodem, drogą morską i lotniczą, nocował – różnie, w przypadkowych miejscach, pod namiotem, w czwórce w „maluchu”, u przyjaciół, wreszcie w hotelach zamawianych przez biura podróży. Jego wojaże zaczęły się w początkach Polski Ludowej, a zakończyły po kilkudziesięciu latach transformacji ustrojowej, w dojrzałym wieku emerytalnym. Oprócz doświadczeń, obfitujących w poważne doznania intelektualne, jak i zabawne przygody, związane z trudami podróży, w książce znajdujemy wyczerpujące opisy historyczno-dzisiejsze zwiedzanych krajów. Książka jest więc nie

tylko wspaniałą pamiątką rodzinną, jest również bogatą skarbnicą wiedzy o krajach bardzo odległych i tych zza miedzy. Fascynacje architekturą i przyrodą, poznanie obyczajów, przyswajanie języka, z dociekaniem etymologii i semantyki obcojęzycznych słów i wyrażań, wyszukiwaniem podobieństw z polszczyzną – oto co zaowocowało nadzwyczajnym dorobkiem dokumentacyjnym. Opanowana doskonale sztuka fotografowania pozwoliła mu utrwalić tysiące unikalnych obrazów – na kliszach, przeźroczeniach i filmach własnej produkcji. Z każdej podróży przywoził mapy, słowniki, oryginalne pamiątkowe wyroby. Najbardziej ceni sobie ludzkie kontakty i przyjaźnie, które zrodziły się daleko od ojczyzny; niektóre z nich trwają do dziś. Jego bogaty dorobek dokumentacyjno-podróżniczy był pokazywany wielokrotnie na wystawach tematycznych w Zielonej Górze oraz w wielu innych miejscowościach, co było znakomitym wkładem w promocję miasta i regionu. W tym kontekście podobne znaczenie mogłaby mieć również omawiana książka, gdyby była szerzej dostępna. Na ostatnich stronicach znajduje czytelnik odautorskie przesłanie dla seniorów i młodzieży, dla najmłodszych we własnej rodzinie i wszystkich, którzy wchodzi na drogę życia: „Bądźcie dumni, ale nie pyszałkowaci, dokładni, ale nie drobiazgowi, wrażliwi, ale nie rozczulający, silni swoim posłannictwem, ale nie apodyktyczni, zdecydowani, ale nie arogancy. Stąpajcie twardo po ziemi, ale z podniesioną głową. Niech was ogarnia pasja aż po krańce sił. Niech przyjaźnie wasze trwają nim przestanie płynąć rzeka życia. Uczcie się języków obcych, by świat stał przed wami otworem”.

Książkę małżeństwa Ireny i Jerzego Szewczyków czyta się jak opowieść przygodowo-poznawczą. Do lektury zachęca także profesjonalizm edytorski, przejrzystość druku, czytelny przekaz fotografii. Kolejny raz utwierdzamy się w przekonaniu, jak bardzo autorzy troszczą się o pamięć, którą może zatrzeć upływający czas. I jak bardzo chcieliby, aby jak najwięcej z ich doświadczeń zostało utrwalonych dla przyszłych pokoleń. „Działalność turystyczna i wiedza stąd zdobyta – piszą skromnie – pomogła nam przekazywać wiedzę o współczesnym świecie dalej”.

„Choć szron na głowie, ale to nie znaczy, że w piecu się nie pali” – zapewnienie Jerzego Szewczyka znaj-

duje potwierdzenie w wydanym w roku 2019, pod patronatem macierzystego Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, tomiku poezji *Bez pamięci*. Tytuł nie jest jednoznaczny, pozornie przeczy zawartości wnętrza. Chyba nie idzie jednak autorowi o pamięć, która wiązałaby się z wykluczeniem, rezygnacją z niej zwłaszcza u niego wydaje się nieprawdopodobna. Bowiem to już czwarty „pamięciowy” tytuł, wcześniejsze to: *Przyszłość karmi się pamięcią* (2013), *Pamięć nie wyстарczy* (2014), *Miedzy pamięcią a zapomnieniem* (2017). Do tego dochodzi opracowanie prozą *Przeszłość karmi nas pamięcią* (2012). Autor doskonale wie, że pamięć w pisarstwie jest źródłem, inicjacją, motywacją i pełnymi garściami czerpie z jej zasobów.

Tomik zawiera 48 utworów z lat 2011-2019, najwięcej z roku 2018 (20), jest więc prawie w połowie zbiorem wierszy wcześniej publikowanych. Rozsiew czasowy sprawia wrażenie nieuporządkowania. Jednak nawet w zawężonej analizie treści wybranych utworów – odniesienie do wszystkich jest niemożliwe z braku miejsca – można wyróżnić pewne grupy zbliżone tematycznie, np. teksty poświęcone Zielonej Górze, rodzinnemu Łaskowi czy te o charakterze życzeniowym, kierowane imiennie do osób bliskich autorowi. Jest to poezja dość trudna w przyswajaniu, nie jest zwykłą narracją o sobie, otoczeniu, przyrodzie, świecie bliskich mu osób. Język przesycony metaforami, dekoracyjne słowotwórstwo utrudniają zajątrzenie za wrota wyobraźni, którą chciałoby się w jakimś stopniu urealnić. Z drugiej strony, zgodzić się trzeba z tym, że język poetycki nie jest, przeważnie, uwierszowaną prozą, jako żywa materia różni się od codziennego i nie mieści się w ścisłych normach. Tak więc niezwykajna definiowalność pojęć, głębokie refleksje i niebosięzne wizje dla wielu odbiorców mogą być zaporą w zrozumieniu sensu. W gęszczu myśli łatwo zgubić drogę, zwłaszcza przy bogatej liturgii wyrazów. W tym kontekście bezspornymi wyjątkami są opis zdarzenia drogowego (w *Szanujemy jelenia*) oraz zamykający tomik *Los z memento: śmierć dopada wszystkich*.

Wiersz wprowadzający *Wigilijna noc książek* nawiązuje do najważniejszych zainteresowań autora, jakimi od dzieciństwa są książki. Sąsiedztwo różnorodnych autorów w nieładzie oczekuje na „dialog

z duchem autora". Piszącemu te słowa najpiękniejszym wydaje się wiersz następny – *Moje zwątpienia*. Wiadomo – wątplenie jest drugą stroną istnienia. Jestestwo bez pewności – autor przekonuje, że taki stan objawia się męczarnią ducha, brakiem wiary w skuteczność samosprawstwa. Tylko „siła wspomnień” jest zdolna jeśli nie pokonać, to złagodzić te słabości, to ona pozwala „wytrwać sercu” w ciszy, która nie jest milczeniem, bo niesie nadzieję na kolejny zew pióra.

Specyficzny styl nakazuje, aby do każdego utworu podchodzić z innej perspektywy, bo wymiesza nie tematycznie i czasowe – przeszłość, teraźniejszość, przyszłość – ma swój urok, zachęca, aby się bliżej przyrzeć także historii ich powstawania i znaczeniu, jakie im autor przypisuje. Ułatwiają to daty i miejsca powstania utworu. Dlatego wędrownica po wewnątrz tomiku jest zarazem podróżą biograficzną. Najstarszym wierszem (2011) jest życzeniowy tytuł *Nowożeńcom*, napisany w Kargowej, mieście auto-

rowi bliskim rodzinie, ostatni, *Pamięci poety*, pochodzi z listopada 2018 i jest pośmiertną dedykacją. W *Wernisazu*, poświęconym artystce Zosi, dopatruję się akcentów odautorskiej laudacji. Noworoczne życzenia w *Szanownych Rodakach* kończą się troskliwym apelem o naprawę świata, czemu, być może, mogłoby służyć rozstrzygnięcie dylematu, co ważniejsze: nadmiar jednomyślności czy brak jedności. Społecznik zielonogórczanin nie mógł pominąć swojego przywiązania do miasta, w którym od dziesięcioleci mieszka, tworzy, pobudza społeczną aktywność ciekawymi inicjatywami, gdzie najpełniej może realizować swoją misję. W wierszach: *Wieczór w Zielonej Górze*, *Palmiarnia*, *Mojemu miastu* opisuje miejsca i wydarzenia, obok których nie mógł przejść obojętnie, wyraża zachwyt miejskim pejzażem, podziwia pomniki przyrody, wspomina osobistości; domyślnie zielonogórskie wątki dostrzec można także w utworach o innych tytułach. Kto poznał chociaż w części wcześniejszą twórczość J. Szewczyka, tego nie dziwi



przywołanie ponownie najczulszymi wspomnieniami rodzinnego miasta w wierszach *Mój Łask i Ziemia Łaska*. Każdy łaski wers żyje trwale w jego pamięci, jest westchnieniem i natchnieniem, a także oddaniem hołdu „ziemi posiwiłej tragiczną historią”, jest nieustającą tęsknotą za „czasami, do których już nigdy nie wróci”. Czułe wspomina tamte czasy, między innymi, w wierszu *Do Marii*, w którym przywołuje dobre i złe chwile w życiu bliskiej osoby (prawdopodobnie idzie o siostrę). W innym napisanym w tym mieście tekście (*Na jubileusz M i K*) podkreśla trwałość małżeńskiej miłości, która oparła się pokusom rozłąki i przez trzydzieści lat przyczynia się do „rozpalania ogniska edukacji”. W pamięci autora ciągle żywe są synowskie uczucia miłości, szacunku i wdzięczności dla Rodziców. Składa im hołd w wierszach *Pamięci Rodziców i Nad mogiłą Matki*. Mamie dziękuje za „pierwsze słowa w języku ojczystym” i za „wiersze ze łzami cytowane”, obojgu Rodzicom za ukształtowaną w nim wierność Ojczyźnie.

Można w prezentowanym tomiku dostrzec inne interesujące wątki. Wielotematyczność oddaje bogactwo doświadczeń, otwiera szeroką ofertę emocjonalną. Nie brak u Szewczyka ukłonów pod adresem twórców z innych dziedzin, na przykład malarzy („świat malowany wierszem”), „miłość” jest odmienniana w różnych barwach i tonacjach, bardzo czule pisze o przyrodzie, sosna, lipa i świerk są hołubione. Żywe pozostają jego związki z kulturą starożytną: *Grecja żyje w moim jestestwie*. W czterozwrotkowcu *Do przyjaciół Greków* zamiłowanie do kultury hellenistycznej łączy z apelem o kreatywne zachowanie jej dla współczesnej cywilizacji.

Myśli ostrożne w 40 odsłonach to zbiór fraszek, satyrycznych sentencji o zabarwieniu obyczajowym, ale przede wszystkim dominują w nim „złote myśli” wywiedzione z wieloletnich obserwacji codziennego życia, dowodzące wnikliwej spostrzegawczości, podane w atrakcyjnej oprawie frazeologicznej. Myśli nie

tylko ostrożne, również: ostrzegawcze, prześmiewcze, pouczające, dowcipne, humorystyczne. Mądre.

Dwudziestosześciopojęciowy *Nowy słownik* z końcowej części wydawnictwa jest powtórką z wcześniejszych wydań – pierwsze z *Między chmurą a kałużą* (2008). Podtrzymując powinność docieklivego językoznawcy, autor kreśli nowe znaczenia terminów, wydawałoby się, jednoznacznie rozumianych. Zyskuje przez to czytelników, którzy lubią pobawić się mądrą rozrywką. Zauroczenia językami nie można ograniczać do rozbrajania pojęć, przyodziewania ich w nowe znaczenia. W ślad za wcześniejszymi wydawnictwami, omawianym tomikiem potwierdza również uzdolnienia poliglotyczne. Okazuje się, że nie musi być wyłącznie poetą jednojęzycznym (*Cumpleanos veinte de Jola*), swobodnie porusza się także w innych językach: hiszpańskim, niemieckim, angielskim, rosyjskim, czeskim.

Poznając prezentowane pozycje, utwierdzamy się w przekonaniu, że J. Szewczyk nadal dysponuje dużym zasobem pomysłów. Potrafi pięknie opisywać prozą ludzką codzienność, pobudzać do refleksji, nie tylko wspomnieniowej, ale też, posługując się wytworną poetyką, umiejętnie kieruje naszą wyobraźnię ku duchowym wzniosłościom. W przyjętym sposobie komunikowania się z czytelnikiem poszukuje znaczeń istotnych dla wywołania oczekiwanej reakcji uczuciowo-wyobrażeniowej. Swoim przesłaniem uczy nas postrzegać świat i ludzkie życie w całej jaskrawości – „w cieniu słońca”, „w blasku nagrobnych świec”. Niczym mędrzec proroczo ostrzega: „Dzień gasi nadzieję. Mrok jeszcze nie wie, że wnet zadnieje”.

Autor zęga czytelnika kpina i humorem, zapraszając do następnego spotkania z jego wyśmienitym piórem. Wierzę, że tak się stanie niebawem.

Zielona Góra 2020

Prezentacje

Henryk Krakowiak

Artysta plastyk, twórca i animator kultury, malarz, rysownik, rzeźbiarz, autor ceramiki i instalacji. Urodził się w Bydgoszczy w roku 1941. W latach 1961-1967 studiował malarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku, specjalizując się jednocześnie w zakresie ceramiki i pedagogiki. Dyplom uzyskał w 1967 roku u prof. Krystyny Studnickiej, prof. Hanny Żuławskiej i prof. Witolda Frydrycha. Karierę zawodową rozpoczął tuż po studiach w domu kultury we Wschowie. Następnie przez dziewięć lat był plastykiem w Słubicach, po czym osiedlił się w gminie Świdnica, gdzie mieszka i tworzy do dziś.

Obecnie jest animatorem kultury w Gminnym Ośrodku Kultury w Świdnicy. Jego działalność animacyjna polega na prowadzeniu zajęć artystycznych oraz edukacji malarskiej i ceramicznej. Prowadzi profesjonalne warsztaty malarskie dla grupy Astra ze Świdnicy oraz zajęcia ceramiczne dla wszystkich grup wiekowych. Jest projektantem i konsultantem przy tworzeniu dekoracji, artystycznych form przestrzennych oraz materiałów promocyjnych w gminie Świdnica.

Henryk Krakowiak to twórca ważnych dzieł malarskich, które prezentowane były na wielu wystawach w kraju i Europie. Jego obrazy znajdują się w publicznych zbiorach, np. w Muzeum Ziemi Lubuskiej oraz w prywatnych kolekcjach w Polsce, Niemczech, Francji, Belgii, Wielkiej Brytanii, Szwecji, Kanadzie, Włoszech i USA.

Oprócz obrazów tworzy także projekty scenograficzne imprez, mozaiki czy też rzeźby i instalacje plenerowe. Sztuka użytkowa jest dopełnieniem jego pasji malarskiej. Najśłynniejsza i podziwiana instalacja wykonana przez Krakowiaka to aranżacja Zboru w Letnicy na koncert Chrise Jaggera. W swoim dorobku artystycznym posiada również wielkoformatowe mozaiki, które ozdabiają znane miejsca w Polsce i lokalne budynki. Jego najbardziej rozpoznawalne dzieła to: mozaika ukazująca Gagarina na Uniwersytecie Zielonogórskim, którą współtworzył z Witoldem Cichaczem – autorem projektu, mozaika – Ojciec Pio wykonana dla Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, mozaika „Słońce” na ścianie budynku w Letnicy, fontanna ukazująca podwodny świat w Letnicy, mozaika z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości w Świdnicy, mozaika w kaplicy cmentarnej w Świdnicy ukazująca Jezusa Chrystusa.

Artysta jest Honorowym Obywatel Gminy Świdnica, laureatem wielu prestiżowych nagród, m.in. kilkakrotnie przyznano mu Nagrodę Kulturalną Gminy Świdnica, Prezydenta Zielonej Góry, Marszałka Województwa Lubuskiego oraz Wojewody Lubuskiego. Od 1967 roku jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków Okręg Zielonogórski.



Na swoim koncie ma wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych. Jego obrazy i ceramikę można było zobaczyć nie tylko na lokalnych wernisażach, ale również w polskich i europejskich galeriach, m.in. w Cottbus, Londynie, Norymberdze, Frankfurcie nad Odrą.

Ważniejsze wystawy indywidualne i zbiorowe:

- 1962 Bydgoszcz, Wystawa Młodej Plastyki Bydgoskiej
- 1969 Zielona Góra, Wystawa Plastyki Okręgu ZPAP
- 1970 Sopot, Ogólnopolska Wystawa Młodych (malarstwo, rzeźba, grafika)
w ramach 23. Festiwalu Sztuk Plastycznych
- 1970 Zielona Góra, Wystawa Plastyki ZPAP
- 1970 Zielona Góra, udział w Plenerze Ogólnopolskim *Łagów-70* oraz wystawa poplenerowa
- 1971 Bydgoszcz, wystawa indywidualna
- 1971 Zielona Góra i Gorzów Wielkopolski, wystawa indywidualna
- 1972 Rzeszów, Młoda Plastyka Lubuska
- 1972 Gdańsk, wystawa malarstwa
- 1972 Frankfurt nad Odrą, wystawa zbiorowa
- 1972 Zielona Góra, Salon Jesienny
- 1973 Priština, Plastyka Lubuska
- 1973 Zielona Góra, *Złote Grono*
- 1973 Kołobrzeg, Wystawa Plastyki Ludowej
- 1974 Zielona Góra, *Ziemia Lubuska – Człowiek – Praca*
- 1974 Zielona Góra, *20 lat ZPAP*
- 1975 Bydgoszcz, wystawa zbiorowa
- 1978 Cottbus, udział w Międzynarodowym Plenerze *Energie – Pleinair*
oraz wystawa poplenerowa
- 1983 Londyn, wystawa w Królewskiej Lidze Zamorskiej *Art Exhibition*
- 1984 Zielona Góra, wystawa indywidualna w Galerii PSP
- 1984 Zielona Góra, *Impresje – Propozycje*
- 1986 Cottbus, wystawa zbiorowa
- 1987 Zielona Góra, Salon Jesienny
- 1988 Witebsk, wystawa zbiorowa
- 1988 Zielona Góra, wystawa indywidualna w WSP
- 1988 Berlin, wystawa indywidualna
- 1989 Hamburg, Malarstwo Polskie
- 1989 Zielona Góra, wystawa indywidualna w Galerii PSP
- 1989 Zielona Góra, udział w plenerze oraz wystawa poplenerowa
- 1990 Łagów Lubuski
- 1991 Norymberga, wystawa zbiorowa
- 1992 Słubice, wystawa indywidualna
- 1997 Norymberga, wystawa indywidualna
- 1999 Norymberga, wystawa indywidualna
- 2000 Zielona Góra, *Sztuka a wnętrze*
- 2000 Świdnica, wystawa indywidualna
- 2000 Swarzędz, wystawa indywidualna

- 2001 Gdańsk, 1. Ogólnopolskie Biennale Malarstwa i Tkaniny Unikatowej
- 2001 Zielona Góra, Salon Jesienny
- 2001 Trójmiasto, 1. Ogólnopolskie Biennale Malarstwa i Tkaniny Unikatowej
- 2002 Zielona Góra, *90 lat ZPAP*
- 2003 Zielona Góra, wystawa indywidualna
- 2004 Gorzów Wielkopolski, wystawa indywidualna
- 2004 Zielona Góra, wystawa zbiorowa
- 2004 Muzeum Ziemi Lubuskiej, wystawa *Malarstwo abstrakcyjne*
- 2004 Letnica, udział w polsko-niemieckim plenerze oraz wystawa poplenerowa
- 2007 Zielona Góra, wystawa indywidualna
- 2007 Świdnica k. Zielonej Góry, wystawa indywidualna
- 2009 Zielona Góra, wystawa zbiorowa
- 2011 Zielona Góra, *70 lat Plastyki Lubuskiej*
- 2017 Świdnica k. Zielonej Góry, wystawa w Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza, *Uczniowie i Krakowiak z okazji 40-lecia pracy twórczej*
- 2017 Zielona Góra, PGNiG, wystawa *Mistrz i uczeń*
- 2018 Sopot, wystawa zbiorowa *Czerwone Maki*, Państwowa Galeria Sztuki
- 2020 Cottbus, wystawa zbiorowa *Diesekraftwerk*, Muzeum Sztuki Współczesnej
- 2021 wystawa online *Poszukiwania artystyczne w technice akrylowej*
- 2021 Zielona Góra, wystawa *Henryk Krakowiak. Malarstwo, rysunek, ceramika*, WiMBP im. Cypriana Norwida



Henryk Krakowiak. Malarstwo

Wystawa obrazów i rysunków Henryka Krakowiaka w Muzeum Ziemi Lubuskiej i gorzowskim BWA wiąże się z jubileuszem pracy twórczej malarza. To właściwy moment, aby podzielić się garścią refleksji na temat jego bogatego artystycznego dorobku. Krakowiak, pomimo długiej drogi, jaką ma za sobą, pozostaje twórcą nie do końca rozpoznanym i docenionym. Myślę, że w pewnym sensie jest to konsekwencja życiowych wyborów. Artysta od 1978 roku mieszka samotnie, na uboczu, w podzielonogórskiej Letnicy. Barokowy pałac, który wybrał na swoją siedzibę, posiada urokliwy charakter, ale przecież daleko mu do dawnej świetności. Egzystuje więc w یشie spartańskich, choć niewątpliwie malowniczych warunkach – pośród farb, pędzli, blejtramów, w natłoku szkiców i rozpoczętych obrazów. Lubię „pobyć” w tej wyjątkowo zagęszczonej pracowni – głównie za sprawą osobowości gospodarza jest ona miejscem o magicznej atmosferze. Składa się na nią również zapach dymu z kominka oraz wszechobecna wilgoć. Razem tworzą specyficzną „eteryczną” otulinę ogarniającą każdego przybysza. Podziwiam Henryka, który tu cierpliwie, z pokorą wypełnia malarstwem swoje życie – bez cierpiętniczey pozy, narzekań, znajdując czas na pracę społeczną.

Nie obchodzą go przemijające mody, kierunki i trendy współczesnej sztuki. Pozostaje w sferze klasycznych, ponadczasowych tematów. Maluje pejzaże, wnętrza z postaciami, martwe natury. Wynikają one z wnikliwej obserwacji otaczającego świata – z całym bogactwem kształtów, barw, z jasnością i mrokiem. Natura zawsze była dla niego źródłem inspiracji, wzorcem wyobraźni. Nigdy jednak nie stara się jej kopiować lub w sposób naturalistyczny opisywać. Programowo unika anegdoty i symbolicznych treści. Podpatrzony motyw jest jedynie pretekstem do zrealizowania malarskiej kompozycji. Funkcjonuje ona jako odrębna wrażeniowa rzeczywistość, zawieszona pomiędzy abstrakcją a figuracją.

Najważniejszy dla Krakowiaka jest obraz – jego budowa, powierzchnia i przede wszystkim kolor. Malarz w zależności od nastroju i rodzaju przedstawienia zmienia tonację barwne swoich prac. Czasem są one bardzo subtelne i delikatne, a niekiedy znów mocne, polegające na zestawieniach kontrastowych, np. fioleto-żółtych, indygo-amarantowych, zielonych-czerwonych. Ta swoistego rodzaju „gimnastyka” malarska niesie w sobie szereg trudności, zmierzających w stronę znalezienia wspólnego światła, łączącego odmienne kolory w optyczną całość. Światło jest tu czynnikiem modelującym, nadającym efekty przestrzenności. Swoje wrażenia notuje bardzo ekspresyjnie. Określa formę szerokim gestem, zmieniając dukt pędzla. Różnicuje faktury. Od gładkich – matowych i błyszczących, po wyraźnie zaznaczone – chropowate. Możliwość „reżyserowania” obrazu od początku do końca dostarcza mu wiele satysfakcji. I chociaż kolejne, nakładane na siebie warstwy farb kryją chwile twórczej wątpliwości, to i tak jest to czynność na tyle ekscytująca, że ponownie, z radością sięga po czystą kartkę papieru względnie zagruntowane płótno. Format nie jest istotny. Bardzo chętnie tworzy zarówno kameralne miniatury, jak i wielkoformatowe prace. Zmienia techniki. Z równą swobodą posługuje się gwaszem, temperą, tłustymi pastelami, farbami olejnymi lub akrylami. Przed laty zrealizował w Ślubicach monumentalne kompozycje na ścianach nowych bloków. Nigdy nie traktował tego typu zleceń wyłącznie jako źródła dodatkowych dochodów, ale jako artystyczne wyzwanie, mające na celu stworzenie gigantycznych obrazów. Prace Krakowiaka odwołują się w znacznym stopniu do tradycji polskiego malarstwa. Jest on chyba jednym z nielicznych współczesnych artystów tworzących

malarskie nokturny. To obrazy skomponowane w niskiej skali barwnej, stonowane, z mocniejszymi akcentami światła wydobywającymi z mroku pejzaż. Podobne w założeniu nastrojowe płótna ukazujące oblicza nocy, zwane z niemiecka „stimmungami”, malowali ponad sto lat temu przedstawiciele szkoły monachijskiej, m.in. bracia Gierymscy. Taki sposób obrazowania wymaga dużej biegłości warsztatowej. Krakowiak nabył ją w Gdańsku, studiując w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, gdzie w latach sześćdziesiątych nauczali m.in. Stanisław Teisseyre, Juliusz Studnicki czy Piotr Potworowski – znakomici malarze związani ze słynną Szkołą Sopotką. Wcale nie żałuje, że nie kształcił się pod kierunkiem wielkiego „Potwora”, ponieważ jak głosił uczelniany dowcip, jego uczniowie to „małe potworki” naśladowujące dzieła mistrza. Trafił za to do pracowni świetnej kolorystki prof. Krystyny Łady-Studnickiej. Bardzo dobrze wspomina ten czas. Bezpośredni kontakt z całą plejadą wybitnych indywidualności polskiej sztuki miał wpływ na ukształtowanie się wrażliwości estetycznej młodego studenta. Stąd też wynikają jego skłonności do konstruowania harmonijnych układów barwnych łączonych z wyrafinowaną malarską materią.

Artysta po raz pierwszy zdecydował się pokazać swoje szkice, które traktuje jako wstępne kroki do rozwiązywania problemów kompozycyjnych. Ujawniają one w większym stopniu niż obrazy inspirujące go fragmenty rzeczywistości. Niekiedy bardzo zwyczajne, wprost odnoszące się do wiejskiego pejzażu (ogródek sąsiada, sklecone z desek domki na działce, jarmarczne stragany, a nawet... śmietnik). Przełożone na język malarski banalne motywy zaczynają działać szlachetnie, przemawiając do widza wyłącznie ekspresją formy i koloru. Jeden z prezentowanych na wystawie obrazów nosi tytuł *Radość życia*. Sądzę, że można go odnieść do całej twórczości malarza. Henryk Krakowiak, dzieląc się swoimi emocjami z innymi, potrafi bowiem optymistycznie patrzeć na otaczający świat i więcej niż inni z niego zrozumieć.

Przedruk z katalogu *Henryk Krakowiak. Malarstwo*, Muzeum Ziemi Lubuskiej 2004





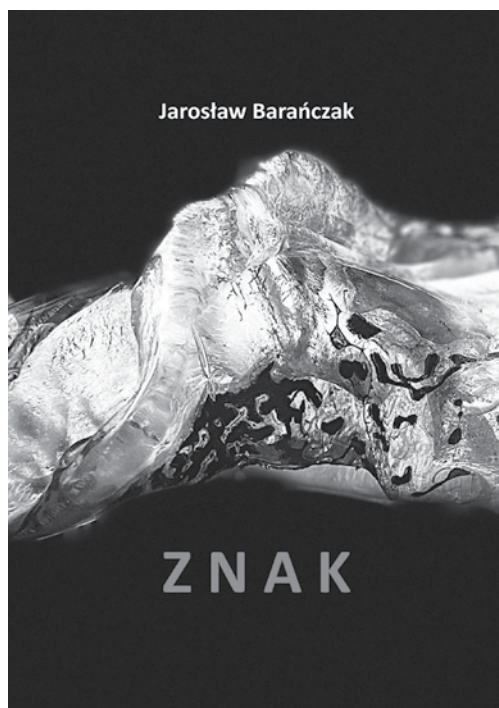
RECENZJE I OMÓWIENIA



Czas poezji

Jarosław Barańczak, *Znak*, Pro Libris, Zielona Góra 2021, 50 s.

Tak się niekiedy, a nawet często zdarza, że pierwsze inicjacje twórcze, literackie, powiedzmy: poetyckie, pierwsze wiersze, uzyskujące prasowy debiut, potem z różnych powodów nie przekładają się na regularnie podejmowaną twórczość. Jeśli jednak poetyckie źródło nie wysycha, to ona wcześniej lub później wraca i dopomina się o swój wyraz. Tak ma się rzecz w przypadku Jarosława Barańczaka, który debiutował w „Nadodrze” po koniec lat siedemdziesiątych kilkoma wierszami, kilka utworów opublikował także w latach późniejszych, lecz to przypomnienie i danie upustu poetyckim doświadczeniom jeszcze niczego nie przesądzało. Moc głosu objawiła się dopiero wraz z opublikowaniem tomu poetyckiego, czyli debiutu książkowego pt. *Znak* (2021). I okazało się, że dokonało się w słowie lirycznym dobre, szerokie odświeżenie doznań lat, doświadczeń i dojrzałej obserwacji życia, wielu epizodów, którym towarzyszy szeroki horyzont. Nagromadzenie lat zaowocowało. W odpowiednim czasie na plan pierwszy wyszedł poeta. Dwa spotkania Barańczaka z publicznością w Zielonej Górze, latem tego roku, potwierdziły, iż swoje treści wypowiada on już właśnie nie jako młody poeta, w tym sensie, że nie mamy do czynienia z zanotowaniem pierwszych, nieco jeszcze naiwnych przeżyć, ale jego głos dotyczy rozległej panoramy świata, która nie ma nic z jednopłaszczyznowości, jest wewnętrznie skomplikowana, wielopiętrowa, utkana z wielu równoległych



istniejących rzeczywistości wręcz. I jest przenicowana dozą autorskiej refleksji. Mówiąc wprost: Barańczak dba, potrafi dbać o reprezentatywność, o jakieś możliwe istotne obrazowanie istnienia. To istnienie może być nie tylko zasugerowane ideą, wielką uniwersalną całością, tzw. wszystkim, wielkim uniwer-

sum ontologicznym, którego się realnie jednak nie osiągnie, jak i nieskończoności, ale także istnienie może być ekspozycją tego, co udaje się w danej sytuacji całościowo zaobserwować, co da się ze sobą skontaktować w poetyckim obrazie. Czy to w spisie realnych wydarzeń i epizodów, i treści przywołanych, sumowanych na koniec dnia, jak w wierszu *Paź żeglarz*, gdzie poeta odsłania swój Nowy Jork, ową legendarną Piątą Aleję, odsłania właśnie wielość. To bliskie jest jego wewnętrznemu żywiotowi – lubi Barańczak ujmować współistnienie rzeczy, nadbudowując świat niezwykłością („tak wiele wydaje się nieśmiertelne”), także znakiem wzniosłości. To są wyrazy i znaki uczestniczenia w świecie, a może także nadziei, że mimo różnych tonów światła i cienia, tego, co niskie i wysokie, żebracze i królewskie, zwyczajne i artystyczne, możliwy jest jakiś sens, który może jest dany albo nadal potrafi wytworzyć go ludzka wspólnota (Kassandra, czarnoskóry Sokrates, tafla wody, łuk tryumfalny). To obraz i duch dawniejszych lat? Czyż jeszcze niezgaszonego optymizmu, i wiary w możliwe utrzymanie ładu cywilizacji, który na naszych oczach ulega coraz wyraźniejszemu zburzeniu. Może przeistoczeniu? Wielość poetę interesuje i fascynuje, jest jego nośną falą, niezależnie od tego, czy dotyczy skali makro, czy tej zaledwie w zasięgu oczu, w bezpośrednich obserwacjach i doświadczeniach, jak w wierszu, bardzo pięknym, *Plótna z Toledo*. Jakże wiele ze sobą tu się łączy, za sprawą uobecnianej bieżącej codzienności „zmęczonych ucieczką z dalekich wojen” (tych „zmęczonych” pojawia się obecnie coraz więcej), ale i przywołania zamierzchłej historii „wizygockich ognisk”. W takim kręgu istnienia „Nie rządzą tu prawa fizyki”, w rzeczywistości, w myślowości „woni szafrań” daje

o sobie znać owo coś więcej, coś ważnego i poważnego, co wyraża dawna sztuka, sztuka właśnie. Jej istotny przekaz dostrzega poeta w malarstwie El Greco, w katedrze, jak i w cieniu ulicy stoi także jakiś El Greco, który „wyciąga ręce i błaga o sprawiedliwość”, nie tylko przechodniów błaga, bezradnie. W tym wszystkim objawia się rys podmiotowej wrażliwości moralnej i egzystencjalnej poety. Także obok tej złożonej prozaiczności obecne jest piękno istnienia. Przykładem tego rodzaju ujmowania świata może być dedykowany Andrzejowi Buckowi, piękny, duży wiersz, świetnie wyposażony w obrazy i realia Rzymu – *Piazza Navona*. Zauważa Jarosław Barańczak, szczególnie tutaj, w tym jakże symbolicznym miejscu, wielość istnienia, natłok, jego wieczny wymiar, dziejący się jakby poza czasem, więc słusznie taki wers pisze: „Czuję jak płyną przeze mnie rzeki świata”. Tam, w Rzymie. Myślę, że wzięty jest ten poetycki kawałek jakby spoza doraźności. Wszystko w nim ważne, dotkliwe i istotne („na rękach maleńkie dziecko”). Ma poniekąd ta poezja charakter ekstazy, podobnej do tej, którą przedstawia rzeźba w rzymskim kościele („Ekstaza świętej Teresy”): „Kobieta unosi się na chmurze, a jej twarz wypełnia rozkosz prawdziwie ludzkiej miłości”. Wiersz jakby wzięty z Apokalipsy świętego Jana, piszącego na wyspie Patmos swój przekaz, swoje objawienia. Wiele rzeczy czytelnik w tych wierszach może wyczytywać. Nie sposób przeprowadzić wyczerpującego opisu wszystkich zagadnień wierszy, światowych i tych bardziej prywatnych, intymnych, osobistych, które są w zbiorze. Przyszły lata wolne już od funkcji zawodowych, naukowych i państwowych. Jest czas dla poezji.

Czesław Sobkowiak

Kamienie mitologiczne

Teresa Borkowska, *Pamiętam*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów Wielkopolski 2007, 56 s.

„Jestem kobietą / która pragnie miłości” to jeden z punktów, jakie wyświetlają się na ekranie w tym ciemnym pokoju sztuki – sztuki pomimo wszyst-

ko, do końca. Tyle że obraz pozostaje czarno-biały, jak w głębokim śnie. Punkt drugi – jestem albo stać się kamieniem.

Teresa Borkowska jest poetką mało znaną, natomiast wysoko cenioną w kręgach obytych z literaturą. W zbiorze *Pamiętam*, trzecim w jej dorobku, zdaje się krążyć z tłumionym niepokojem między powyższymi punktami. Pragnienie, przerażenie, nadzieja, lęk, zamknięcie – próba dialogu z Panem K., co przywołuje świat Franza Kafki z jego dramatem (to cały drugi tomik Borkowskiej), a teraz postaci mityczne, przywoływane z delikatną nieśmiałością. Ariadna, Dafne, wiekowa lipa, Wysoki Zamek, garbus, katedra – wszystkie te hasła pojęciowe czy też senne figury są archetypalne.

czytam
starożytne mity
i z jakiegokolwiek strony bym podeszła
to jako żywo
odnoszę porażające wrażenie

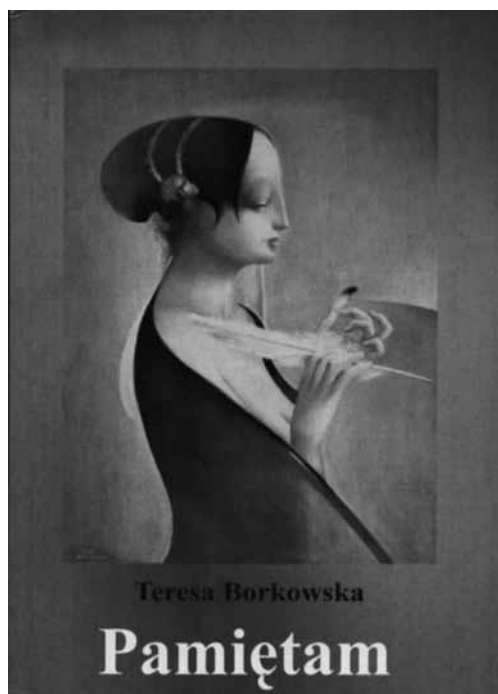
że
bogowie i boginie
herosi i nimfy
harpie
i inne indywidua

to cali my

[...]

a Olimp to Matka Ziemia [...]

Greckie tedy imiona scalają się z nowym już pejzażem, chrześcijańsko-współczesnym, a nie sposób dociec, na ile wiernym czy choćby bliskim macierzystemu światu ewangelistów. Zresztą i oni są, jak podzielił się ze mną odkryciem subtelny prozaik i antykwariusz, Stanisław Korolewski, archetypami, mieszkańcami duszy-kamienia. Miłość, główne wyzwanie, główny zakaz, zapewne główny powód bólu, upokorzenia i udręki – wreszcie złości i zła. Borkowska to wyczuwa. Subtelnymi nawiązaniem porusza tafle tych zaklętych źródełek. Nie próbuje analizować racjonalnie. Domyśla się, że „jest w myśleniu / odrobina szaleństwa” – i to prawda. Myślenie obala nam czucie. Chwyta je i przetwarza, i zawsze po-



wstają jakieś niedokładności, choćby już przy nadawaniu dźwiękowych nazw swoim stanom. Myślenie ponadto sformatowane, poustawiane, poddawalne ocenom, korygowane, odrzucane, bałwochwalone w swojej randze sztuki. Borkowska wydaje się obojętnieć na walory estetyki literackiej: wiersz mknie albo snuje się samowiednie koślawą ścieżką, doprowadza nad Wartę, do Katedry, do pokoju z oknem wychodzącym na lipę raz kwitnącą, raz złocącą się o jesieni, a raz nagą jak muzyka.

Co się tyczy Pana K. i Wysokiego Zamku, dialogu-monologu, to warto pamiętać, iż zarówno geometra K., jak i Józef K., raz wyrwani z podświadomości przez praskiego urzędnika, gotowego spalić, podrzeć na strzępy, unicestwić swoje płody pisarskie, rozmnożyli się na miliony sobowtórów: omal każdy przedstawiciel kultury Zachodu rozpoznaje się w nich. Każdy w innym jednak stopniu. Różewicz napisał *Putapkę* – na jej podstawie Zygmunt Krauze z Grzegorzem Jarzyną sporządził libretto do swojej opery *Putapka* z 2011 roku, w której polem minowym dramatu jest dzieciństwo, a dokładnie – rodzinny

dom. Władczy, brutalny ojciec. Oschła matka. Obłudne siostry. Głupawa kochanka. Różewicz toczył dialog intertekstualny z Umarłym. Napisał o tym pracę doktorską Damian Romaniak, korzystając głównie z *Kartoteki*; podkreślał osobność filologicznych kultur obydwu, Kafki i Różewicza. Borkowska stoi z boku. Bez cytatów, wskazań jednoznacznych. Wykorzystuje koincydencje: jej Umarły Franzem Kafką jest i nie jest. Zbyt ważny osobiście, aby dał się zredukować do Kafki. Zbyt bliźniaczy, aby bryła Wysokiego Zamku nie osuwała się kamieniami, niczym jakieś bezkresne i pozaczasowe lapidarium, w jej poezję. Dzieciństwo zostaje ocalone, odsunięte na bezpieczną odległość: było czuciem, a nie intelektualną kombinatoryką. Dało jednak wrażliwość mimozy. Na światło, na mrok, na światłocienie. Na własne zakleszczenia, błazenady odbijane w oczach małego chłopca. Wreszcie: na piękny, mocny, prosty język.

Przejmująca poezja. Piękna. Wolna od gier, tej interesowności w kontakcie z czytelnikiem. A skoro kamień, skoro poczucie skamienienia, to przypo-

mnę, że kamień był w greckich Tespiach najświętszym wyobrażeniem Erosa. Żaden z wymuskanych posągów Erosa nie miał tej wagi symbolicznej dla wyznawców, modlących się doń o miłość, jak ów głaz, a jednocześnie głuchy Wysoki Zamek, Katedra w płonącym gotyku, zarazem Dafne – dziewczyna i zdrewnienie, zarazem Ariadna – dziewczyna i labirynt, a po wysupłaniu się z labiryntalności oblubienica boga szaleństwa i sztuki, Dionizosa. Borkowska ma ją w sobie. Ariadna „rozwiązała” labirynt nie za pomocą łomów, taranów, szturmów ani dynamitu. Posłużyła się wiotką nicią, dającą się związać, rozwijać, układać w najrozmaitsze linie, zakreślać sobą osłupiające kontury. Pod jednym warunkiem: mocnego przytwierdzenia w punkcie wyjścia. Mit powiada, że tym punktem jest jej miłość do Tezeusza. I dionizyjska puenta, bo Dionizos był dla Ariadny punktem dojścia.

To wszystko drży w tych postkartezjańskich wierszach. „Jeśli nie kocham / mnie nie ma”.

Urszula M. Benka

Kobierzec

Mechtilde Lichnowsky, *Geburt. Liebe, Wahnsinn, Einzelhaft*, Locker Verlag 2008, 420 s.

Geburt [Urodzenie], druga powieść w dorobku niemieckiej pisarki Mechtilde Lichnowsky, potwierdza wysoki poziom jej twórczości literackiej, wyprzedzającej swoje czasy. Szkoda, że to autorka w Polsce nieznana.

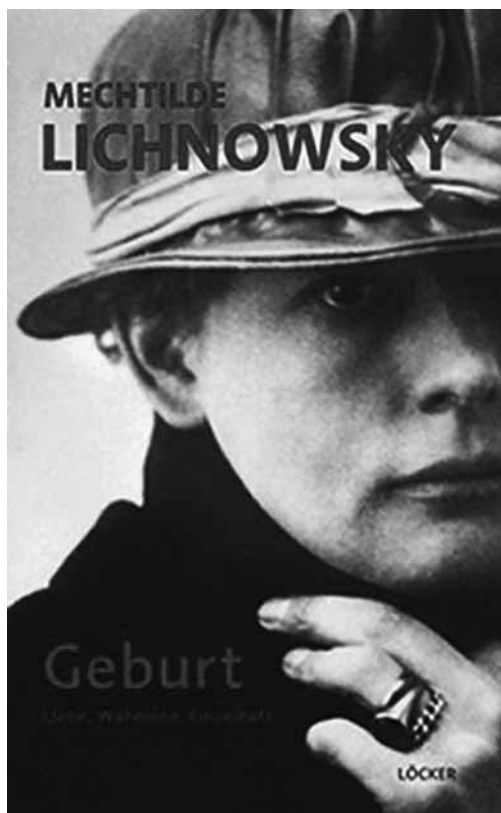
Mechtilde Lichnowsky (1879-1958), żona dyplomaty i arystokraty Karla Maxa von Lichnowsky’ego, należała do intelektualnej elity Europy pierwszej połowy XX wieku. Gdy jej mąż był ambasadorem Niemiec w Wielkiej Brytanii (tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej), aktywnie uczestniczyła w tamtejszym życiu kulturalnym¹.

Lata twórczości Mechtilde Lichnowsky przypały na czas eksperymentów literackich w światowej

prozie. Do tego właśnie nurtu należy powieść *Geburt*, wydana równo sto lat temu, w 1921 roku. Akcja książki nie jest linearna. Utwór daje się odczytać z perspektywy psychologii postaci (Gestalt), gdzie poszczególne doświadczenia i wrażenia są figurami wyodrębniającymi się z tła i składają się jednocześnie na całość wrażeń. W narracji dominuje poetycki impresjonizm, subtelna zmiana akcentów i portretowanie bohaterów z różnych perspektyw. Dziennik jednego z protagonistów, Alberta, pozwala nam zajrzeć w głąb jego świadomości.

Powieść ma podtytuł *Liebe Einzelhaft Wahnsinn* [Miłość – szaleństwo – odosobnienie]. Brzmi to jak zapowiedź egzystencjalizmu. W tych słowach zawiera się przekonanie, że człowiek, niezależnie od sytuacji, pozostaje sam ze swoimi przeżyciami, emocjami i losem. To czytelne zerwanie z mitem romantycznej miłości. *Geburt* nawiązuje także do tradycji Bildung-

¹ Więcej o Mechtilde Lichnowsky w tekście: *Wyprzedzając swoje czasy: Mechtilde Lichnowsky: Der Stimmer [Stroiciel]*, „Pro Libris” 2021, nr 1-2 (74-75), s. 119-121.



sromanu (powieści o dorastaniu). Współczujemy zakochanemu w Genovie Soulavie młodemu Albertowi i wraz z nim doświadczamy beznadziejności jego sytuacji, także ze względu na społeczne konwenanse. Mężatka Isabelle jest zakochana w poecie Matthiasie Lannerze. Choć proza Mechtilde Lichnowsky jest raczej statyczna i pozornie niewiele się

tu dzieje, „treść jest bogata w symbole, splatające się w całość niczym kobierzec”².

Mechtilde Lichnowsky przyjaźniła się między innymi z Virginią Woolf, czołową przedstawicielką dwudziestowiecznej literatury modernistycznej. Inspirację jej twórczością widać w podejściu do tematu płci, szczególnie sytuacji i roli kobiety. Sygnalizuje to sam tytuł: *Geburt* – powieść skupia się na zagadnieniach, które dopiero dzisiaj zaczynają być szeroko analizowane: zależnościach pomiędzy płcią a miejscem w społeczeństwie i kulturą. Co definiuje męskość i kobiecość? W *Geburt* pojawia się wątek wysyłanych do Lannera anonimowych listów. Kto jest ich autorem lub autorką? Czy sposób pisania może „wskazywać” na mężczyznę lub kobietę? Czy w ogóle da się tu ustalić jakieś uniwersalne reguły?

Nowatorska i pełna symbolicznych odniesień powieść *Geburt* jest niezbitym dowodem, jak oryginalną i niezwykłą osobowością była Mechtilde Lichnowsky. Poprzez małżeństwo była związana ze Śląskiem – regionem Raciborza w Polsce i czeskiej Opawy, ale jest ona i u nas, i w Czechach właściwie zupełnie nieznaną. Ostatnio jej twórczość wznowiana jest w Niemczech i w Austrii.

Bardzo dziękuję mgr. Krzysztofowi Komorowskiemu za pomoc w pozyskaniu egzemplarza książki.

Joanna Kapica-Curzytek

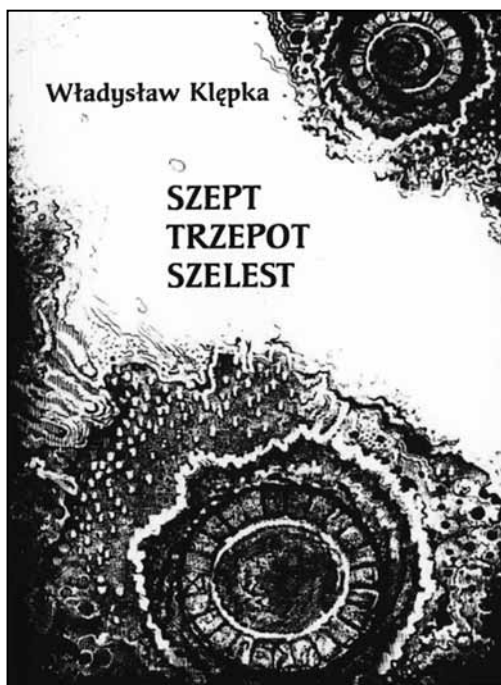
² A. M. Emonts, *Mechtilde Lichnowsky. Sprachlust und Sprachkritik*, Königshausen & Neumann, 2008, s. 166. Tłumaczenie własne autorki artykułu.

Bliskość natury

Władysław Kłepka, *Szept trzepot szelest*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA, Zielona Góra 2020, 104 s.

Władysław Kłepka – poeta, artysta plastyk, tłumacz literatury z języka czeskiego i języka gruzińskiego, jest znany jako autor wielu lirycznych tomików. Artysta plastyk pochodzący z terenów Lubelszczyzny (ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie,

a następnie studia kulturoznawcze na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie) po raz kolejny sięga w swojej poezji do motywów ludowych zarówno w tematyce, jak i formie pisanych wierszy. Wszechstronnie utalentowany autor w wydanym



w 2020 roku przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA tomiku, zatytułowanym *Szept trzepot szelest*, prócz wierszy zamieszcza udanie wykonane ryciny. Tomik podzielony jest na dziesięć części tematycznych. Władysław Kłępka w poezji wyraża zachwyt przede wszystkim światem głównie lokalnej fauny i flory; w wierszach autora tomiku pojawiają się liczne nazwy miejsc, zarówno tych odległych (Ateny, Notre Dame), jak i lokalnych (ulica Ptasia w Zielonej Górze). Opisywany świat widziany oczami poety zdradzają już same tytuły poszczególnych wierszy: *Biała sowa*, *Wrózenie za skrzeku sroki*, *Czarna pszczoła*, *Rozmowa z kukułką*. Przykładowo w wierszu *Śpiewny rewir ptaków* poznajemy charakterystyczne liryczne poszukiwania podmiotu lirycznego: „Dzień w dzień wysłuchuję koncertu śpiewających rano w południe i przed zachodem słońca...”. Autor, nieźle radzący sobie w roli obserwatora otaczającej przyrody, porusza w tomie *Szept trzepot szelest* także temat czasu i przemijania: „Czas poza strofą szybko mija” zauważa w jednym z wierszy, a w innym utworze pisze: „...Czarna śmierć czyha za starym dębem czas już pożera nas krwawym

zębem”. Autor jakby postrzega świat z oddalenia, ale też bardzo osobiście, sensorycznie. W wierszu X z rozdziału pierwszego *Wyspa zieleni* pisze poetycko, ponownie zauważając nieuchronny upływ czasu: „Muzyka lasu nadal bliska / śpiewa leszczyna szumią buki / dostojne dęby liczą lata...”. Bogactwo opisywanego świata przyrody wytwarza aurę tajemniczości, świadczy o sporej wiedzy autora na temat mieszkańców lasów i parków. Z dużą precyzją wypowiada się autor w kolejnych utworach zatytułowanych: *Czajka*, *Sroka*, *Sójka* z rozdziału *Łąka pole las*. Władysław Kłępka w znamienity sposób odczuwa i opisuje zmiany pór roku (wiersze *Jedna zima*, *Na przedwiośniu*, *Posucha*) oraz pór doby (*Nastrój nocy* czy *Swojski plener*).

W dwóch ostatnich rozdziałach wydania, zatytułowanych *Decymy* i *Tetrastychy*, podjął się ujęcia wierszy w strofy 10-wersowe oraz 4-wersowe rymowane. Przemawia w nich poeta poniekąd w imieniu innych piszących, zaznaczając zagubienie i niemoc współczesnego poety: „na szachownicy skaczącym koniem / rozprawiasz jazdę zamiast pegazem”. W *Decymie VI* nadmienia: „Ogrom roboty czeka piszących / oto zadanie z uprawą wiersza”.

W jednym z wierszy autor wspomina też zmarłego poetę Zygmunta Kowalczyka. Filozoficzność niektórych z utworów przyczynia się do szukania przez czytającego odpowiedzi na wiele pytań, każe zatrzymać się choćby na chwilę, zauważyć piękno pobliskiej przyrody lub poszukać odpowiedzi na pytanie, co ważniejsze w życiu: szczęście czy zdrowie?, lub „czym jest starość, zmienionym wyglądem, czy stanem ducha?”.

Anna Wiwiana Szewczuk



Co się stało z Nike? Uwag kilka o *Baśni o węzowym sercu* albo wtórym słowie o Jakobie Szeli

Radek Rak, *Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakobie Szeli*, Powergraph, Warszawa 2020, 460 s.

Jedna z szeroko opisywanych i komentowanych powieści minionego roku, będąca niezwykle świadectwem połączenia w pierwszej części legend, a drugiej podań historycznych dotyczących Jakuba Szeli, nagrodzona Nike w 2020 roku, odbiła się szerokim echem w kręgach literackich w Polsce. Autor Radek Rak dał się poznać jako znakomity fantast, nagrodzony za *Puste niebo* nagrodą Żuławskiego i nominacją do Zajdla.

Rak słynie z bogatego języka i niebanalnej zdolności do niezwykłych narracji. Jednak czy aby i tym razem się sprawdził? W licznych recenzjach i tekstach krytycznych widać szerokie zachwyty nad tą powieścią. Jedni chwalą liczne odwołania do mitologii, innych zachwyca wykorzystanie konwencji realizmu magicznego. Wydaje się, że w końcu czynimy postępy, by zasypać podziały między fantastyką a literaturą wysokoartystyczną. Czy aby na pewno?

W licznych wywiadach Rak nie kryje osadzania w swojej powieści wątków zaczerpniętych z fantastyki, nic dziwnego, skoro identyfikuje się jako fantast. Niestety, te jakże reklamowane intertekstualności mają chyba wyłącznie zainteresować dotychczasowych czytelników niezbyt obeznanych z jakąkolwiek twórczością pochodzącą z kanwy literatury popularnej. Odbiorców choć odrobinę zaznajomionych z kanonem fantastyki traktuje on po prostu jak zwyczajnych głupków, którzy są w stanie dostrzec jakiegokolwiek nawiązanie wyłącznie wtedy, gdy w formie nazwy własnej bądź stronicowego opisu uderza ich niczym taran między oczy.

Zabieg taki jest szczególnie bolesny, ponieważ zakłada nie tylko to, że fanatki nie czytają literatury wysokiej, ale też to, że miłośnikom nurtu wysokoartystycznego obce są teksty Tolkiena, Carda czy Herberta. I żadna ze stron nigdy nie wykona nawet kroku w celu pojednania. Odwołania więc nie łączą nikogo, a dzielą, traktując odbiorców jak ignorantów.

Kolejny problem leży w samej funkcji tych odniesień. Ich nagromadzenie i obszerność przedłużają wyłącznie narrację, do której nic nie wnoszą, nie wpływają na same wydarzenia, ani nie nadają jakiegokolwiek głębszego sensu tekstowi. Można jedynie domniemać, że nagroda Nike jest wyłącznie próbą nadgonienia orzecznictwa Komisji Noblowskiej, co widać wyraźnie w nurcie ostatnich lat tej kiedyś jakże prestiżowej nagrody. Sama opowieść o Szeli, choć inspirowana Jasieńskim, jest jednak o wiele bardziej uładowana. Brak tu chociażby śladu dreszczy czy faktycznej przemocy, jedyna scena odwołująca się do rabacji ma charakter raczej awanturniczy niż groźny, ot spalono posiadłość, ale jej mieszkań-



cy cudownym zrządzeniem losu zdołali się uchronić przed konsekwencjami. Miało to chyba nadać ludzką twarz bohaterowi rabacji, choć i tu na skutek wątku fabularnego rodem z miążkich komedii romantycznych lat dwutysięcznych. Cały watek jednak zajmuje jedną czwartą całej powieści. Postacie zaś, mimo szumnie zapowiadanej głębi i mieszaniny „dobra i zła w nas samych”, są uwięzione w dość schematycznych rolach. Agenda zarówno Szeli, jak i Bogusza nie stanowi w najmniejszym stopniu intelektualnego wyzwania, a sam zabieg dotyczący dwóch głównych postaci znów pełni raczej funkcję ozdobnika niż posiada jakikolwiek głębszy sens. Sam wątek miłosny jest niestety również mocno schematyczny. Nie można odmówić autorowi konsekwencji – kiedy raz wprowadza postać z funkcją femme fatale, to takowa może stanowić sztandarowy element zajęć o funkcjach fabularnych. Jedyne, co zaskakuje, to peany na cześć powieści.

Niewątpliwymi zaletami są góry i zwykłe, codzienne życie. Autor doskonale wplata własny za-

chwyt nad górską przyrodą i egzystencją w tekst. Można odczuć zachwyt nad lasami i tarninami, a także pewnym pięknem surowego życia. Odczuwamy go dobitnie przez 90% książki, każda scena musi bowiem epatować uwielbieniem przyrody. Istotną zaletą jest samo rozliczenie się z realiami obowiązującymi w Galicji i pewne odmitologizowanie romantycznych wizji, jak i pokazanie mitu życia w górach i skonfrontowanie go z realiami.

Sama nagroda wydaje się być już tylko wręczana nie za daną książkę, a post factum, za twórczość poprzednią. Taka zasada miałaby miejsce w przypadku Raka, Szczygła i tegorocznych nominowanych. Jakby komisja usilnie starała się nadgonić minione 10 lat jedną statuetką, tracąc nie tylko wiarygodność, ale i sens wyróżnienia. Co zatem stało się z Nike? Czy bogini upamiętnia jeszcze jakiekolwiek zwycięstwa? A może służy jedynie za obiekt tak obecnie popularnej koncepcji jak naprawianie historii?

Klaudiusz Mirek

Księżycojajko, czyli jak księżyc poróżnił się z jajkiem

Urszula Małgorzata Benka, *Księżyc się pokłócił z jajkiem*, Oficyna Wydawnicza Akwedukt, Wrocław 2020, 58 s.

Urszula Małgorzata Benka, znana w kraju wrocławska poetka i eseistka, po niedawno wydanym fascynującym zbiorze wierszy *Pasja Jezusa z Nazaretu*, szybko przygotowała kolejny tom wierszy pod znamienym tytułem *Księżyc się pokłócił z jajkiem*, który w pewien sposób mógłby nawiązywać tematycznie do poprzedniej książki, a na pewno pozostaje w klimacie swojej poprzedniczki. O ile bowiem *Pasja...* nawiązywała do drogi krzyżowej i zmartwychwstania Mesjasza, na pamiątkę których to wydarzeń chrześcijanie obchodzą najważniejsze w kalendarzu liturgicznym święta Wielkiej Nocy, tak w przypadku nowego tomiku Benki treść i akcja liryczna nawiązują do okresu wielkanocnego, kiedy na stołach biesiadników króluje święconka z nieodłącznym jajkiem na czele – symbolem nowego życia.

Jednak w odróżnieniu od pasyjnego poematu najnowszy zbiór stanowi poetyckie interludium, na które składają się sceniczne passusy, jakby wyjęte z ogromnej księgi mitologii i baśni świata, tworząc samoistną poetycko-epicką opowieść, samorodny poemat liryczny z wielością symbolicznych odwołań do antycznych mitów i średniowiecznych legend. W *Księżycojajku*, jak humorystycznie i przewrotnie nazywa swój tom wierszy sama autorka, jej krótkie poetycko-dialogowe formy tworzą ciąg lirycznej narracji, która spaja je w całość niezwykle, reminiscencyjnego poematu. Poszczególne odsłony tekstowe nie mają własnych nazw, a wyboldowane początkowe frazy zastępujące tytuły można traktować jak akapity, od których zaczyna się dany utwór, będąc zarazem spójną kontynuacją kolejnych i rów-

nocześnie integralną częścią poprzednich, tworząc hermetyczną i inherentną strukturę.

Przedstawione w lirycznych miniaturach zdarzenia czy ciągi myślowe stanowią kontynuację i nawiązania do uprzednio opisanych wątków, sytuacji i motywów, co scala je w logiczne klamry narracji, stając zwarty i zamknięty owalny czy kolisty obwód. Ta właśnie figura koła, której nie znały prekolumbijskie cywilizacje, przypominająca swoim wyglądem księżyc i jajko, stanowi tematycznie oś centralną wierszy Urszuli M. Benki.

Oczywiście, odwołań do kolistych form jest znacznie więcej, będą je stanowiły planety, gwiazdy czy sama kula ziemską, którą poetka nazywa „jajkiem bożym, wysiadywanym przez ezoteryczną kokosz w otchłani kosmosu”. Piekło, a właściwie jego kręgi jak u Dantego, także przypominają umieszczone „jajko między hostią”, podobnie jak kukułcze jajo zwiastujące zło, leżące w wielkanocnym koszyku obok pisanek, jako uosobienie fatum i przeznaczenia. Kukułcze jajo w ludowej tradycji było symbolem piekła, zdrady i intrygi, stąd rodzi się chęć, aby i piekło, dotąd czyste i niewzruszone, poznało łzy i ból, a antidotum na pokonanie zła w postaci kukułki jest sam Zbawiciel w osobie kota, który musi dopaść naznaczonego piętnem ptaka. Wizja otchłani w wierszach Benki ukazana jest jako miejsce nieomal święte, nietknięte złem, pełne trwałości i niewinnego piękna, zauroczonego Lucyferem, czyli swoim panem-aniołem światła i śmierci. Inferno bowiem jest prymarne we wszechświecie, było i trwało na długo przed stworzeniem Ziemi, śmierci, zła i... sztuki, jak twierdzi poetka:

Oj, piekło, po co ty tak jesteś

Nikt na świat się nie prosi

Trwałoś sobie niewinne w nieistnieniu

Zachwycone najpiękniejszym aniołem

A ziemi jeszcze nie było ani śmierci

Ani szatana ani poezji

Wyczekiwany przez ludzi zmartwychwstały Jezus schodzi zatem jako niebożę do bram piekielnych i toczy się w czeluści niczym „piłka lub kukła po ziemskiej kuli”. Zbawiciel ma „przytulić zmarznęte i po-

parzone piekło”, które nieustannie rodzi się w ludzkich sercach. Pandemonium stanowi więc wymieszanie wszystkiego, początku z końcem, jest atrybutem kukułczego jaja, po stłuczeniu którego całe życie, losy, grzechy, mity i historie kottują się w „lawie jajeczniczy”.

A kuku piekło

Tu jajeczko tu jajeczko

To ja ciebie młoteczkim

Popłyniesz ze skorupki lepka jajecznicą

Zapaćkasz posklejasz co ci się nawinie

Kwiaty z sercem księżyc z poezją

Boga z bogami z poezją w kleistego zlepieńca

Anioły ze śmietnikiem

Noworodka z umrzykiem

Zmrok ze światem

Podobnie jak wiele nawiązań do form kolistych i graniastych, które symbolizują „korowód zdarzeń”, czyli „wieczny taniec życia i śmierci”, jest u Benki także dużo odwołań do starożytnych mitów, idei, myśli i samych ich twórców. Stąd tak liczne staje się grono bohaterów przywołanych na kartach poezji przez autorkę, jak Orfeusz, który schodzi do piekieł w poszukiwaniu „śluzy sztuki”, Odyseusz, dla którego nie sama podróż jest ważna, lecz kres jego wędrówki, czy bogini Psyche, która walczy z boginią nieśmiertelności, a którą poetka ukazuje jako osobę pełną ludzkiego wigoru, żywą i grzeszną. Psyche wielokrotnie uskarża się nad swoim losem, kiedy jest pijana, utyskuje, że nie ma przy niej Erosa, innym razem narzeka, że nie może się do niego zbliżyć, gdyż dostępu do Hadesu, gdzie się on znajduje, pilnuje ogromny cerber. Autorka przypomina jeszcze postać Hermesa, kochanka Afrodyty, który miłosne losy ludzi wiąże w znaki zapytania, przywołuje Heraklesa, który walczył ze złem oraz inne postaci, jak Eurydykę, której symbolem była kukułka, boginię Korę, opiekunkę dusz zmarłych i małżonkę władcy piekieł Hadesa czy też tytana Okeanosa i inkaskiego króla Atahualpę, podstępnie zwabionego i zgłodzonego przez konkwistadorów – odkrywców nowego ładu.

Nie inaczej jest też w przypadku postaci średnio-wiecznych, barokowych czy nowożytnych. Poetka

czyni liczne odwołania do takich pisarzy, filozofów i mistyków jak Leśmian, Nietzsche czy Swedenborg, a nawet astronautów z Apollo 12, którzy stanowili drugą załogową misję lądującą na Księżycu. Jednak najbardziej ulubioną postacią jest Dante, który niczym Casanova, skłonny jest uczynić wszystko, aby ofiarować się i zatracić w miłości. Podąża on w poszukiwaniu Beatrycze, niczym pies na smyczy niewidomego, bowiem miłość jest ślepa i wędruje samotnie przez kręgi piekielne i czyścicowe, jednak naprawdę szuka on nieba, które zdaje mu się wciąż uciekać i być dlań nieosiągalne. Ale Eden okazuje się również pusty, dziurawy, pozbawiony bożków miłości – Amora i Kupały, jawi się więc jako miejsce niedoskonałe, pełne czarnych dziur po wymarłych gwiazdach i mrowia obcych, niegościnnych planet:

Oj, Dante, mało ci było piekła i miłości
Chciałeś doznać jeszcze drugiej strony
Doznać chciałeś jeszcze ich odwrotności
[...]
Biegniesz za niebem jak za jaskółką
A niebo ulatuje w niebo

Również Jezus przedstawiony jest na modłę ludyczną, uczłowieczony, pozbawiony nimbu boskości i cudowności, ukazany na tle jarmarcznej scenarii diabłów, kotłów, czarownic i kostuch. Jezus-zbawiciel jawi się jako łagodny i wyrozumiały sędzia, pragnie zabrać do królestwa niebieskiego wszystkich, także głupców, nikczemników i prostytutki. Zrównuje, niczym śmierć, ludzkie losy, słabości, występki i grzechy. Dla niego każde życie to miraculum, jest wieczne i święte, a każda ludzka istota jest cudem bożym.

Zbiór wierszy Urszuli M. Benki *Księżyc się pokłócił z jajkiem* to stylizowana na ludową nutę wielkanocna mantra i hymn na cześć odradzającej się nieustannie natury wszechrzeczy. Tom wierszy Benki jest z pewnością wyjątkowy, jej poetyckie miniatury zbliżone do facecji i misteriów pasyjnych, sięgają głęboko do korzeni kultury śródziemnomorskiej i średniowiecznej tradycji ludowej. Autorka przywołuje bowiem nie tylko ważne postacie historyczne, mityczne i religijne, ale także wiele symboli kultury antycznej, religii, filozofii i sztuki. Jej wewnętrzne



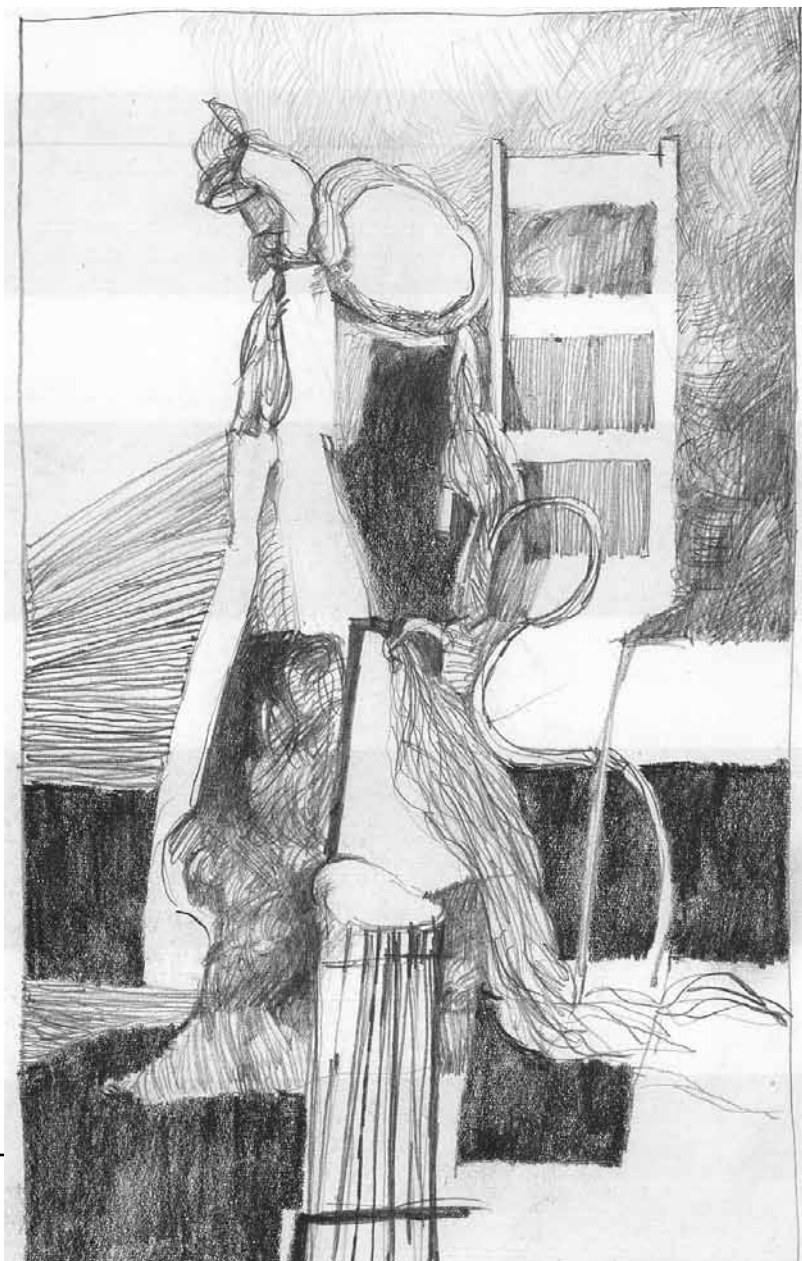
monologi pełne są upomnień, ostrzeżeń i moralizatorskich dysput, w których poetka ze swadą wytyka swoim bohaterom pomyłki, słabości i niedoskonałości, bezkompromisowo ich krytykuje, celnie rozdzielając przysłowiowe prztyczki, zarazem ironizuje i wykpiwa ich ułomności i zgubne inklinacje. Mimo iż patrzy na ich losy z dystansem, to jednak emocjonalnie angażuje się w nie i przeżywa, próbując na swój sposób ingerować lub zmieniać bieg wydarzeń, choć wydają się one nieuchronnie zmierzać do katastrofy. Z determinacją walczy więc poetka z fatalizmem, providencjalizmem, sacrum i tragiczną przewrotnością losu, konfrontuje się z mitologią i kosmogonią, aby zmienić ciąg wypadków naczynych przez fatum, predestynację, opatrność czy kontyngencję. Stosuje przy tym w lakonicznych, gwarowych zapiskach-relacjach plebejskie porzekadła i mądrości, uprawia językową zabawę, ucieka się do ludowych przyspiewek i magicznych zaklęć. Odwołanie do tradycji wielkanocnych ma w efekcie służyć ludzkiemu pojednaniu i pocieszeniu, ma

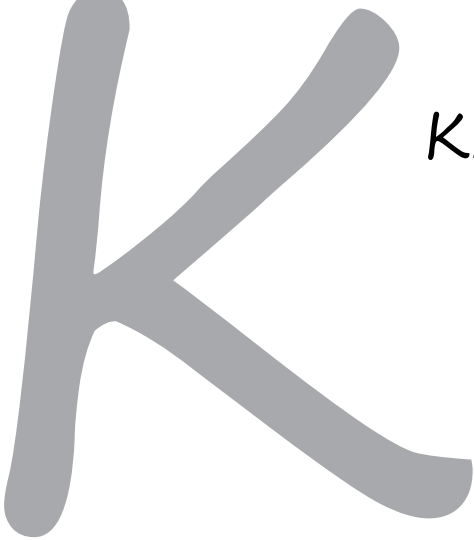
łączyć i wyciszyć od negatywnych emocji, ma być ostatecznym triumfem dobra nad złem i wiecznego życia nad śmiercią.

Najnowszy tomik Urszuli M. Benki uzupełnia ją trzy czarno-białe ilustracje córki poetki Gwendoliny Jarzębowicz, o których warto szerzej wspomnieć, gdyż świetnie konweniują tematycznie z poezją. Niby podobne do siebie na pierwszy rzut oka, a jednak różne, jak pory obserwacji nieba. Wszystkie przedstawione graficznie kuliste, owalne figury tworzą promieniste konstelacje planet, sateli-

tów i gwiazd o kształtach okrągłych, jajkowatych, pierścieniowych, sferycznych, przypominających odmienne położenia heliocentrycznego układu słonecznego, czy nawet szerzej – wszechświata, wypełnionego czarnymi plamkami i kropkami, obrazującymi czarne dziury i odległe galaktyki. Czuć w nich zatem, jak w wierszach Benki, ducha materii i potęgę Absolutu, energetyczną moc Stwórcy, ów *spiritus sanctus* i *spiritus movens* jednocześnie.

Robert Rudiak





KSIĄŻKI NADEŚŁANE

Antologia miłości, Wydawnictwo Rys, Dąbrówka 2021, 92 s.

Lilianna Lili Batory, *Anioły urodziły się w Zielonej Górze*, red. I. Peryt-Gierasimczuk, wyd. Fundacja Monte Verde Art, Zielona Góra 2019-2020, 132 s.

Krzysztof Bąkowski, *...czyli poetycka krzyżówka dla dorosłych*, Organon, Zielona Góra 2021, 52 s.

Leszek C. Belzyt, *Zielona Góra około 1700 roku. Struktura ludności w świetle spisów podatkowych*, Oficyna Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2021, 278 s.

Zofia Chrin-Nowicka, *Dusza na temblaku*, Organon, Zielona Góra 2021, 66 s.

Kazimierz Ciepeliowski, *Kraina bez snów*, Wydawnictwo Poligraf, Brzeźnia Łąka 2019, 220 s.

Zbigniew Czarnuch, *Na nich można polegać*, Ochotnicza Straż Pożarna w Witnicy, Witnica 2020, 132 s.

Maria Jolanta Fraszewska, *Płonące języczki / Tongues in fire*, Organon, Zielona Góra 2021, 98 s.

Joanna Galant, *Zachód słońca nad nami*, PAW Produkt sp. z o.o., Gorzów Wielkopolski 2021, 56 s.

Iwona Peryt-Gierasimczuk, *Architektura rezydencjonalna województwa lubuskiego*, Województwo Lubuskie – Urząd Marszałkowski WL, Zielona Góra 2020, 120 s.

Iwona Peryt-Gierasimczuk, *Drewniana architektura sakralna województwa lubuskiego*, Województwo Lubuskie – Urząd Marszałkowski WL, Zielona Góra 2020, 120 s.

Iwona Peryt-Gierasimczuk, *Laura w muzeum. Zostań kuratorem*, wyd. Fundacja Monte Verde Art, Zielona Góra 2019, 140 s.

Ryszard Jasiński, *Niewidzialna władza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2021, 160 s.

Ryszard Jasiński, *Wrota gomory*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2021, 124 s.

Igor Myszkiewicz, *Ilustrowana kronika Zielonej Góry / The illustrated chronicle of Zielona Góra*, Stowarzyszenie Forum Art, Zielona Góra 2021, 324 s.

Zbigniew Pawłowski, *Marzenie... XVI wiek*, Wydawnictwo Rys, Poznań 2021, 74 s.

Zbigniew Pawłowski, *Ocena sytuacji...*, Wydawnictwo Rys, Poznań 2021, 66 s.

Ireneusz Krzysztof Szmidt, *Odpowiedź na pytanie Hamleta*, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta – Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2020, 312 s.

AUTORZY NUMERU

Marta Bąkiewicz

Urodziła się w 1980 w Zielonej Górze. Doktor nauk humanistycznych, germanistka, literaturoznawczyni, adiunkt na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Badaczka literatury polskiej i niemieckiej, związków literatury z teatrem i filmem oraz polsko-niemieckich relacji w dziedzinie kultury i literatury. Popularyzatorka kultury i literatury o/na pograniczu. Autorka monografii (*Literatura, społeczeństwo i polityka w twórczości publicystycznej Maxa von der Gröna*), redaktorka tomów zbiorowych (m.in. *Lubuski palimpsest. W kręgu historii, kultury i literatury polsko-niemieckiego pogranicza*), a także studiów o twórczości m.in. Bertolda Brechta, Gerharta Hauptmanna, Arnolda Zweiga, Eberharda Hilschera, Jochena Kleppera i o współczesnej literaturze niemieckiej i polskiej. W przygotowaniu monografia w ramach projektu naukowo-badawczego poświęconego motywowi rzeki Odry w literaturze, a także znaczeniu Odry w biografiach reprezentantów polskiego i niemieckiego świata kultury.

Urszula M. Benka

Urodziła się w 1953 roku we Wrocławiu. Pisarka, poetka, recenzentka, redaktorka, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Stypendystka rządu francuskiego, Europejskiej Organizacji Niezależnych Intelktualistów w Paryżu, dwukrotna stypendystka Ministerstwa Kultury w Polsce oraz Rządu Saksonii. Debiutowała wierszami w czasopiśmie „Sigma”, następnie wiersze, opowiadania, recenzje i artykuły drukowała m.in. na łamach „Literatury”, „Nowego Wyrazu”, „Odry”, „Konfrontacji” i „Kontaktów”. Laureatka wielu konkursów i turniejów poetyckich. Współpracowała z polskimi czasopismami emigracyjnymi, (np. „Zeszyty Literackie”). Będąc w USA, podjęła współpracę z nowojorskim „Kurierem” i „Nowym Dziennikiem”. Została członkiem amerykańskiego PEN Clubu. W 1979 wstąpiła do ZLP. W 1991-1992 publikowała w „Akcentach” cykl felietonów pt. *Listy z Nowego Jorku*. W 1991 powróciła do Polski, zamieszkała początkowo w Katowicach, gdzie m.in. w 1992-1994 uczestniczyła w działaniach artystycznych autorskiego teatru męża, Andrzeja Urbanowicza, Oneiron 2. W 1991 została członkiem SPP. Od 1994 roku mieszka we Wrocławiu. Twórczość Benki była tłumaczona na wiele języków, m.in. na angielski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, szwedzki, rosyjski.

Halina Bohuta-Stapel

Autorka kilku tomików poetyckich, scenariusza oraz piosenek. Twórczyni filmowej komedii muzycznej pt. *33 minuty w Zielonej Górze czyli w połowie drogi*, ballady i *Legendy o świdnickich dębach*, a także licznych tekstów, scenariuszy i piosenek kabaretowych. Jest laureatką wielu konkursów literackich – ogólnopolskich, regionalnych oraz jednego międzynarodowego. Wraz z Aleksandrą Matusiak-Kujawską i Władysławem Edelmanem współtworzy Literacki Kabaret „HALLO”, należy do Stowarzyszenia Aktorów Niezależnych oraz Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. W roku 2008 z rąk Wójta Gminy Świdnica otrzymała Nagrodę Kulturalną, a w roku 2015 nominowano ją do nagrody literackiej zielonogórskiego oddziału ZLP.

Musa Çaxarxan Czachorowski

Diennikarz, poeta, tłumacz, wydawca. Rzecznik prasowy Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP, przedstawiciel MZR w RP na Dolny Śląsk. Redaktor naczelny kwartalnika „Przegląd Tatarski”, redaktor prowadzący „Rocznika Tatarów Polskich”, redaktor polskiej edycji czasopisma Tatarów litewskich „Lietuvos to- toriai”. Autor kilkunastu zbiorów poetyckich oraz licznych publikacji związanych z tematyką tatarską i mu- zułmańską, w tym najnowszego przekładu Koranu (2018). Zajmuje się tłumaczeniami, korektą, redakcją tekstów większości publikacji wydawanych przez Najwyższe Kolegium Muzułmańskie MZR w RP.

Miłosz Cybowski

Urodzony i wychowany w Rzeszowie. Studia kończył na University of Southampton w Anglii, gdzie obro- nił doktorat z historii poświęcony tematyce kwestii polskiej w Wielkiej Brytanii w latach 30. i 40. XIX wieku. Specjalista w dziedzinie stosunków polsko-brytyjskich i Wielkiej Emigracji po powstaniu listopadowym. Pu- blikował artykuły w kilku anglojęzycznych antologiach oraz na blogach naukowych (The Victorianist, Age of Revolutions, History of Knowledge). Współpracownik polsko-niemieckiej platformy Polish-Studies.In- terdisciplinary (www.pol-int.org). Wieloletni redaktor Magazynu Kultury Popularnej „Esensja” (www.esen- sjapl). Na co dzień pełni rolę Scrum Mastera w międzynarodowej firmie logistycznej.

Jakub Domoradzki

Poeta, prozaik, z wykształcenia filozof. Debiutował w 2. Antologii Stajni Literackiej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie *Co jest pisane* (SPP, 2016), a samodzielnie tomikiem *Wiersze, których nie lubi mój tata* (Mamiko, 2016), nominowanym do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego Orfeusz. Ponadto au- tor *Nie przysypuj gruszkami popiołu* (Liberum Verbum, 2017) oraz *Poety poślubnego* (Liberum Verbum, 2018). Współpracuje z Pierwszym Programem Polskiego Radia (Redakcja Publicystyki i Redakcja Wiedzy i Edukacji), publikuje także w „Gazecie Bieszczadzkiej”, Kwartalniku Towarzystwa Uniwersytetów Ludo- wych „PUL” (poezja) oraz „Sądeczanie” (artykuły historyczne). Mieszka w Warszawie.

Władysław Edelman

Urodził się w Iłowej, od kilkudziesięciu lat mieszka i pracuje w Zielonej Górze. Autor opowiadań, tekstów satyrycznych, fraszek i limeryków nagradzanych na ogólnopolskich konkursach, m.in. w Bogatyni (Turniej Łgarzy), Przemyślu (Turniej Satyry „O złotą Szpilę”), Myślenicach (Konkurs Literacki „Fraszka Igraszka”), Zie- lonej Górze (Konkurs Literacki im. Anny German). Wielbiciel jazzu, Monty Pythona i Haruki Murakamiego.

Agnieszka Ginko

Poetka, pisarka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Autorka książek dla dzieci, wyróżnio- nych w konkursach literackich oraz książek z zakresu animacji kulturalnej. Za twórczość dla dzieci otrzy- mała w 2015 roku Nagrodę Guliwer w Krainie Olbzymów. Jej wiersze dla dorosłych oraz felietony ukazały się w polskich i brytyjskich czasopismach kulturalnych (m.in. „Opcje”, „Kresy”, „Fraza”, „Akant”, „Relacje-In- terpretacje” i londyńskich „Arts Professional” i „The Wolf”) oraz w polskich i brytyjskich tomikach pokon- kursowych. Mieszka w Zielonej Górze, należy do Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Jako anglistka koordynuje pracę Biblioteki Obcojęzycznej w WiMBP im. Cypriana Norwida.

Żaneta Gorzka

Pisarka, autorka dwóch książek z literkami: debiutanckiego *Łokcia jelenia* (self-publishing, 2020) oraz *Lekko zdenerwowanego Awatara wybiegającego z łazienki około północy* (Wydawnictwoj, 2020). Obecnie pracuje nad zbiorem haiku.

Małgorzata Grelak

Germanistka, miłośniczka sztuki filmowej. Sekretarz jury konkursowego Festiwalu Filmu, Teatru i Książki KOZZI FILM FESTIWAL. Pracuje w filii WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.

Ryszard Jasiński

Rzeźbiarz, pisarz. Autor nagrodzonej w Konkursie Literackim Uniwersytetu Gdańskiego (2003) powieści pt. *niewidzialna władza*, w której kontynuuje poszukiwania nowych form wypowiedzi artystycznej, nowych form ekspresji literackiej. Jest także autorem nowatorskiej powieści *wrota gomory*.

Dominik Judek

Urodził się w 1999 roku. Przez większość swojej edukacji planował iść na studia związane z geografią lub biologią, jednak w klasie maturalnej podjął decyzję o zmianie profilu. Obecnie student filologii polskiej. W wolnym czasie uczy się języka japońskiego.

Leszek Kania

Rodowity zielonogórzanin. Po studiach podjął pracę w Biurze Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze, gdzie zorganizował wiele interesujących i prestiżowych wystaw. Z Muzeum Ziemi Lubuskiej związany jest od 1982 roku. Jest m.in. założycielem i kuratorem Galerii Nowy Wiek, stwarza możliwość poznania twórczości uznanych twórców współczesnych, jak też ich młodych następców. Sztuka współczesna jest jednym z najważniejszych obszarów jego zainteresowań. Od 1997 roku był zastępcą dyrektora MZL, a od 2015 roku pełni funkcję dyrektora placówki.

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagożka, doktor nauk humanistycznych, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). W latach 2000-2007 współpracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Od 2010 roku stała recenzentką (wolontariuszka) e-magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.pl). Popularyzatorka nauki języków obcych i czytelnictwa; prowadzi spotkania autorskie. Interesuje się muzyką klasyczną oraz naukowym ujęciem problemów współczesnego świata. Kilka lat uczyła się śpiewu. Od 2017 roku należy do charytatywnego Klubu Kiwanis Adsum w Zielonej Górze.

Marek Krukowski

Rocznik '80, zielonogórski twórca awangardowego teatru, domorosły filozof z uniwersyteckim dyplomem, amator tenisa, postać lokalnie znana i lubiana, autor książki *JAMIMOJE* nagrodzonej Srebrnym Sokolim Piórem za prozatorski debiut podczas Lubuskich Wawrzynów Literackich 2018.

Roman Krzywotulski

Animator kultury, instruktor i pedagog teatru, reżyser związany z Żarskim Domem Kultury. Inicjator i organizator wielu projektów artystycznych (m.in.: Ż'ART Międzynarodowe Plenerowe Spotkania ze Sztuką, Akcje Fotograficzne „24 sierpnia... w Zarach”, Międzynarodowe Plenery Malarstwa, Międzynarodowe Festiwale Muzyczne, konkursy recytatorskie i in.). Twórca amatorskiej grupy teatralnej pn. „Teatr Drewniana Kurytna”, z którą w latach 1978-2019 zrealizował kilkadziesiąt widowisk poetyckich, dramatycznych i plenerowych. Pasję teatralną realizował także jako prowadzący zajęcia na kierunku animacja w WSP w Zielonej Górze, następnie na UZ. Redaktor i autor wielu wydawnictw dotyczących wystaw, organizowanych przez

ŻDK. Laureat wielu nagród lubuskich, krajowych i międzynarodowej. Honorowy Obywatel Gminy Żary; od 2020 roku emeryt, nadal aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym regionu.

Katarzyna Kurpiel

Urodziła się i wychowała w Zielonej Górze. W 2015 roku uzyskała tytuł laureata w Wojewódzkim Konkursie Przedmiotowym z języka polskiego. Ukończyła dziennikarstwo i komunikację społeczną na Uniwersytecie Wrocławskim, obecnie kontynuuje naukę na drugim kierunku – publikowaniu cyfrowym i sieciowym.

Adam Lizakowski

Urodził się w 1956 roku w Dzierżoniowie. Tłumacz, poeta i fotograf, instruktor teatralny. Od 1981 roku przebywał na emigracji (Austria, USA). Mieszkał w San Francisco, następnie przeniósł się do Chicago. Debiutował na łamach „Tygodnika Kulturalnego” wydawanego w Warszawie. Na emigracji publikował w wielu pismach Polonii amerykańskiej. Jest członkiem redakcji miesięcznika „Życie Kolorado” wydawanego w Denver w stanie Kolorado. W 1988 roku dzięki rekomendacji Czesława Miłosza wiele jego wierszy ukazywało się na łamach paryskiej „Kultury” oraz „Tygodniku Powszechnym”. Jego twórczość była tłumaczona na języki: angielski, rosyjski, niemiecki, francuski, litewski, hebrajski, chiński, ukraiński, hiszpański i białoruski. Współzałożyciel grup poetyckich „Krak” w Los Angeles – San Francisco oraz „Niezapłacony Rent” w Chicago. Redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego „Razem” wydawanego w San Francisco (1986-1989), kwartalnika poetyckiego „Dwa Końce Języka” (1993-1996) w Chicago. W Polsce współpracuje z „Zeszytami Poetyckimi” oraz „Rocznikiem Dzierżoniowskim”. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich od 1993 roku. Tłumacz poezji amerykańskiej. Od wielu lat promotor kultury polskiej za granicą, organizator spotkań literacko-artystycznych od San Francisco po Chicago. Po 35 latach emigracji w Ameryce powrócił na stałe do ojczyzny w 2016 roku.

Adrian Lokć

Zielonogórzanin, poeta. Interesuje się literaturą, historią, filmem i teatrem.

Marcin Mielczarek

Urodził się w 1996 roku w Kaliszu, od kilku lat mieszka w Zielonej Górze. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim, powoli zbierający publikacje artystyczne na szczeblu ogólnopolskim. Zadebiutował opowiadaniem *Wszystkie nasze Boginie-Matki* w numerze 05/2020 czasopisma literackiego „Twórczość”. Publikowany także w miesięczniku „KREATYWNI”, w czasopiśmie „Akant”, zielonogórskim „Pro Libris”, a także w kwartalniku „Fabularie”. Prowadzi literackiego bloga, na którym zamieszcza swoje teksty poświęcone szarej egzystencji człowieka. Cały czas pisze.

Ewa Mielczarek

Urodziła się w 1961 roku w Gnieźnie. Absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego (nauki polityczne oraz bibliotekoznawstwo i informacja naukowa). Starszy kustosz, redaktor, kierownik Działu Wydawnictw WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, jurorka konkursów literackich. Sekretarz redakcji pisma literacko-kulturalnego „Pro Libris”. W latach 1999-2004 szefowa wydawnictwa Art-Druk Regionalnego Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze.

Klaudiusz Mirek

Urodził się w 1991 roku, z wykształcenia edytor, obecnie doktorant w Instytucie Filologii Polskiej UZ. Pasjonat literatury posthumanistycznej, fantastyki, poezji oraz eseistyki. Interesuje się wykorzystaniem teorii językoznawczych w literaturoznawstwie i budową światów allotopicznych. Mieszka w Zielonej Górze.

Bogdan Nowicki

Urodził się w 1963 roku. Poeta, prozaik, recenzent, krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych (tytuł uzyskany na Uniwersytecie Śląskim). Mieszka i pracuje w Świętochłowicach.

Zbigniew Pawłowski

Urodził się w Nowej Soli w 1954 roku. Prozaik, poeta, satyryk, autor erotyków i limeryków oraz utworów dla dzieci. Od lat związany z Gubinem. Aktywny animator kultury i popularyzator literatury. Posiada w swoim dorobku książki prozatorskie, tomiki poetyckie oraz zbiory bajek i opowieści. Publikuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej.

Anna Piliszewska

Urodziła się w 1966 w Krakowie. Pisarka, poetka, absolwentka Akademii Ignatianum w Krakowie. Stypendystka *Sapere Auso* za szczególne osiągnięcia artystyczne w roku 2012. Interesuje się filozofią, literaturą, historią starożytną, malarstwem oraz muzyką klasyczną. Ceni nad wyraz poezję Bolesława Leśmiana. Ponadto jest miłośniczką zwierząt i przyjacielem przyrody. W swojej twórczości chętnie podejmuje tematy dotyczące relacji człowieka z ginącą naturą, ustępującą miejsca cywilizacji. Debiutowała w 2003 roku wierszami w czasopiśmie „Zwiastun Kulturalny”. Publikowała w periodykach: „Akcent”, „Topos”, „Śląsk”, „Pro Libris” oraz innych.

Janusz Pyziński

Urodził się w 1951 roku w Dębicy. Od urodzenia mieszka w Podgrodziu pod Dębicą. Jako poeta zadebiutował w 1984 roku na łamach dębickiego „Echa Załogi” i tarnowskiego „TEMI”. Jego wiersze ukazywały się też w takich czasopismach, jak „Zielony Sztandar”, „Nowa Wieś”, „Chłopska Droga”. Był laureatem blisko 200 ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich, a także współautorem kilkudziesięciu almanachów i antologii. Dotychczas opublikował 16 zbiorów poezji.

Tytus Kamil Rolski

Autor ma korzenie w Karsinie, od lat mieszka jednak na południu Polski. Znakomicie jednak zna język kaszubski, co jest owocem jego lingwistycznych zainteresowań i umiłowania rodzinnej kaszubszczyzny. Poeta jest profesjonalistą, autorem kilku już tomików, w tym także w języku niemieckim. Tomik kaszubskich wierszy jest debiutem poety w ojczystym języku. Są to wiersze intelektualisty, wynoszące kaszubskie słowo na bardzo wysoki poziom. Zdobył wyróżnienie na Targach Książki Kaszubskiej i Pomorskiej w Kościerzynie (2007).

Bogumiła Różewicz

Urodziła się w 1961 roku w Zielonej Górze. Poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Debiutowała książką poetycką *Welon na fali* (2011). Jej wiersze prezentowano w „Radiowej książce poetyckiej” (Radio Zachód), w antologiach (*Pióro na niebie*, *Dotyk nadziei*), w prasie literackiej. Poezja została przetłumaczona na język niemiecki i ukraiński.

Robert Rudiak

Urodzony w 1966 roku, poeta, prozaik, literaturoznawca i prasoznawca, historyk literatury regionu, krytyk literacki, regionalista, polonista i bibliotekarz, doktor nauk humanistycznych. Autor kilkunastu zbiorów poezji i prozy, pięciu monografii naukowych i opracowań redakcyjnych oraz realizator wystaw i filmów dokumentalnych o twórcach lubuskiego środowiska literackiego. Prezes zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, wcześniej był prezesem stowarzyszenia kulturalnego „Debiut”. Laureat ogólnopolskich, międzynarodowych i regionalnych nagród literackich i kulturalnych w kraju i za granicą.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 roku w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor kilkunastu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie (Zielona Góra).

Czesław Strawa

Urodził się w 1934 roku. Regionalista, miłośnik literatury i szeroko rozumianej kultury. Mieszka w Zielonej Górze. Obecnie na emeryturze.

Anna Wiwiana Szewczuk

Urodziła się w 1967 roku w Sulechowie. Absolwentka WSP w Zielonej Górze oraz Uniwersytetu Poezji. Autorka książek poetyckich, zbiorów aforyzmów i sentencji. Członkini Związku Literatów Polskich. Poetka mieszka w Zielonej Górze.

Anna Urbańska

Zawodowo zajmuje się public relations. Pracowała jako dziennikarz, manager ds. marketingu i PR oraz nauczyciel. Inicjatorka i współorganizatorka rozmaitych akcji promocyjnych i wizerunkowych. Trener szybkiego czytania i technik pamięciowych. Realizuje się także w pracy twórczej z dziećmi i młodzieżą. Miłośniczka Tatr, wędrówek po górach oraz tenisa ziemnego.

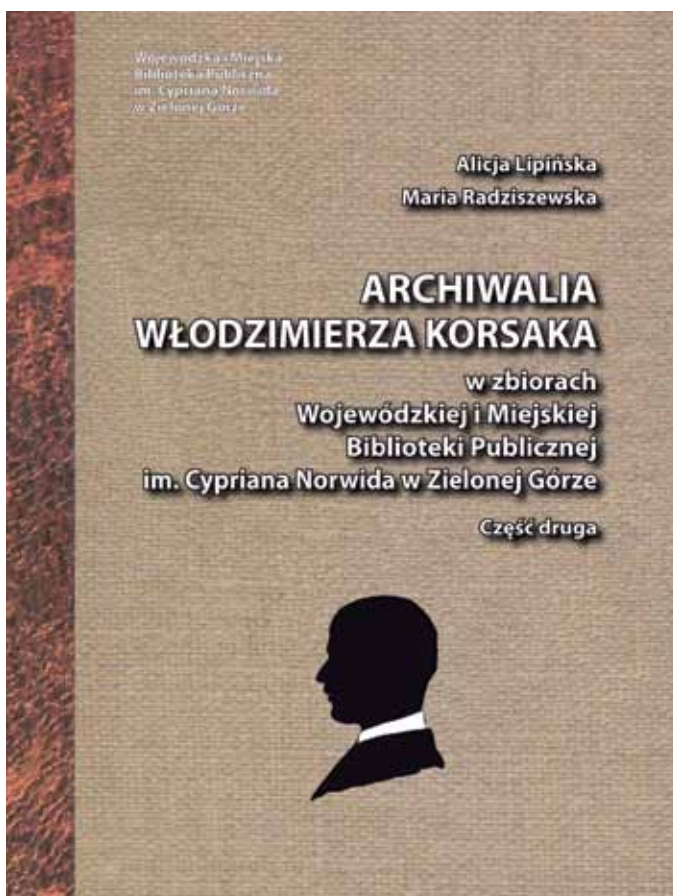
Dariusz Wojciechowski

Rocznik 1978. Absolwent filozofii UMK. Z zamiłowania fotograf i poeta. Kilka lat temu, w wyniku choroby autoimmunologicznej, niemal całkowicie stracił wzrok. Mimo tego realizuje się, pisząc i fotografując. Dzięki chorobie życie stało się dla niego wyzwaniem, ale również pasją. Wszystko jest inne, ale znacznie ciekawsze, jak choćby ukochane wędkarstwo. Obecnie prowadzi kanał na TikToku, na którym pokazuje, jak radzić sobie w trudnych życiowo sytuacjach.

Grzegorz Żegleń

Urodził się w 1972 roku w Szprotawie. Poeta, nauczyciel, dziennikarz. Publikuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej (m.in. almanachy poetyckie *Schuflada*, *Rozpoznani* spośród, *Poddasze poetów*). Wydał kilka książek poetyckich. Jego wiersze prezentowane były na antenie Polskiego Radia w Radiowej Księżce Poetyckiej, a także w TVP1 w programie *Radość*. Twórca happeningu artystycznego *Deszcz pieniędzy*. Autor tekstów piosenek, które znalazły się na płycie *Młodość ze słońcem na ty* w wykonaniu chóru Młodość. Producent i współrealizator płyty *Crepitus Versuum*. Zwycięzca konkursowego projektu „#zaSztukaj” – „Słowa w obrazie miasta” realizowanego przez Dom Kultury, a dofinansowanego ze środków Narodowego Centrum Kultury. Autor instalacji poetyckich w przestrzeni miejskiej „Przenikanie”, „Labiryntu Żeglenia” oraz w galerii przechodniej „Między słowem a obrazem”. Członek grupy poetyckiej „Die Huelle” oraz Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Mieszka w Małomicach.

PUBLIKACJA Pro Libris





PROZA POETÓW

11. FESTIWAL LITERACKI IM. ANNY TOKARSKIEJ

- 8 listopada, godz. 18.00 - Łukasz Orbitowski
- 9 listopada, godz. 18.00 - Piotr Łopuszański
- 10 listopada, godz. 18.00 - Zofia Turowska
- **Noc 10-11 listopada, Park Książęcy Zatonie**
Wystawa rysunków Cypriana Norwida ze zbiorów Biblioteki Norwida
- 12 listopada, godz. 18.00 - Radosław Młynarczyk
- 15 listopada, godz. 18.00 - ks. prof. Andrzej Draguła
- 16 listopada, godz. 18.00 - Wanda Michalak
- 17 listopada, godz. 18.00 - Anna Król
- 18 listopada, godz. 18.00 - Justyna Sobolewska
- 19 listopada, godz. 18.00 - Alfred Siatecki
- 23 listopada, godz. 18.00 - Turniej poetycki
na interpretację wiersza Anny Tokarskiej oraz promocja najnowszego numeru Pisma „Pro Libris”
- 24 listopada, godz. 18.00 - Czytelnia Dramatu
- 25 listopada, godz. 18.00 - Kordian Piwowarski
- 30 listopada, godz. 18.00 - Grzegorz Tomczak i Iwona Loranc
- 2 grudnia, godz. 18.00 - Joanna Brodzik

Wydarzenie towarzyszące

- **Wystawa Krakowiak – malarstwo, rysunek, ceramika z okazji 80. urodzin Henryka Krakowiaka**
Wernisaż 4 listopada, godz. 18.00, Galeria Biblioteki

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze
Sala im. Janusza Koniusza, al. Wojska Polskiego 9

8 LISTOPADA - 2 GRUDNIA 2021 ZIELONA GÓRA, ZATONIE

Informacja@biblioteka.zgora.pl

www.biblioteka.zgora.pl

fb.com/biblioteka.norwida

fb.com/literacki.norwid

Organizator

Patronat Honorowy

Zrealizowano przy pomocy finansowej Instytutu Książki
i Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego



Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna
im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze



Patronat Honorowy Marszałek
Województwa Lubuskiego
Elżbieta Anna Polak







Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

0 6



9 771642 599108

L PRO
LIBRIS